Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 2 (1346) ROK XXVII 14 STYCZNIA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

▲ Doświadczenie czy mit?
▲ Zapiski Mikołaja
▲ Teścia w rękę nie całuj

Refleksje historyczne

Doświadczenie czy mit?

TOMASZ SAS

1.

We współczesnym polskim kalendarzu narodowej pamięci grudzień roku 1970 zajmuje miejsce szczególne. Ale nie dlatego, że wyróżnia się rozmiarami czy „gęstością" tragedii — jeżeli w ogóle wolno ilością ofiar mierzyć hierarchię ważności dramatów naszej historii i współczesności. (W grudniu 1970 roku zginęło 45 osób, jak podają oficjalne komunikaty — natomiast w czerwcu 1956 roku w Poznaniu w starciach zginęło 55 osób, a jeszcze 19 zmarło w wyniku odniesionych ran.) Nawet najbardziej obiektywna buchalteria śmierci nie zastąpi jednak rzetelnej analizy przyczyn i skutków dramatu, aczkolwiek jego ludzki wymiar — poprzez właśnie śmierć i cierpienia jednostek — nabiera samoistnego znaczenia moralnego i historycznego. Skłonność do narodowych egzekwii, skądinąd usprawiedliwiona i najczystsza w intencjach, nie powinna nam jednak uniemożliwiać beznamiętnej *refleksji politycznej.*

Warawdzie kryzys polityczny, który rozpoczął się latem 1980 roku (i — wedle powszechnego mniemania — jeszcze trwa) niewątpliwie jest największy w dziejach Polski Ludowej, a dramatycznych momentów w nim też nie brakowało (oby już nie było ich więcej...), ale tamten — grudniowy — wstrząs wyróżnił się szczególnym napięciem emocji społecznych w krótkim okresie czasu, a przede wszystkim — rozmiarami, zasięgiem politycznych *przewartościowań, których dokonali wtedy niemal wszyscy dorośli, myślący obywatele kraju.*

Naturalnie stopień podniecenia i zaangażowania intelektualnego Polaków był zróżnicowany, nie brakowało objawów zniechęcenia i rezygnacji — Mieczysław F. Rakowski w swej książce „Przesilenie grudniowe" (wydanej w 1981 roku; często będę się do niej odwoływał, albowiem jest to jedyna dotychczas próba, obok stosownego rozdziału „raportu Kubiaka", analizy i oceny wydarzeń grudniowych — próba publicznie rozpowszechniona) przytacza ówczesny list czytelnika do jednej z gazet warszawskich, który pytał, jaką może mieć pewność, że za dziesięć lat nie będzie się znów pisało o potrzebie odnowy...

Na ogół jednak tragiczny wstrząs grudniowy wywołał powszechną, głośno manifestowaną potrzebę zmian o dość ściśle określonym kierunku: ku s o c j a l i s t y c z n e j demokratyzacji życia publicznego w kraju, ku otwartości i szczerości w zarządzaniu państwem, ku gospodarce skierowanej na zaspokajanie potrzeb społecznych, na doskonalenie poziomu życia Polaków. Specjalnie podkreślam tu słowo: socjalistyczna, albowiem ideowe przynępia ustroju ani razu w owym okresie nie zostały otwarcie zakwestionowane, co więcej: nabierały realnie odnowionego, klarownego wyrazu.

Nigdy przedtem ani potem, to znaczy w okresie kryzysu 1956 roku i kryzysu roku 1980, taki stopień identyczności poglądów społecznych nie powstał w efekcie dramatycznych przecież wydarzeń — z natury rzeczy mających właściwości wprowadzania podziałów. A to oznacza, że w grudniu 1970 roku i kilku następujących po nim miesiącach nad tymi naturalnymi, psychologicznie uzasadnionymi konsekwencjami tragicznego wstrząsu z Wybrzeża górowały inne refleksje. Przede wszystkim była to przemożna chęć osiągnięcia zmian na lepsze — mimo ograniczonego skądinąd — i nie bez podstaw — zaufania do władz państwa i kierownictwa partii.

2.

W grudniu 1970 roku kończyłem studia. Akurat w połowie miesiąca organizowaliśmy w Łodzi kolejne, tradycyjne studenckie spotkania teatralne. Miał też wystąpić

3

O popieraniu rasizmu i prokreacji na kartki

TERESA JERZYKOWSKA

Pies był najważniejszą osobą w domu, ukochaną żywą maskotką, a jednocześnie — rozpuszczony i rozpieszczony — wielkim utrapieniem. Nie dla nas urlop w domu wczasowym, bo nie wolno w nim przebywać z psem, dla nas ożywione życie towarzyskie, bo pies, przyzwyczajony do samotnego przebywania w domu rano, w godzinach pracy, przeciwko naszym popołudniowym wyjściom protestował rozgłośnym wyciem, stawiającym na nogi 11-piętrowy blok, nie dla nas kartkowa wołowina, bo pies musi mieć mięso. Dostało się porządnie nogom od stołów i krzeseł, a także rozlicznym butom, gdy zmieniał zęby, w kątach zawsze można było znaleźć kępki sierści i przegryzioną piłkę.

— Nigdy więcej psa — mówiliśmy sobie. I przyszedł taki dzień, kiedy psa już nie było. W domu zrobiło się cicho i czysto — po prostu nie do wytrzymania.

— Może coś malutkiego — zaczęliśmy rozważać — nie zje wiele, na wczasy przemyci się w torbie... Decyzja zapadła szybko. „Coś małego" miało być konkretnie Yorkshire terrierem — maleństwem, które w wieku dojrzałym waży nie więcej niż 3 kg. Poszliśmy więc do Oddziału Łódzkiego Związku Kynologicznego dowiedzieć się, gdzie można „jorka" kupić. — Kupić można — stwierdził pan z sekcji terrierów — ale czy stać państwa na taki wydatek?

„PSIE PIENIĄDZE"

Okazało się, że Yorkshire terrier na naszym „psim rynku" należy do psów najdroższych — 300 dolarów USA. Właściciel hodowli raczej niechętnie przelicza tę walutę na złotówki, bowiem ma możliwość „eksportu" szczeniaków za granicę. Obecnie sytuacja nieco się zmieniła. Powstały nowe hodowle i — jak to zwykle powinno dziać się na rynku, gdy zwiększa się ilość towarów — ceny spadły. Chętni do nabycia małego pieseczka muszą przygotować zaledwie ok. 80—90 tys. zł.

12

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Kto dba ten ma

Pojechałem do Zduńskiej Woli z donosu. Redakcja otrzymała list, że w tym mieście źle się dzieje, społeczeństwo, zamiast pracować, urządza sobie różne imprezy, i tak dalej.

Donosiciel, skądinąd człowiek życzliwy, zameldował, że największe oburzenie i zgrozę budzą w Zduńskiej Woli imprezy o charakterze jubileuszowym. W ogóle jak dobrze popatrzeć, cała Zduńska Wola jest jednym wielkim jubileuszem i niczym więcej. Jest tu jubileuszowa ulica, jubileuszowa kawiarnia, jubileuszowa restauracja, a poza tym w samym tylko listopadzie bieżącego roku odbyły się tu następujące jubileusze:

Jubileusz Dwudziestolecia Stowarzyszenia Przyjaciół Ogniska Artystycznego;

Jubileusz Dziesięciolecia Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia;

Jubileusz Pięciolecia Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia;

Jubileusz Dziesięciolecia Szkoły Podstawowej nr 9. i...

Jubileusz Dwudziestolecia Komitetu Założycielskiego Budowy Basenu Pływackiego.

Basen powstał już wprawdzie wiele lat temu, ale Komitet Założycielski nie rozwiązał się do tej pory, i dalej świętuje swoje jubileusze.

O wszystkim tym zawiadomił nas donosiciel, który jest człowiekiem zorientowanym i, zapewne, szalenie uświadomionym społecznie.

Jeszcze trochę — można domniemywać ze słów donosiciela — a będziemy obchodzić w Zduńskiej Woli jubileusz szaletu miejskiego, jubileusze boiska piłkarskiego i jubileusze pewnego śpiewaka-pijaczka, który wyje w czynie społecznym o dwunastej w nocy na zduńskowolskich podwórkach.

2.

Kiedy przychodzi do gazety taki społeczny, a straszny donos, to od razu wszyscy redaktorzy zacierają ręce, że będzie z tego społeczny, a straszny paszkwil, a cóż może być piękniejszego od paszkwilu społecznego, szczególnie jeśli jest to paszkwil na miasto.

Otóż nie będzie żadnego paszkwilu na miasto, nie będzie również żadnego paszkwilu na żadną instytucję, która obchodziła w Zduńskiej Woli jubileusz. Czemu? Ano, bo donos trafił w złe ręce. Nie jestem najemnym reporterem, facetem od wykańczania niewinnych miast i instytucji, które wcale na taką krzywdę nie zasługują.

Trzeba było napisać: „Passent, bierz go!" — i wysłać list do Warszawy.

3.

Pojechałem do Zduńskiej Woli nie po to, żeby zobaczyć się z donosicielem i wzbogacić swoją wiedzę o nieprawych instytucjach, lecz po to, żeby odwiedzić jubilatów. Z doświadczenia wiem, że często jedziesz gdzieś, gdzie ma być dobrze i jest źle, ale bywa również odwrotnie.

Do Zduńskiej Woli zawsze miałem sympatię, aczkolwiek nie wiem dokładnie, skąd to uczucie się brało. Może stąd, że jest tam bardzo dużo zieleni, a może stąd, że jest tam bardzo dużo starych, czynszowych kamienic, które przypominają pewne dzielnice Łodzi i Pragi nad Wisłą.

Zduńska Wola nie zasłyneła nigdy żadnym wielkim skandalem, nie pyskowała, nie uskarżała się specjalnie, nie rościła pretensji, aby zostać miastem wojewódzkim, była, krótko mówiąc, skromna, a skromność jest przymiotem, który bardzo sobie cenię, aczkolwiek go nie posiadam.

5

Powracamy do tematu „Życie na stoku" (2)

Rozmowa w celi śmierci

WACŁAW OPACKI

— *Żeby uzyskać jakiekolwiek wyjaśnienia* — kontynuuje kpt. Grossman. — *różnie rozmawia się ze zbrodniarzami. Raz pogodnie, raz z odwoływaniem się do rozsądku, innym razem — po prostu trzeba krzyczeć. Sołtysiak zaś na każde pytanie odpowiadał, chociaż zbyt rozmowny nie był. Ja do niego mówiłem np. 10 czy 15 zdań na temat okoliczności zdarzenia, a Sołtysiak w rezultacie mówił tylko — „tak" lub „nie". Mówił krótko, bez żadnych słów zbędnych.*

„Nazywam się Krzysztof Sołtysiak i urodziłem się..." — tak rozpoczął w dniu 17 września 1980 r. o godzinie 22 swoje pierwsze po aresztowaniu protokółowane zeznanie przed kapitanem Grossmanem. Potem w szczegółach opisał dzień po dniu ostatnie półtora miesiąca swojego życia.

Krzysztof Sołtysiak opisał z najdrobniejszymi szczegółami popełnione morderstwa.

— *O tym wszystkim mówił beznamiętnie* — opowiada kapitan Henryk Grossman z Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Łodzi. — *Nie było żadnych skoków tonacji wypowiedzi, wewnętrznego przejęcia. Tak jakby nie rozumiał wymowy czynów. Opowiadał tak, jakby kradł króliki. Z takim człowiekiem spotkałem się w ciągu kilkunastoletniej śledczej praktyki po raz pierwszy. „Miałem" różnej kategorii zabójców, których mogłem naliczyć na pęczki. Ale ten nie pozwolił się odkryć i do tej pory nie wiem, co mu naprawdę siedzi w głowie.*

CZTERNASTOLETNI WŁAMYWACZ

Urodził się w rodzinie robotniczej. Ojciec przebywał w zakładzie karnym, potem był pracownikiem fizycznym w zakładach włókienniczych. Matka, wykształcenia podstawowego pracuje od lat w charakterze prządki.

Mieszkali w starym budownictwie: w jednym pokoju z kuchnią przebywało łącznie 5 osób.

Krzysztof Sołtysiak zaniedbywać się w nauce zaczął od czwartej klasy szkoły podstawowej. Przez kilka dni nie przychodził w ogóle do szkoły, okradając w tym czasie samochody i kioski. Włamał się także do szkoły, kradnąc wiertarkę, aparat fotograficzny oraz 500 złotych z torby jednej z nauczycielek.

W 1975 r. napadł na 8-letnia dziewczynkę.

Po tym napadzie Sąd Rejonowy na wniosek szkoły ograniczył władzę rodzicielską nad Krzysztofem Sołtysiakiem...

„Wielokrotnie pedagog szkolny — pisze w opinii ze Szkoły Podstawowej im. Wł. Broniewskiego w Łodzi — *prowadził rozmowy z matką, która meldowała o każdej ucieczce. Także z rozmów z uczniem wynikało jednoznacznie, że*

7

Przegląd prasy

Rolnicy mówią, że potrafią wyżywić naród, ale jakoś teoria ta nie ma pokrycia w praktyce. Mieszczuch, co prawda, uważa, że rolnicy mają dobrze, bowiem orzą, sieją, a resztę za nich robi przyroda. Trzeba jednak to, co wyrośnie, zebrać, zwieźć na czas, wymłócić, wykopać i tak dalej. Trzeba codziennie chodzić koło inwentarza, karmić go, oporządzać. W rolnictwie nie ma wolnych sobót, nie ma świąt i niedziel, bo bydło ryczy, świnie kwiczą, trzeba więc je napoić, nakarmić, dać jeść kurom, gęsiom i kaczkom, a także indykom jeśli są w gospodarstwie.

— *„Stopień ryzyka w rolnictwie jest większy, niż w innych dziedzinach gospodarki, natomiast stopień sterowalności rolnictwem jest znacznie mniejszy, niż gdzie indziej"* — twierdzi Zbigniew Michałek, sekretarz KC PZPR.

Rolnik z zazdrością patrzy na tych z miasta, uważając, że oni mają lepiej, bo pracują te swoje 8 godzin i mają spokój. Nie muszą martwić się o bydło, nie muszą martwić się o lekarstwa, gdy bydło czy trzoda choruje, nie musza troszczyć się o wodę, czuwać po nocach, gdy krowa ma się ocielić, bądź świnia oprosić. W mieście jest lepiej — myślą rolnicy, ale ludzie z miast jeżdżą na wieś po żywność i jak kto ma na wsi rodzinę, nie musi martwić się ani o święta, ani o nic innego. Rodzina zawsze jakoś pomoże. Po to zresztą jest rodzina.

Takie są wzajemne wyobrażenia na wsi o mieście, a w mieście o wsi.

CO O ROLNICTWIE SĄDZI ZBIGNIEW MICHAŁEK?

Na to pytanie postanowili uzyskać odpowiedź trzej dziennikarze krakowskiego „ZDANIA" (nr 11/12 z 1983 roku): Paweł Kwiatkowski, Michał Ogórek i Leszek Wołosiuk. Wyniki tej rozmowy przedstawili w publikacji pod tytułem: *„Ten lepszy, kto lepiej gospodarzy"*. Uważają oni, — przekazując poglądy innych — że *„rolnictwo u nas położyła już reforma rolna rozdrabniając je"*, a teraz jeszcze konstytucyjny zapis utrwalił ten stan.

— *„...dla dobrego ekonomisty* — powiada na to Zbigniew Michałek — *doprowadzenie w tej chwili u nas do zbankrutowania małych gospodarstw to jest małe piwo. Takiej operacji jednak nie zrobimy zarówno z powodów społecznych jak i gospodarczych, bo nie jest możliwe przesunięcie ludzi i zagwarantowanie im pracy. Być może zyskalibyśmy na wydajności pracy zatrudnionych w rolnictwie, nie wiem, czy akurat zwiększyłaby się nam produkcja globalna"*.

A jak jest z wydajnością? Ilu ludzi powinno dziś pracować na przykład na 10 hektarach?

— *„Nie tak dawno* — powiada Zbigniew Michałek — *musiałem zbijać koncepcję, iż na 10 ha musza być zatrudnione 3 osoby w gospodarce indywidualnej przy przeciętnych dla rozwoju kierunkach produkcji. Obciążyłem każdy hektar 500 godzinami pracy, co jest dużą stawką, obliczoną na pracę niemal ręczną. Pomnożyłem to przez wszystkie dni pracy (ale bez niedzieli, która w rolnictwie też jest w chlewie i oborze dniem pracy) i wyszło mi, że dwojgu ludziom zajmie to 8,2 godziny dziennie. Czyli ta trzecia osoba jest już jakby nadzorcą"*.

Ale ta trzecia osoba — niech będzie *„nadzorcą"* — często jest potrzebna do załatwiania różnych spraw w urzędach do wystawania pod punktami skupu, do szukania różnych części do maszyn i innych artykułów w sklepach. Niektórzy uważają, że sytuacja zmieni się na lepsze, jeśli rolnicy będą więcej inwestowali w swoje gospodarstwa.

— *„Co to jest inwestowanie w gospodarce chłopskiej?* — pyta sam siebie Zbigniew Michałek i odpowiada sobie. — *Jeśli jest to stawianie kurnika, chlewu, obory, to jest to czyste inwestowanie w produkcję zwierzęcą. Jeśli inwestowaniem nazwiemy natomiast również nawożenie, środki ochrony roślin, mechanizację, to jest to produkcja nie tylko chleba, masła i mięsa, ale i produkcja pasz, która dopiero stanąwszy na odpowiednim poziomie, może wywołać potrzebę inwestycji następnych. I szczerze mówiąc, gdy słyszę dziś, że ktoś chce w coś inwestować, to zaczyna mną trząść. Jeśli bowiem dziś mamy pustawych budynków inwentarskich na około 20 kg spożycia mięsa, to po co jeszcze następne chlewy, obory, kurniki?! Dziś trzeba wyprodukować tyle paszy, aby zagospodarować to, co już istnieje"*.

Chłopi mówią, że potrafią wyżywić naród, a nadal obowiązują kartki na artykuły żywnościowe. Dlaczego tak jest?

— *„Kartki na mięso* — powiada Zbigniew Michałek — *nie są żadną oceną nieufności do gospodarki chłopskiej. Wynikają z bardzo prozaicznego, arytmetycznego liczenia: ile produkujemy, ile możemy przeznaczyć na bezpośrednie spożycie, ile na eksport. To jest takie zadanie domowe, które na którymś tam roku studiów rolniczych student powinien odrabiać z bilansu żywnościowego"*.

Z tym eksportem przypadkiem nie przesadzajmy.

— *„Zapytajmy zatem* — powiada Zbigniew Michałek — *co w tym eksporcie mamy do zaoferowania? Mięsiwa stosunkowo mało. Raptem te 100 tys. ton? Poza tym powiedzmy sobie, że EWG nie po to się zawiązała, aby Polaków wpuszczać na rynek, do którego nie potrafimy się szybko przystosować"*.

Zagraniczni kupcy nie chcą już mięsa, oni chcą wyroby z tego mięsa. A my nie umiemy do takich wymagań szybko się przystosować. I tracimy rynki, na które często nie ma powrotu.

Moglibyśmy zresztą eksportować — dosłownie i w przenośni — różne rzeczy, ale często nie potrafimy. Moglibyśmy dobrze sprzedać — w przenośni oczywiście — jedną piękną Polkę — miss Polonia Lidię Wasiak. Ale nie potrafiliśmy. I tak powstał

SKANDAL Z MISS POLONIA

który dokładnie opisali Krystyna Tatarynowicz i Piotr Stawicki w „KULISACH EXPRESSIE" (z 24 grudnia 1983 r.). A rzecz jest prosta i przerażająca jednocześnie. Wyjazdem Lidii Wasiak do Londynu miał się zająć osobiście szef waszawskiej Estrady — dyrektor Cejrowski. Nie zajął się. Zajmował się tym kierownik biura organizacyjnego wyborów miss w Stołecznej Estradzie — Jerzy Chmielewski. Nie z jego winy wszystko było robione na ostatnia minutę, improwizowano, a udało się coś zrobić dzięki interwencji „Expressu Wieczornego", który był współorganizatorem wyborów, i pomocy firm zagranicznych.

Oto charakterystyczny fragment reportażu Krystyny Tatarynowicz i Piotra Stawickiego *„Miss w Londynie"*:

„Stołeczna Estrada, godz. 14. Dyr. Cejrowski jest wyraźnie zdenerwowany obecnością „Expressu". Na to spotkanie miała przyjść tylko Lidia Wasiak i Jerzy Chmielewski.

— Jutro wyjeżdżam, panie dyrektorze, przyszłam po 100 funtów kieszonkowego.

— Co, jakie pieniądze? Panie Jurku, panie Jurku, o czym ona mówi?!

— W umowie, która sam pan podpisał, jest to wyraźnie powiedziane.

— Tam nic takiego nie ma. Ja rozmawiałem z Julią (Morley). Ja nic nie płacę. To Anglicy pokrywają wszystko.

Wychodzimy z niczym".

100 funtów zafundowała któraś z firm polonijnych.

W Londynie było jeszcze gorzej. Przygotowania do finału szły normalnie. Lidia Wasiak była tym wszystkim solidnie zmęczona. Oczekiwano dyrektora Cejrowskiego, ale zamiast niego przybyła Anna K. — dziennikarka z „Jazz Forum". Legitymując się wizytówką dyrektora Cejrowskiego zabrała wszystkie karty akredytacyjne.

„Szukamy więc pani Anny. Jest.

— Prosimy o nasze karty akredytacyjne, pani Anno.

— Nie mam waszych, mam swoje. Stołeczna Estrada akredytowała mnie z kraju teleksem i teraz odebratam to, co się mi należy.

...Sprawdzamy teleksy. Wszystkie są prócz tego ze Stołecznej Estrady. Kopii (na dowód nadania) też pani K. nie ma. Słowem rozbój w biały dzień i kłamstwo w żywe oczy. Nie peszy to naszej rodaczki. Spokojnie odchodzi. Zdeterminowany Tadeusz T. z TKW biegnie za nią. Chwila nieuwagi pani K. i odzyskuje swoją kartę. Po prostu wyrywa jej z rąk".

Dalej okazało się, że Anna K. jest pełnomocnikiem dyrektora Cejrowskiego i wszystko, co robi w Londynie, robi z jego upoważnienia. Organizatorzy jakoś pomogli polskiej ekipie towarzyszącej Lidii Wasiak dostać się do Royal Albert Hall. Natomiast na ich karty akredytacyjne Anna K. *„wprowadziła swoich prywatnych znajomych"*. Gospodarze i przedstawiciele innych ekip patrzyli na to wszystko — delikatnie mówiąc — z dużym zdziwieniem. Och, ci Polacy, oni zawsze coś takiego wykombinują...

Właśnie w „SZPILKACH" (nr 52 z 29 grudnia 1983 r.) znalazła się

RELACJA ANNY KULICKIEJ Z LONDYNU

z wyborów miss świata pt. *„61 000 funtów za piękny uśmiech"*.

„Listopad — pisze Anna Kulicka z Londynu — *w Londynie jest raczej szary. Ulica żyje przygotowaniami do wielkiego przedświątecznego boomu handlowego, więc co drugi na ulicy, to Święty Mikołaj. (Dziadka Mroza nie spotkałam). W domach zimno i nikt nie protestuje u żadnych SPEC-ów, bo każdy ogrzewa się sam, na miarę potrzeb i możliwości. Czasem dogrzewa telewizja"*.

A dalej to jest o tym, że się dziewczęta uśmiechały, *„wśród nich uśmiech Lidki Wasiak, świeżo koronowanej Miss Polonia '83"*. I 3 kolorowe fotki również Anny Kulickiej. Po to wszystko warto było jeździć do Londynu?

W tych samych „Szpilkach" w cyklu *„Chata za wsią"* Zbigniew Nienacki opublikował felieton pt. *„Zmory"*, w którym rozprawia się z naszą, domorosłą cenzurą obyczajową. W felietonie tym pisze on

O METODACH POSTĘPOWANIA „CIOTEK PRZYZWOITEK"

„Wspomina Boy-Żeleński — pisze Zbigniew Nienacki — *jak to podczas pierwszej wojny światowej umieszczono rannych w jakimś gmachu, gdzie stały antyczne posągi. Dookoła umierali i krzyczeli z bólu ranni żołnierze — a poczciwy księżulo jednym się przede wszystkim zajmował: obtłukiwaniem posągom nagich genitalii, żeby nie gorszyły...*

Różne zmory trapią nasz kraj. Poczciwego księżula zastąpili dwaj felietoniści z pewnego poważnego tygodnika z ostatniej i przedostatniej strony. Zajmują się wyszukiwaniem w różnych pismach, czy powieściach — niekiedy opasłych tomach na 800 stron — tylko jednego: co pikantniejszych szczegółików. Rozdrabniają je, obtłukują, obmacują, chichocza — oczywiście w imię moralności naszych niewinnych dziatek, w imię zdrowia narodu. Bo naród jest zdemoralizowany i nie można go jeszcze bardziej deprawować erotycznymi scenkami. A kto demoralizuje naród? Oczywiście, pisarze, jajogłowi intelektualiści...

Powieść zawiera dziesiątki scen i sceneczek, ale „ciotka przyzwoitka" zauważy tylko jedną; resztę przemilczy. Dostrzeże scenę erotyczną i weźmie do ręki młoteczek".

Dopiero teraz dotarła do mnie „Gazeta Olsztyńska" z 8 grudnia 1983 roku, w której SEG wspomina o pisarzu ZN, który *„przechytrzył znanego felietonistę DP z poważnego tygodnika"*. To *„przechytrzenie"* ma polegać na tym, że ZN napuścił DP na siebie w celach reklamowych. SEG się jednak myli, gdyż po Łodzi chodzi co najmniej 10 osób, które przyznają się, że napuściły DP na ZN. Myli się również i wtedy, gdy pisze:

„Kalejdoskop" — tak się nazywa rubryka, w której pisuje SEG — przyp. L.B. — *uchyli rąbka tajemnicy i zdradzi dlaczego książka, o której tutaj mowa jeszcze nie trafiła do księgarni. Po prostu w zakładach graficznych, gdzie oddano tekst do składania, drukarze zamiast utrwalać dzieło w czcionkach rozczytują się w manuskryptach. Maszynopis krąży z rąk do rąk. Nie ma pewności, czy jeszcze uchował się w całości"*.

Uchował się. Książkę widziałem i miałem ją w ręku. Kiedy dotrze do księgarni, to ani wiadomo pisarzowi ZN, ani nikomu innemu tylko „Domowi Książki". Ale i on nie wie dokładnie, bo to sprawa rozdzielników, transportu, pakowania, rozpakowywania. A jak książka dotrze do księgarni, to też nie wiadomo, czy ją wszyscy chętni dostaną, bo nakład malutki raczej. I po drugie — znam paru pisarzy, którzy marzą o tym, aby ich maszynopisy drukarze wyrywali sobie przed składaniem i czytali.

W „PERSPEKTYWACH" (nr 52 z 30 grudnia 1983 r.) miało miejsce

STARCIE NA TEMAT „LWA LECHISTANU"

Do starcia stanęli: historyk Andrzej Garlicki i pisarz Jan Koprowski. Ten ostatni napisał recenzję z książki Władysława Rymkiewicza „Lew Lechistanu". Ten pierwszy zarzucił mu nieznajomość twórczości, gdyż w „Lwie Lechistanu" i w „Dworzaninie Pana Morsztyna" są takie same postacie: Dyrel, Szyjak, Puzio, Dziakło. Mało tego, również niektóre fragmenty obu książek są takie same. W związku z tym Andrzej Garlicki stwierdza:

„W każdym razie „nowej" książki „Lew Lechistanu" na pewno nie kupię, bo mam ją od 26 lat (i za 23 zł, a nie za 100 zł, jak ta „nowa")".

Na to Jan Koprowski:

„Pragnę zapewnić pana prof. Andrzeja Garlickiego, że znam dobrze i to od dawna twórczość prozatorską Władysława Rymkiewicza. Pisałem o jego wcześniejszych książkach nie tylko dlatego, że uważam je za dobre, ale także, że, jak sądzę, jest on przez naszą krytykę niedoceniony. Podobieństwa i zbieżności między powieścią „Lew Lechistanu" i „Dworzaninem Pana Morsztyna", są mi znane, ale nie uważałem za słuszne pisać o nich w króciutkiej przecież recenzji, a po które: podobieństwa te i zbieżności w niczym nie przekreślają waloru „Lwa Lechistanu", który jest powieścią nową i cenną w dorobku pisarza".

Na zakończenie jeszcze tylko wiadomość, że

MIESIĘCZNIK „BARWY" UKOŃCZYŁ 15 LAT

a redakcja pisząc o dokonaniach w tych 15 latach, tak oto stwierdza:

„W ciągu 15 lat swojego istnienia „Barwy" nie tylko zajmowały stanowisko, opowiadały się za, podpisywały się pod i walczyły o, ale także podejmowały konkretne działania, które przynosiły i przynoszą określone rezultaty, czego z okazji jubileuszu życzymy także naszym drogim krytykom, amen".

My życzymy nowych sukcesów!

LUCJAN BOGUSZ

W NASTĘPNYCH NUMERACH:

WZNAWIAMY DRUK FRAGMENTÓW POWIEŚCI OBYCZAJOWEJ ZBIGNIEWA NIENACKIEGO „RAZ W ROKU W SKIROŁAWKACH" ORAZ OPUBLIKUJEMY POLEMICZNY ARTYKUŁ AUTORA TEJ POWIEŚCI

- **MUZYKA NOCĄ, CZYLI WIELKA ENCYKLOPEDIA MAŁYCH UCZUĆ**
- **DZIENNIKARSKIE WSPOMNIENIA ADAMA OCHOCKIEGO**
- **NOWA PROZA TADEUSZA CHRÓŚCIELEWSKIEGO**

Minął tydzień

100-LAT „DZIENNIKA ŁÓDZKIEGO"

6 stycznia 1884 roku ukazał się w Łodzi pierwszy numer „Dziennika Łódzkiego". Stało się to w wyniku długich starań grupy łódzkich inteligentów. Pierwsze gazety, jakie wychodziły w Łodzi, ukazywały się w języku niemieckim. Jedynie w „Lodzer Zeitung" w 1881 roku przez kilka miesięcy ukazywała się „Gazeta Łódzka" — jako stały dodatek. W trzy lata po jej upadku wyszedł pierwszy numer **„Dziennika Łódzkiego, pisma przemysłowego, handlowego i literackiego"** — jak wówczas głosił pełny tytuł gazety. Wychodziła ona przez 10 lat. Redakcja założyła sobie, że **„Dziennik ten ma być wyrazem życia i potrzeb mieszkańców"**. I maksymie tej gazeta pozostaje wierna do dziś.

I choć minęło już 100 lat od założenia „Dziennika Łódzkiego", i choć dzisiejszy „Dziennik Łódzki" słusznie mieni się najstarszą gazetą i waża się za kontynuację tamtej, to przecież nie wychodziła gazeta bez przerwy przez te 100 lat. W 1911 roku przez kilka miesięcy ukazywał się „Nowy Dziennik Łódzki", w 1919 roku przez trzy miesiące wychodził „Dziennik Łódzki" i ponownie tytuł ten pojawił się w Łodzi w latach 1931 — 1933, wychodził on też pod zmienionymi tytułami: „Ilustrowany Dziennik Łódzki" i „Nowy Dziennik Łódzki". Na stałe pojawił się dopiero 1 lutego 1945 roku, ale też dwukrotnie musiał odejść od swojej tradycyjnej nazwy, raz w latach pięćdziesiątych, a drugi raz w latach siedemdziesiątych, po reformie administracyjnej.

Obecny „Dziennik Łódzki" pozostaje wierny swej tradycji i w miarę swych sił i możliwości służy miastu i jego mieszkańcom. Podejmuje problemy i tematy nas nurtujące, ukazuje życie miasta, krytycznie odnosząc się do wszystkiego, co nam w życiu przeszkadza.

Kolegom z „Dziennika Łódzkiego" życzymy dalszych 100 lat, nigdy już niezmieniania tytułu, znakomitych autorów, ciekawych tematów, wysokiego nakładu i tysięcy wiernych czytelników!

POCZTA NAS NIE ZAWODZI

I zawsze dostarcza tematu. Oto K.K. w „Dzienniku Łódzkim" poinformował posiadaczy starych aparatów telefonicznych, że po wprowadzeniu nowej centrali w centrum będą oni musieli wymienić te aparaty na nowe. Okazuje się, że w starych aparatach — a starocie niestety są nadal modne — słaby jest impuls i aparaty te mylnie łączą. Koszt takiej wymiany wynosi około 2 tys. zł. Pokrywa go abonent.

Ale nie tylko stare aparaty źle łączą. Nowe również. Posiadamy na przykład w redakcji nowe aparaty, a pomyłek nam nie brakuje. I nas łączy mylnie i do nas trafiają się pomyłki. Nie tylko w redakcji zresztą.

A miało być niemal wspaniale.

POWIEŚĆ „RAZ W ROKU W SKIROŁAWKACH" WRACA!

Mogę już poinformować Szanownych Czytelników, że na ich to główne żądanie, powraca na łamy „Odgłosów" powieść Zbigniewa Nienackiego „Raz w roku w Skiroławkach". Będziemy drukowali tom tej książki. Sama książka ukaże się niebawem nakładem Wydawnictwa „Pojezierze" w Olsztynie. Ale tu muszę rozczarować Czytelników, nakład jest malutki. Książka rozejdzie się nim pojawi się na księgarskiej ladzie. Kto więc chce uniknąć rozczarowania, kto chce przeczytać drugi to mpowieści — fragmenty pierwszego już drukowaliśmy — ten niech kupuje i czyta „Odgłosy".

WŁOS W KAMIENNYM BLOKU

egipskiej piramidy. Znalazł go tam francuski uczony, chemik J. Davidowitz. Jest to włos ludzki o długości 21 cm. W jaki sposób znalazł się on w kamieniu?

Poszukiwanie odpowiedzi na to pytanie pozwoliło J. Davidowitzowi skonstruować dość oryginalną hipotezę. Doszedł on do wniosku — a na wniosek ten złożyły się też badania chemiczne kamieni piramid — że starożytni Egipcjanie posiadali umiejętności wytwarzania... masy plastycznej, która po wyschnięciu nabierała cech kamienia. Egipski robotnik nachylając się nad formą, do której wylewał sztuczne tworzywo zgubił włos. Jak bowiem inaczej mógłby on znaleźć się w kamieniu, a nie na jego powierzchni.

Hipoteza ta budzi jednak wiele wątpliwości. Podobnie zresztą jak i inne. Do tej pory nie ma bowiem prawdopodobnego wytłumaczenia tego, w jaki sposób zbudowano piramidy w Egipcie. Mimo wielu zastrzeżeń hipoteza J. Davidowitza ma jeden silny punkt: ludzki włos znaleziony w kamieniu podczas chemicznego badania. Cała ta hipoteza — można powiedzieć — wisi na 21 centymetrowym włosie. I nim się nie wytłumaczy jak włos znalazł się w kamieniu nie obali się tej hipotezy.

A. B. SEKATOR

WYBORY U LITERATÓW

Nowy Związek Literatów Polskich rodził się długo i w bólach wcale nie lekkich. Są to sprawy powszechnie znane. Z prawie półtoratysięcznej rzeszy członków ZLP, do nowego Związku przyszło ponad 400. I napływają dalsze zgłoszenia. Na naszym, łódzkim podwórku sytuacja jest dużo klarowniejsza, bo Oddział liczy już 33 pisarzy. Czy pozostali dołączą? Trudno przewidzieć, bowiem niechęć do odradzającej się organizacji pisarskiej ciągle daje znać o sobie. Niektórych odsuwa od Związku początek preambuły statutowej, gdzie napisano, że „Związek Literatów Polskich jest organizacją pisarzy, uznających konstytucyjne zasady socjalistycznego ustroju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej".

W niedzielę, 8 stycznia br., w lokalu Oddziału Łódzkiego ZLP, odbyły się wybory nowych władz. Obserwując przebieg zebrania, pierwszego od 1981 roku, odniosłem wrażenie, że jest ono takie samo jak tamte sprzed stanu wojennego: te same problemy (emerytury, renty, świadczenia socjalne), te same emocje w czasie wyborów. W tajnym głosowaniu wybrano nowy Zarząd Oddziału Łódzkiego ZLP, a następnie w kolejnym tajnym głosowaniu spośród członków Zarządu wybrano prezesa, którym został **Władysław Orłowski.** W skład Zarządu ponadto weszli: **Eugeniusz Iwanicki, Henryk Pustkowski, Edward Szuster** i **Jerzy Wawrzak.** Wybrano także Komisję Rewizyjną: **Henryka Hartenberga, Edwarda Kopczyńskiego** i **Jerzego Wilmańskiego** oraz Sąd Koleżeński w składzie: **Wacław Biliński, Zbigniew Kosiński** i **Włodzimierz Krzemiński.**

E. I.

Dokończenie ze strony 1

teatr z Gdańska, ale domyślaliśmy się, że nie przyjadą, albowiem już rano 15 grudnia rozeszły się pierwsze, niejasne pogłoski o tym, że coś się dzieje na Wybrzeżu; nie wiadomo, co właściwie, ale się dzieje. Nauczeni naszymi własnymi, studenckimi doświadczeniami z marca 1968 roku przeczuwaliśmy, że sprawa jest znacznie poważniejsza niż wtedy, niż kiedykolwiek.

Już w czasie spotkań dotarli dwaj koledzy z Gdańska — rozognieni aż do granic histerii, opowiadający o rzeczach niesamowitych — strzałach, pożarach, rabunkach, o czołgach na ulicach, demonstracjach, o strachu i determinacji. A jeszcze wcześniej telewizyjne wystąpienie Cyrankiewicza z tym pamiętnym: **„Zbudować dom jest trudno, wymaga pracy i wysiłku. Podpalić i zniszczyć go jest łatwo!"**... Poza tym prawie nic — żadnych niemal informacji, żadnych komentarzy. Zachodnie rozgłośnie szaleją, wyrzucając z siebie nieprawdopodobne spiętrzenia plotek, domysłów, spekulacji politycznych, horroru i krwi.

Kontynuowaliśmy nasze spotkania teatralne w nastroju niby studenckiej wesołości, oglądając spektakle z całej Polski i długo, spontanicznie dyskutując przy piwie w klubie „Pod Siódemkami" — tylez samo o Gdańsku co i o sztuce. Jedną z takich biesiad przerwał ktoś, włączając telewizor. Wtedy — w niedzielny wieczór 20 grudnia po raz pierwszy zobaczyliśmy Edwarda Gierka w publicznej roli. Strach zniknął, wróciła nadzieja...

2.

Ale obok pytania „co dalej?", na które nowi członkowie władz politycznych i administracji państwa odpowiadali nader chętnie, aczkolwiek — przynajmniej w pierwszych miesiącach — niezbyt precyzyjnie — pojawiły się pytania znacznie bardziej kłopotliwe — co się właściwie stało i dlaczego?

Obietnice pełnego wyjaśnienia źródeł i przebiegu tego tragicznego kryzysu składano kilkakrotnie już w pierwszych chwilach po umilknięciu strzałów na Wybrzeżu i objęciu władzy przez nową ekipę. Dziś, z dość sporej perspektywy historycznej, można postawić tezę, że obietnice te zostały spełnione wprawdzie, ale nie do końca. Tylko czytelnicy prasy lokalnej w Gdańsku i Szczecinie mogli zapoznać się z dokładnymi, kronikarskimi niemal relacjami z przebiegu wydarzeń, opublikowanymi w końcu grudnia 1970 roku. Kilka miesięcy później swoją szczegółową relację ogłosiło „Życie Literackie". Nigdzie więcej ich nie przedrukowano. Błąd władz polegał na tym, że nie zdecydowano się na ogłoszenie oficjalnej relacji przez rząd, czegoś w rodzaju „białej księgi"; pozostawiono w ten sposób wolne pole dla wyraźnie histerycznych plotek. Tak więc jednego elementu analizy — dokładnego opisu zdarzeń — zabrakło już na wstępie publicznej debaty o kryzysie. Fakt ten miał niebagatelny wpływ na wiarygodność całej dysputy o przyczynach i skutkach wydarzeń grudniowych.

Oficjalny dokument partyjny „Ocena wydarzeń grudniowych i wynikające z niej wnioski" został przedstawiony na VIII Plenum KC PZPR 6 lutego 1971 roku. Komisja, która go opracowała, pod przewodnictwem Jana Szydlaka, **„poddała głębszej niż kiedykolwiek przedtem analizie sprzeczności i konflikty rozwojowe poprzedniego etapu"**, a sam konflikt określiła **„jako wynik od dłuższego czasu narastającego kryzysu zaufania między kierownictwem partii a klasą robotniczą i innymi warstwami społecznymi, zwłaszcza na tle niedostatecznej dbałości o lepsze zaspokajanie potrzeb społeczeństwa."** Tak to ujęto w „Raporcie Kubiaka". Analiza treści wystąpień w dyskusji na VIII Plenum (głos zabrało 40 mówców, a do protokołu zgłoszono 54 wystąpienia), dokonana przez M. F. Rakowskiego w „Przesileniu grudniowym", wskazuje na to, że jej uczestnicy — wciąż pod silnym wpływem wydarzeń na Wybrzeżu — skoncentrowali się przede wszystkim na poszukiwaniu przyczyn kryzysu i ustaleniu, kto i w jakim stopniu był odpowiedzialny. Rakowski sugeruje — moim zdaniem słusznie — iż uczestnicy plenum **„nie byli jeszcze psychicznie i intelektualnie przygotowani do głębszych refleksji i rozważań o zawiłych drogach budownictwa socjalistycznego"**. Innymi słowy: nie poświęcili należytej uwagi wypracowaniu strukturalnych, modelowych rozwiązań dla przyszłości budownictwa socjalistycznego ani gwarancjom zabezpieczającym przed ponownymi kryzysami.

Ale przez cały niemal rok 1971 toczyła się publiczna dyskusja nad tymi problemami. W prasie zabierali głos liczni publicyści, niektórzy politycy, naukowcy, a przede wszystkim czytelnicy. Wydaje się, że dorobek intelektualny owej dysputy nad stanem i perspektywami państwa i społeczeństwa (po koniecznym odsianiu ujawniających się wtedy opinii i poglądów wysoce nierealistycznych czy wręcz balamutnych) nie został należycie przez partię zanalizowany i spożytkowany w dyskusji przed VI Zjazdem (grudzień 1971 roku).

Natomiast plon obrad VIII Plenum, opublikowany w specjalnym numerze „Nowych Dróg", nie zaspokajał ujawniającego się w wielu organizacjach partyjnych poczucia niedostatku informacji i ocen. Toteż Biuro Polityczne powołało jeszcze jedną komisję — tym razem pod przewodnictwem Władysława Kruczka — z zadaniem ostatecznego i szczegółowego wyjaśnienia wszystkich kwestii związanych z wydarzeniami grudniowymi. Raport tej komisji był gotowy w listopadzie 1971 roku, lecz wbrew oczekiwaniom członków partii, nie został nigdy opublikowany — zapoznano z jego treścią tylko niektórych delegatów na VI Zjazd (członków ustępującego KC), a potem nieliczną grupę aktywu partyjnego w Gdańsku. Od tej pory sprawa Grudnia 1970 roku zniknęła z obiegu publicznego.

„Raport Kubiaka" formułuje w tej kwestii tezę, będącą raczej znacznie uproszczonym skrótem myślowym — że to cenzura wyeliminowała sprawę Grudnia'70, nawet historyczno-naukowe refleksje na ten temat. Otóż instytucja zwana cenzurą jest urzędem państwowym, z natury rzeczy spełniającym ważne funkcje polityczne; ale przypisywanie jej tak daleko posuniętej, „demonicznej" wręcz samodzielności w owym okresie jest naiwnym chwytem propagandowym. Zresztą nie jestem pewien, czy owe „historyczno-naukowe refleksje" w ogóle powstawały, przecież pisać, nawet do tzw. szuflady, nikt nikomu nie mógł zabronić). A w okresie wyraźnego zliberalizowania kryteriów (rok 1981), czy chociażby obecnie, nie ukazało się na ten temat nic i nic się nie zapowiada — oprócz „Przesilenia grudniowego" Rakowskiego, który przyznaje, że książkę napisał w roku 1978, lecz *„o jej wydaniu nie było co marzyć"*. Ale dlaczego? — z braku wydawcy, w wyniku sprzeciwu „autocenzora" czy też decyzji o zatrzymaniu książki przez stosowny urząd...

4.

Spróbujmy wszakże przyjrzeć się faktom i poddać je ocenie politycznej z większego jeszcze dystansu, bogatsi przy tym o świadomość późniejszych wydarzeń, a zwłaszcza niefortunnego początku lat osiemdziesiątych.

5.

7 grudnia 1970 roku Willy Brandt i Józef Cyrankiewicz podpisali w Warszawie układ o podstawach normalizacji między PRL a RFN. Nie premier jednak, lecz I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka był głównym autorem owego układu. Był to jego wielki, osobisty sukces, nie tylko polityczny, ale i moralny. A samo wydarzenie, niezwykle doniosłe w dziejach powojennej Europy, miało rozliczne i ważkie implikacje międzynarodowe — lecz także olbrzymie znaczenie wewnętrzne — obok paru nieobojętnych dla sporej grupy obywateli konsekwencji praktycznych: owo znaczenie powstawało głównie w sferze psychologicznej, emocjonalnej: oto załatwiony został problem normalnego współżycia z drugim państwem niemieckim, należącym do wrogiego obozu polityczno-militarnego — i to na gruncie poszanowania polskiej racji stanu i naszych niezbywalnych interesów.

Ale jednocześnie w centrum dyspozycyjnym państwa kończono prace nad projektem podwyżek cen żywności, a ściślej — kompleksowej regulacji cen, tzn. podwyżki cen jednych (nb. nie tylko podstawowych artykułów spożywczych), a obniżki innych (głównie przemysłowych). Z globalnego bilansu spowodowanych w ten sposób zmian w budżetach rodzinnych Polaków wynikało niezbicie, że obniżka stopy życiowej jednak dotknie znaczną część obywateli. Poza tym na ogłoszenie regulacji wybrano szczególnie nie sprzyjający moment — dziesięć dni przed świętami Bożego Narodzenia, gdy rodzinne wydatki i tak gwałtownie rosną... Wybór terminu na pewno świadczy o jednym — o całkowitym lekceważeniu reguł psychologii społecznej.

Mogło jednak być nieco inaczej. M. F. Rakowski w „Przesileniu grudniowym" przytacza jeszcze jedno możliwe wytłumaczenie: *„Gdy w następnych miesiącach w centralnym aktywie partyjnym i państwowym wielokrotnie powracano do wydarzeń grudniowych, można było usłyszeć i taką opinię: Władysław Gomułka zdawał sobie sprawę z niepopularności przygotowywanej podwyżki, bo przecież nie ma takiego społeczeństwa, które z radością wita ruch cen w górę, ale sądził, że cała operacja przejdzie bezboleśnie właśnie dzięki temu, iż zostanie przeprowadzona w kilka dni po tak wielkim sukcesie, jakim było podpisanie układu z RFN. Choć to tylko jedna z wielu hipotez, ale dość często wówczas powtarzająca się (...)"*.

Oczywiście i dzisiaj jest to tylko hipoteza, albowiem nie dysponujemy żadnymi pewnikami w tej mierze — być może wytłumaczenie znajduje się w nieznanych jeszcze dokumentach z tego okresu. Można jednak z dużą pewnością przyjąć, że Gomułka mógł rozumować właśnie w ten sposób. Wiadomo bowiem z wielu przekazów, że niemal w ogóle nie zdawał on sobie sprawy z rzeczywistych nastrojów społeczeństwa; sam niechętnie podejmował takie kwestie, a poza tym był przez swe otoczenie dość skutecznie izolowany od sygnałów płynących z dołu — od organizacji partyjnych, z administracji, z listów i skarg obywateli.

6.

Nie ulega wątpliwości, że to decyzja o regulacji cen spowodowała bezpośrednio tragiczne wydarzenia na Wybrzeżu i ich rozległe konsekwencje polityczne. Ale w istocie spełniła tylko rolę zapłonu; natomiast materiał wybuchowy gromadził się już od dawna...

W końcu roku 1970 prawie nic już nie pozostało z ogromnego kredytu zaufania, jakim Gomułkę i jego ekipę obdarzyli Polacy w październiku 1956 roku. Przyczyny były liczne i na rozmaitych płaszczyznach, ale najważniejszą chyba rolę odegrał zespół okoliczności, które umownie i z dużym, publicystycznym uproszczeniem, nazywam stagnacją społecznych warunków bytowania.

Stopa życiowa znakomitej większości Polaków — i tak relatywnie niska — stała w miejscu od lat. Jednocześnie oficjalne statystyki świadczyły o globalnym wzroście dochodu narodowego i w ogóle o dynamicznym rozwoju gospodarki. Tedy usprawiedliwione staje się pytanie, powszechnie wówczas zadawane — co się właściwie dzieje z naszą gospodarką? Miast rzetelnej odpowiedzi, gomułkowska koncepcja polityki ekonomicznej proponowała obywatelom zadowolenie się tym, co później publicyści nazwali zgrzebnym, albo siermiężnym, socjalizmem. A więc tanim, oszczędnościowym budownictwem mieszkaniowym (ślepe kuchnie, wspólne urządzenia sanitarne na klatkach schodowych, drastycznie obniżone normy metrażowe itp.), oficjalną dezaprobatą dla modelu wzrostu konsumpcji indywidualnej, wyrażającą się np. w potępieniu projektu rozwoju przemysłu samochodowego, karceniu za „szerzenie postaw konsumpcyjnych".

Był to model mało atrakcyjny, zwłaszcza dla młodych Polaków, do których nie przemawiały jakże często czynione wtedy przez przywódców porównania do stanu gospodarki przed wojną, aczkolwiek były one prawdziwe. Był to też model niezrozumiały, albowiem Polacy już wtedy mieli możność porównań z osiągnięciami narodów bezpośrednio sąsiadujących z nami i startujących z porównywalnego poziomu sił wytwórczych — na tym tle polska koncepcja rozwoju musiała być odczuwana jako fałszywa.

Proponowane na nową dekadę zmiany były cząstkowe i chaotyczne, przy tym niosły dodatkowe uciążliwości we wstępnej fazie wprowadzania. Tak właśnie było z tzw. bodźcami materialnego zainteresowania. Główny autor tej koncepcji, Bolesław Jaszczuk, odpowiedzialny wtedy za sprawy ekonomiczne członek najwyższych władz partyjnych i przede wszystkim trzyosobowego nieformalnego kierownictwa państwa (oprócz niego Gomułka i Zenon Kliszko), podjął ostatnio obronę tego pomysłu — w opublikowanym w „Polityce" (nr 53 z 31 grudnia 1983 r.) polemicznym artykule „Zaorany dorobek". Jaszczuk ma rację, pisząc, że była to spójna koncepcja wprowadzenia systemu motywacyjnego, wiążącego zarobki bezpośrednio z wydajnością pracy, oszczędnością itp. Nie chce jednak pamiętać o paru szczegółach tego systemu, które spowodowały powszechną niechęć wobec tych rozwiązań. Otóż system zasadzał się de facto na rewizji (oczywiście w górę) struktury tzw. norm pracy, co spowodowałoby przejściowe, ale najprawdopodobniej długotrwałe pogorszenie zarobków. Z punktu widzenia polityki społecznej jest to absurd, choć niewątpliwie ekonomicznie zasadny. A system, wprowadzony eksperymentalnie latem 1970 roku w paru zakładach i branżach, miał obowiązywać generalnie od 1971 roku. Właśnie jesienią w przemyśle odbywało się wielkie liczenie, a jego pierwsze wyniki przedostawały się do opinii załóg i w ogóle świadomości robotników.

W takiej to atmosferze sukces na arenie międzynarodowej żadną miarą nie mógł skutecznie oddziaływać na poglądy i zachowania społeczne, albowiem ich zasadniczym wyznacznikiem były stale pogarszające się warunki codziennej egzystencji.

7.

12 grudnia, w sobotę, Biuro Polityczne skierowało list do organizacji partyjnych, zapowiadający i tłumaczący regulację cen — miał on ideologicznie uzbroić członków partii i dostarczyć im argumentów. Ale efekt ten nie został osiągnięty. Brak zaufania do przywódców i ich polityki osiągnął punkt krytyczny.

14 grudnia, w poniedziałek, zebrało się VI Plenum KC poświęcone kwestiom ekonomicznym, ale nie cenom — na ten temat nikt nie zabrał głosu.

W trakcie obrad, około godz. 10 do Alojzego Karkoszki, ówczesnego I sekretarza KW w Gdańsku, dotarła informacja o strajku w Stoczni Gdańskiej; następnie dowiedział się o tym Stanisław Kociołek, członek Biura Politycznego i wicepremier, do niedawna I sekretarz w Gdańsku. Obaj natychmiast podjęli inicjatywę wyjazdu do Gdańska, po konsultacji z Gomułką i Cyrankiewiczem. Gomułka nie poinformował członków Komitetu Centralnego o tym, co dzieje się na Wybrzeżu.

Gdy Kociołek i Karkoszka około godz. 13 przyjechali do Gdańska, sytuacja już była bardzo groźna. Poranny strajk w stoczni rozszerzył się na inne zakłady, a przede wszystkim przerodził się w demonstracje uliczne. Około godz. 11 ze stoczni wyszło ponad tysiąc osób i udało się pod budynek KW. Po drodze demonstracja się rozrosła — o ciekawskich, a także sporą ilość ludzi z marginesu. W KW nie podjęto rozmów, jeden z sekretarzy wezwał tylko tłum do rozejścia. Demonstranci ruszyli na Politechnikę, zawładnęli zradiofonizowanym samochodem łączności, podeszli pod rozgłośnię radiową, a po południu znów kierowali się pod budynek KW. O tej porze siłami porządkowymi dowodził już wiceminister spraw wewnętrznych Henryk Słabczyk; podjęły one kilka prób rozproszenia demonstracji, które rozrosły się do kilkunastu tysięcy ludzi. Ale już wtedy rozbijano i rabowano sklepy, podpalano samochody i kioski „Ruchu", zdemolowano dworzec PKP, podjęto próbę podpalenia KW.

Wieczorem do Gdańska przybyli członkowie Biura Politycznego Zenon Kliszko i Ignacy Loga-Sowiński oraz wiceminister obrony narodowej Grzegorz Korczyński. Kliszko w sposób nieformalny objął kierownictwo w lokalnym ośrodku dyspozycyjnym. Wedle powszechnej opinii — wyjąwszy autoocenę samego Kliszki — była to podstawowa przyczyna tragedii.

Obraz Gdańska, jaki zobaczył Kliszko i członkowie jego ekipy — dopalające się autobusy i kioski, rozbite sklepy, tłumy rozwydrzonych chuliganów na ulicach — decydująco wpłynął na ocenę sytuacji. Kliszko działał pod wpływem emocji — sam to zresztą przyznał podczas dyskusji na VIII Plenum KC (cytuję według „Przesilenia grudniowego" Rakowskiego): *„wystąpiłem nawet w sposób brutalny* (mowa o ocenie sytuacji dokonanej przez Kliszkę na posiedzeniu Egzekutywy KW w nocy z 15 na 16 grudnia — przyp. TS), *dlatego, że widziałem w południe ten płonący gmach Komitetu Wojewódzkiego z helikoptera. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem, jak się okazało, że jest kilku czy kilkunastu ludzi jeszcze w gmachu, w płonącym gmachu, że tłum nie dopuszcza straży pożarnej i że tych ludzi nie można ewakuować"*.

Kliszko z góry i bezdyskusyjnie odrzucił metodę politycznego rozwiązania, uważając, że wystąpienia robotników w Gdańsku mają charakter kontrrewolucyjny, że wynikają z ich niedojrzałości politycznej i skłonności do awanturnictwa. Ta opinia, przekazana do Warszawy, wzmocniła tylko podobne przekonania Gomułki, skłaniając go do przyjęcia propozycji Kliszki i generała Korczyńskiego — a była to prośba o zezwolenie na użycie siły...

15 grudnia rano Gomułka podjął decyzję o użyciu broni — jednoosobowo i bez pytania kogokolwiek o zdanie. A ponieważ sformułował ją w obecności nie tylko członków najwyższych władz partyjnych, ale także premiera i przewodniczącego Rady Państwa — decyzja nabrała mocy obowiązującego aktu państwowego.

8.

Od tego momentu wydarzenia na Wybrzeżu w sposób nieuchronny zmierzały ku tragedii. Pierwsze strzały padły w Gdańsku rano 15 grudnia — z manifestującego tłumu; ranni zostali trzej milicjanci. W toku ulicznych zamieszek wokół płonącego dworca i budynku NOT i w innych miejscach zginęło 6 osób. Podczas nocnego posiedzenia Egzekutywy KW, Kliszko nakazał blokadę Stoczni Gdańskiej od rana 16 grudnia. Strajkujący robotnicy, mimo ostrzeżeń sił porządkowych i niektórych organizatorów strajku, podjęli próbę odblokowania bramy nr 2. Po salwie, oddanej w ziemię przed atakującymi, dwie osoby zginęły od rykoszetów, a 11 zostało rannych. Demonstracje w Gdańsku trwały do wieczora, aż po porozumieniu ze strajkującymi doszło do opuszczenia stoczni przez robotników. Następnego dnia — 17 grudnia — na ulicach Gdańska trwały liczne starcia z agresywnymi grupami chuliganów.

Szczególnie tragiczne były wydarzenia w Gdyni. 14 grudnia panował tam spokój. 15 grudnia przerwano pracę w stoczniach, a delegaci strajkujących podjęli rozmowy z przewodniczącym Prezydium MRN. W mieście nic się nie działo. Ale o północy aresztowano delegatów — do dziś nie wiadomo, kto podjął tę decyzję. Wiele wskazuje na to, że Kliszko, przeciwny jakimkolwiek rozmowom. W każdym razie była to jedna z najbardziej absurdalnych decyzji tych tragicznych dni na Wybrzeżu.

Od rana 16 grudnia wzburzenie gdyńskich stoczniowców było już nie do opanowania. Kliszko podjął dwie decyzje w sprawie Stoczni im. Komuny Paryskiej: zwolnienie wszystkich z pracy i weryfikację załogi oraz blokadę wszystkich dojść. Tego samego dnia wieczorem nie poinformowany o niczym i działający na własną rękę Kociołek wygłosił apel telewizyjny o podjęcie pracy w stoczniach i porcie. Gdy zorientowano się w tej sprzeczności i jej możliwych konsekwencjach, na przeciwdziałanie było już za późno — co więcej, robotnicy uznali akcję wstrzymującą wyjście do pracy za prowokację. Rano 17 grudnia pod stocznią w Gdyni zebrały się tysiące robotników. Podjęli oni atak na siły wojskowe blokujące bramy. Użyto broni — zginęły 4 osoby. Tego dnia w niezwykle gwałtownych zajściach na ulicach Gdyni zginęło jeszcze 14 osób.

Również w Szczecinie doszło do podobnie tragicznych wydarzeń. 17 grudnia rozpoczęły się strajki w Stoczni im. Warskiego i Stoczni Remontowej „Gryfia". Parotysięczny tłum wyszedł z nich na ulice. Niezwykle szybko przyłączyły się do niego agresywne grupy awanturników, wręcz przestępców. Podjęto próby podpalenia budynków KW, KW MO i WRZZ — w starciu pod komendą milicji obrońcy budynku użyli broni. Parokrotnie atakowano też prokuraturę i więzienie (co świadczy o udziale elementów kryminalnych) oraz budynek redakcji gazet. Na ulicach Szczecina siły porządkowe kilkakrotnie strzelały do atakujących tłumów — zginęło 16 osób. W tym samym czasie jedna osoba zginęła podczas zajść w Elblągu.

Ogólny bilans tragicznych wydarzeń — 45 ofiar śmiertelnych (komunikaty prokuratury podają 44 osoby), 1165 rannych, 19 spalonych obiektów, 220 zrabowanych sklepów, wartość strat — 105 milionów zł w Trójmieście, 300 milionów w Szczecinie. Strat niemożliwych do oszacowania było znacznie więcej...

9.

Konflikt na Wybrzeżu nie wygasł całkiem wraz z ustaniem strzałów. Długo utrzymywała się atmosfera strajkowa, a jeszcze przez kilka dni wybuchały lokalne starcia. Konflikt nadal mógł łatwo przenieść się w inne regiony kraju i rozszerzyć się. Toteż jego rozwiązanie powinno być tylko polityczne.

Większość członków kierownictwa partii i rządu jasno zdawała sobie sprawę z tego, że Władysław Gomułka i najbliżsi mu ludzie — Kliszko, Jaszczuk, a także premier Cyrankiewicz — utracili nie tylko zdolność w miarę skutecznego kierowania, ale w ogóle zdolność orientacji w tym, co się dzieje.

W tej sytuacji, gdy Gomułka poważnie zachorował (poddano go leczeniu szpitalnemu z powodu zaburzeń krążenia i zakłóceń wzroku), Biuro Polityczne podjęło decyzję o skłonieniu go do dymisji. Decydująca rozmowa odbyła się 19 grudnia w szpitalu — Gomułka złożył rezygnację na ręce Cyrankiewicza i Kliszki, wcześniej wysłuchawszy opinii Józefa Tejchmy, który sugerował takie rozwiązanie. Już następnego dnia, w niedzielę 20 grudnia, VII Plenum KC, po wysłuchaniu sprawozdania Kociołka z przebiegu wydarzeń, przyjęło rezygnację Władysława Gomułki. Wybrano nowego I sekretarza KC — Edwarda Gierka. Z Biura Politycznego usunięto Kliszkę, Jaszczuka, Ryszarda Strzeleckiego i Mariana Spychalskiego. Do władz weszli: Edward Babiuch, Piotr Jaroszewicz, Mieczysław Moczar, Stefan Olszowski i Jan Szydlak — czyli zasadniczy trzon ekipy partyjno-rządowej lat siedemdziesiątych.

10.

Rozpoczął się nowy rozdział polityczny w Polsce, ale jego dzieje nie są przedmiotem moich refleksji.

Spróbuję tylko odpowiedzieć na pytanie postawione w tytule: czego jest więcej w naszym współczesnym spojrzeniu na wydarzenia grudniowe: chęci wyciągnięcia rzetelnych praktycznych wniosków czy też mitologizacji tamtej tragedii...

Sądzę, że współcześnie w naszej świadomości narodowej przeważa ta druga tendencja. Mitowi, symbolice trójkrzyżowego pomnika poddają się liczne rzesze ludzi (choć nie ma już skłonnych do wyjścia na ulice pod tym sztandarem...). Mimowiednie ulegają jej chyba także przedstawiciele władz partii i państwa, albowiem nie czynią wszystkiego co możliwe dla upowszechnienia pełnej wiedzy o faktach, a także rzetelnej, opartej o marksistowskie pryncypia ideowe interpretacji Grudnia — intepretacji mogącej przeciwstawić się mitowi. Zarzut ten zresztą należy w równym stopniu skierować pod adresem środowisk naukowych. Jedna publicystyczna książka Rakowskiego to za mało...

Na początku lat siedemdziesiątych nader szybko zapomniano o Grudniu. Najpierw członkowie ekipy Gierka i on sam spowodowali blokadę tego tematu w obiegu publicznym. Potem zapomnieli zwykli obywatele. Tempo wzrostu gospodarczego, odczuwalna poprawa warunków życia, wzbudzenie nastrojów prokonsumpcyjnych, kredyty, licencje i oszałamiające perspektywy „drugiej Polski" sprawiły, że ofiara Grudnia nie wydawała się daremna. Nie bez znaczenia jest w tym procesie także pewna liberalizacja systemu politycznego (aczkolwiek, jak się później okazało, raczej fasadowa i fikcyjna). Obywatele rozszerzyli horyzonty swych aspiracji, zdobyli nowe marzenia, zaczęli osiągać nierealne niegdyś cele osobiste, żyli dostatniej — do tego pamięć o Grudniu nie była potrzebna.

Tylko nieliczni, najściślej emocjonalnie związani z wydarzeniami, przy tym schodzący na pozycje zdecydowanie wrogie ustrojowi, pamięć tę podtrzymywali usiłując czcić miejsca i rocznice, co zresztą spotykało się z nadmiernie gwałtownymi reakcjami władz lokalnych.

Dopiero sytuacja kryzysowa roku 1980 nagle spowodowała ostry, emocjonalny nawrót do pamięci o Grudniu, do ożywienia tamtej historii nie jako zbioru faktów i ocen, ale do narodzin żywego i atrakcyjnego mitu — gdy okazało się, że społeczne efekty tamtej ofiary zostały jednak zaprzepaszczone, zrodził się symbol, szybko zamieniony w oręż bezpardonowej walki politycznej z państwem i ustrojem. Mimo iż państwo siłę tego mitu zaakceptowało i to wcale nie w poczuciu winy, ale wspólnoty losów wszystkich Polaków.

Ci, którzy ten oręż do walki z władzą wyrychtowali, nie zauważyli jednego — że z pamięci o „ich" Grudniu obie strony: przedstawiciele władzy i protestujący w sierpniu 1980 roku robotnicy w tych samych stoczniach, skorzystały w sposób bezpośredni, niemal dosłowny. Robotnicy nie wyszli na ulice, zaś przedstawiciele władz partyjnych i państwowych podjęli z nimi dialog, bez obrażania się i poczucia wyższości, w trosce o całość bytu państwa — a wcale nie powodowani instynktem samozachowawczym, jak to potem usiłowano wmawiać obu stronom porozumień sierpniowych.

Ujawniane przez liderów opozycji dążenie do konfrontacji siłowej — właśnie wbrew lekcji Grudnia — wywodziło się z przekonania, że władza państwowa jest tak słaba, że właściwie leży na ulicy, wystarczy silniej przycisnąć.

Przesłanka była fałszywa, a przebudzenie dosyć dotkliwe. Do rozlewu krwi jednak nie doszło. 13 grudnia 1981 roku, niemal dokładnie 11 lat po tragedii Wybrzeża, to przedstawiciele władz państwa udowodnili, że z lekcji grudniowej zapamiętali więcej i skuteczniej. Szesnaście miesięcy przed tym dniem odeszła ekipa rządząca, która o Grudniu kazała sobie i obywatelom zapomnieć. Pamięć zbiorowa społeczeństw jest jednak pojemniejsza niż się to arogantom wydawało. Wprawdzie opornie rezygnuje z mitów, bywa nieprzychylna wobec prawd brutalnych i niepopularnych, jest podatna na uproszczenia i przeinaczenia, mało odporna na demagogiczne hasła i pamiętliwa, gdy chodzi o urazy rzeczywiste i domniemane — ale w końcu przekonuje się do faktów. Długo to trwa, zanim w powszechnej świadomości historycznej powstaną nowe, bliższe prawdy interpretacje. Można jednak mieć pewność, że tak się stanie, a mit przekształci się w doświadczenie.

TOMASZ SAS

Refleksje historyczne

Doświadczenie czy mit?

Poddębice robią niezłe wrażenie, ale...

TERESA JERZYKOWSKA

Poddębice robią na przyjezdnych niezłe wrażenie. Nawet teraz, w czasie paskudnej jesienno-zimowej pogody, miasteczko wygląda w miarę czysto i porządnie: większość dziur w jezdniach i chodnikach wyłatana, elewacje domów nie straszą odpadającymi tynkami. Tylko przy ul. Łódzkiej — jednej z głównych ulic, odchodzących od rynku, stoi jeszcze parę ruder. Do Poddębic przyjeżdżają załatwiać rozmaite sprawy w gminnych instytucjach oraz po zakupy, nie tylko mieszkańcy wchodzących w skład gminy wsi. Sklepy odwiedzają przyjezdni z dalszych okolic, w tym i z Łodzi. Przyjeżdżają i... wyjeżdżają z paczkami, chwaląc zaopatrzenie. Można bowiem bez kolejki kupić tu buty, które np. w Łodzi rozeszłyby się w ciągu kilku godzin, ewentualnie atrakcyjny płaszcz produkcji poddębickiego ZPO im. Próchnika. Inaczej niż przyjezdni oceniają zaopatrzenie sami mieszkańcy.

Mówią o niewłaściwych godzinach pracy placówek handlowych — od 8 do 16, a więc ludzie pracujący mają bardzo utrudnione zakupy, o brakach w zaopatrzeniu nie tylko w towary trudno dostępne w całym kraju, ale także — i to denerwuje szczególnie — w artykuły podstawowe. Należy do nich np. chleb. Na co dzień właściwie go nie brakuje, ponadto jakość pieczywa jest dobra, ale przed świętami zdarzały się trudności. Chleb był wtedy dowożony z innych miejscowości i w końcu każdy go kupił, ale tracąc sporo czasu w kolejce. Zdarza się również, że w piątki i w soboty po południu brakuje mleka.

Powszechnie krytykowana jest jakość wędlin (choć ostatnio obserwuje się pewną, niewielką jeszcze poprawę). Słychać również narzekania na strukturę zaopatrzenia sklepów mięsnych. Właściwie „coś" można kupić i przed samym zamknięciem sklepu, ale są to przeważnie droższe gatunki mięsa i wędlin. Z tańszymi, które cieszą się tu większym powodzeniem, jest kłopot.

Z DYSKUSJI NA KONFERENCJI MIEJSKIEJ PZPR:

ZENON MAJEWSKI:

— *Sprawa, o której chciałbym mówić, to handel. Potrzebna jest większa dyscyplina pracy w sklepach, a także zaostrzenie kontroli. Np. przyjęcie towaru w sklepach wiejskich trwa po 2—3 dni, zwłaszcza, kiedy przywiozą tzw. towary luksusowe. A gdy sklep potem otworzą — to już nic nie ma. Gdzie się to podziało? Ano, sprzedawane jest od zaplecza, właśnie w czasie, gdy rzekomo „przyjmują" towar. Złe jest również zaopatrzenie w niektóre podstawowe artykuły — jak choćby bezkartkowe cukierki — które bez trudu można kupić w Zduńskiej Woli. Nie wiem, czyja to wina — władz wojewódzkich, gminnych, rozdzielnika czy po prostu kierowników sklepów, którzy nie zamawiają towaru, ale takie różnice w miejscowościach nie tak znowu odległych denerwują ludzi.*

RENATA OŚKIEWICZ:

— *Los kobiet — zwłaszcza pracujących — nie jest łatwy. Chciałabym zwrócić uwagę na konieczność koordynacji wolnych sobót — inaczej wypadają one w zakładach pracy, inaczej w przedszkolach, jeszcze inaczej w PKS i w różnych urzędach.*

Drugi ważny dla nas problem — to handel. Dostawy są przeważnie od rana, po wyjściu z pracy niewiele już można kupić. Poza tym braki w zaopatrzeniu. W zasadzie są w sklepach proszki do prania, mydła itp., ale te najdroższe, zagraniczne, brakuje natomiast tańszych, krajowych, najbardziej poszukiwanych. Podobnie z wieloma innymi rzeczami. Niby są — ale akurat nie takie, jakich się szuka.

KAŻDY CHCE MIEĆ MIESZKANIE

Okres oczekiwania na spółdzielcze mieszkanie jest długi — około 9 lat. Nietypowy jest natomiast fakt, że w okresie, gdy budownictwo w skali kraju uzyskiwało największe efekty, w Poddębicach nastąpił regres. W latach 1976—80 oddano do użytku zaledwie 143 nowe mieszkania. Obecnie nadrabia się zaległości. Lata 1981—83 to 190 mieszkań spółdzielczych, 42 wybudowane w ramach budownictwa zakładowego i 122 budynki indywidualne (z tego 79 na wsi).

W wyraźny sposób odczuli poprawę sytuacji mieszkaniowej pracownicy „Próchnika". W tym roku 36 rodzin otrzymało klucze do własnych mieszkań. Nadal oczekuje na nie 70 pracowników — członków spółdzielni. W zakładach rozważa się możliwość przyjścia im z pomocą i przyśpieszenia terminów przydziałów. Podjęte zostały rozmowy między zakładem a spółdzielnią mieszkaniową o przekazanie w roku przyszłym jednego bloku w stanie surowym, do wykończenia przez zakład, przy dużym udziale pracy samych przyszłych lokatorów. Decyzje w tej sprawie jeszcze nie zapadły. Na razie oczekujący na mieszkania pracownicy „Próchnika" i innych zakładów chodzą oglądać, jak rośnie nowe osiedle, w którym część z nich zamieszka.

Jeśli plan budownictwa na lata 1983—85 zostanie zrealizowany, okres oczekiwania na mieszkanie w Poddębicach zmniejszy się do lat pięciu.

Z MIASTA NA WIEŚ DO SZKOŁY

Kolejnym, nienowym tematem, interesującym mieszkańców Poddębic, przede wszystkim zaś rodziców dzieci w wieku szkolnym, jest właśnie szkoła. Budynek dosłownie pęka w szwach, niektóre klasy wożone są na zajęcia do pobliskiej wsi. W takim tłoku zarówno dzieci jak i nauczyciele męczą się o wiele bardziej, niż w normalnych warunkach, a ponadto — i to właściwie najbardziej niepokoi rodziców — trudno jest takiej masie stłoczonych dzieci zapewnić warunki gwarantujące bezpieczeństwo i umożliwiające właściwą realizację procesu wychowawczego, nie dopuścić do rozszerzenia się negatywnych zjawisk, których pierwsze symptomy już się pojawiają. Rozpoczęto wprawdzie przygotowania do budowy nowej szkoły, ale prace budowlane rozpoczną się nie wcześniej niż w 1985 roku.

Z DYSKUSJI NA KONFERENCJI MIEJSKIEJ PZPR:

FRANCISZEK BIENIAS:

— *Większość szkół w gminie jest względnie dobrze wyposażona w pomoce naukowe, obecnie jednak grozi regres w dalszym uzupełnianiu wyposażenia pracowni i klas, bowiem system zaopatrywania szkół został nadmiernie scentralizowany. Sprawą nader ważną jest zapewnienie należytej opieki zdrowotnej uczniom. Mimo dobrej współpracy z ZOZ sytuacja w tym względzie uległa pogorszeniu — brak bowiem wystarczającej liczby personelu medycznego — nie tylko lekarzy, ale i pielęgniarek. W niektórych wsiach brakuje szkół — są to jednak te miejscowości, gdzie jest po prostu mało dzieci. Uruchomienie szkoły w takiej miejscowości nie byłoby więc celowe, nie tylko z uwagi na brak kadry nauczycielskiej, lecz przede wszystkim na zbyt małą liczbę uczniów. W tej sytuacji doskonalenie systemu dowożenia dzieci jest konieczne — jednak obarczanie szkół problemami transportu wydaje się niesłuszne.*

W najtrudniejszej sytuacji są Poddębice. W 21 izbach mieszczą się tu 2 klasy przedszkolne, klasa specjalna i 37 oddziałów szkoły podstawowej.

DLA NAJMŁODSZYCH

Żłobek był właściwie obiektem ZPO im. Próchnika, jednak większość zatrudnionych tu matek najmłodszych dzieci woli korzystać z urlopów wychowawczych, przekazano go więc ZOZ, na potrzeby całego miasta. Obecnie w zakładzie odnotowuje się zjawisko wcześniejszych powrotów kobiet z urlopów. Podobne przypadki zdarzają się także w innych zakładach pracy i instytucjach. W niedalekiej przyszłości może się więc okazać, że i żłobek przestał wystarczać na potrzeby miasta, na razie jednak z umieszczeniem w nim malucha nie ma większych trudności.

KAWIARNIA I KINO

— nawet, jeżeli wyświetla się dobre, „kasowe" filmy, to niewiele. Miejski Dom Kultury boryka się z brakiem instruktorów, a także... chętnych do działalności. Wielu młodych ludzi nie bywa tu, ponieważ jest to placówka dla „stowarzyszonych" — członków kółek zainteresowań, itd. Ktoś, kto tylko od czasu do czasu chciałby spędzić tu popołudnie czy wieczór, nie ma właściwie czego szukać.

Młodzi członkowie załogi „Próchnika" (60 proc. zatrudnionych to ludzie do 30 lat) myśleli o założeniu własnego, zakładowego domu kultury, ale, jak na razie, sprawa rozbija się o brak lokalu. Starania trwają.

Negatywnie oceniają mieszkańcy — a także władze miasta — poziom trafiających tu zespołów estradowych. Zdarzało się, że przyjeżdżali tu z mernym programem artyści o nieznanych nikomu nazwiskach, a na dodatek organizatorzy imprezy sprzedawali na nią więcej bardzo drogich biletów, niż mogła pomieścić sala. Obecnie praktyki takie zostały ukrócone.

Foto: M. Zajdler

Janusowe oblicze techniki

WITOLD KASPERKIEWICZ

W drugiej połowie XX wieku wystąpiło zjawisko gwałtownej ekspansji badań naukowych i innowacji technicznych we wszystkich krajach uprzemysłowionych. Zdobycze nauki i techniki przyczyniły się w dużej mierze do ukształtowania oblicza współczesnej cywilizacji przemysłowej. Tak przełomowe innowacje jak: nylon, telewizja, mikroprocesory, samoloty ponaddźwiękowe itp. otworzyły nową kartę w zaspokajaniu ludzkich potrzeb i powołały do życia wiele nowoczesnych gałęzi produkcji. Naukowców i wynalazców zaczęto otaczać kultem, jakim darzono niegdyś starożytnych herosów. Przepowiadano nawet rychłe nadejście ery logokratów, którzy zapewnią ludzkości „królestwo boże na ziemi". Bez udziału nauki nie może przecież udać się żadne poważniejsze przedsięwzięcie. Nauka wespół z techniką stały się bezpośrednią siłą wytwórczą, główną siłą motoryczną cywilizacji przemysłowej.

Niezwykłe tempo rozwoju nauki i techniki skłoniło wielu intelektualistów do formułowania bardzo odważnych tez na temat przyszłej ekspansji nauki. Historyk D. de Solla Price wysunął tezę, że nauka co trzy, cztery lata podwaja liczbę zdobytych informacji. Stwierdził także żartobliwie, że jeśli tempo rozwoju nauki nie zmniejszy się to za kilkadziesiąt lat przypadać będzie „po dwóch uczonych na każdego mężczyznę, kobietę, dziecko oraz psa". Zaś wydatki ponoszone na badania naukowe wzrosną tyle, że dwukrotnie przekroczą przyszłe budżety wszystkich państw. Prognozy D. Price'a wprawdzie bardzo spektakularne, to jednak nie spełniły się, rozwój nauki nie osiągnął monstrualnych rozmiarów. Na początku lat siedemdziesiątych nastąpiło w wysoko rozwiniętych krajach wyhamowanie tempa przyrostu ludzi zajmujących się nauką i wydatków finansowych na naukę. W krajach zachodnich w sferach tzw. establishmentu naukowego (czyli ludzi rządzących nauką) zaczęto lansować pogląd o kryzysie nauki czy też kryzysie w nauce. Wzrósł sceptycyzm opinii społecznej wobec wartości licznych epokowych osiągnięć naukowo-technicznych, jak inżynieria genetyczna, loty kosmiczne czy lądowanie na Księżycu. Rozczarowanie społeczne dotychczasowymi zdobyczami nauki i techniki stało się źródłem powstania rozmaitych ruchów antyscjentycznych i antyintelektualnych, popularnych zwłaszcza wśród zbuntowanej młodzieży bogatych krajów kapitalistycznych.

Zwrot w ocenie wpływu nauki i techniki na różne dziedziny życia można uznać za przejaw schizofrenii; występuje tu bowiem gwałtowne przejście od euforii do depresji i zwątpienia w osiągnięcia techniki. U podłoża tego zjawiska, pomijając wielowątkowy problem kryzysu dotychczasowych form kultury, leży zdetronizowanie pod wpływem doświadczenia historycznego, stereotypu — sformułowanego notabene w latach 60 — o dobroczynnym, absolutnie postępowym charakterze rozwoju techniki. Stereotyp ten można przedstawić w formie liniowego zapisu trzech elementów: osiągnięcia techniki — produkcja — dobrobyt społeczny. Zapis ów sugeruje prosty i pozytywny związek między zdobyczami techniki zastosowaniem ich w produkcji i dobrobytem społecznym. Tymczasem pobieżna chociażby analiza skutków technicznej inwencji człowieka zmusza do prostej w gruncie rzeczy konstatacji, że burzliwy postęp w dziedzinie techniki ma janusowe oblicze, pozytywne i negatywne strony, przy czym ostatnimi czasy następuje niebezpieczna kumulacja negatywnych skutków techniki. Zastosowanie w gospodarce nowoczesnych wyrafinowanych technik i technologii wzmaga wiele szkód i zagrożeń, wśród których dominują następujące: poważne zakłócenie równowagi ekologicznej, nagromadzenie olbrzymich środków zniszczenia, możliwość inwigilacji elektronicznej, negatywne zjawiska typu psychologicznego („szok przyszłości") polegające na występowaniu ciągłego stresu u jednostek, poczuciu zagubienia się w szybko zmieniającej się rzeczywistości. Techniczne przyspieszenie spowodowało pojawienie się dwóch równolegle zachodzących procesów: system gospodarczy staje się coraz bardziej złożony, a tempo przemian ciągle rośnie. Kombinacja tych czynników — złożoności i prędkości daje mieszankę wybuchową, stając się źródłem licznych zagrożeń cywilizacyjnych.

Mimo osiągnięcia przez współczesną cywilizację wyżyn postępu technicznego, jest ona w istocie rzeczy konstrukcją dość kruchą. Znany historyk Kenneth Boulding twierdzi, że starożytne miasta były zdolne odroczyć śmierć głodową swoich mieszkańców o kilka tygodni. Miasta współczesne są równie słabo zabezpieczone, tylko ich odporność na zagrożenia jest o wiele słabsza. Są one uzależnione od zewnętrznych źródeł żywności i energii, od transportu drogowego, od oświetlenia, wind, ogrzewania, od zapasu tlenu w szpitalach, wody w domach i fabrykach; uzależnione tak bardzo, że — choć nie chcemy o tym myśleć — dzisiejsze miasta molochy żyją na skraju przepaści. Innym, wręcz złowieszczym symptomem owej kruchości jest nagromadzenie na kuli ziemskiej gigantycznych arsenałów broni nuklearnej.

Wzrastające społeczne koszty rozwoju techniki, wyrażające się w zagrożeniach cywilizacyjnych, stawiają współczesne społeczeństwa przed wyborem jednego z trzech wariantów postępowania:

— kontynuowanie nie kontrolowanego społecznie rozwoju nauki i techniki;

— wstrzymanie rozwoju nauki i techniki, stanowiące element koncepcji postępu „zerowego";

— świadome sterowanie procesami rozwoju nauki i techniki w celu nadania mu kierunku zgodnego z potrzebami i wartościami ludzkimi.

Tolerowanie dotychczasowego żywiołowego rozwoju techniki prowadzi do zaostrzenia wszystkich dylematów cywilizacji przemysłowej. Natomiast koncepcja postępu „zerowego" jest niebezpieczną chimerą. To nie postęp techniczny per se przynosi ludzkości szkody, lecz kierunki jego działania oraz żywiołowe, nie opanowane przez człowieka uboczne jego skutki, jak niszczenie otoczenia naturalnego. Wyobraźmy sobie, jakie mogłyby być reakcje społeczeństwa na apel, aby narody świata natychmiast wstrzymały wszelką działalność innowacyjną. Powiedziano by zapewne, można taki pomysł rozważyć w przyszłości, ale najpierw musimy przezwyciężyć deficyty żywności, znaleźć metody leczenia raka, udoskonalić system transportu, zaprzestać zanieczyszczania rzek etc. Mimo olbrzymich kosztów społecznych postęp techniczny dokonuje się ciągle. Człowiek osiągnął bowiem taki stopień rozwoju techniki, który pozwala mu w pewnym stopniu uniezależnić się od środowiska, ale niezależność ta jest stale zagrożona, a jej utrzymanie wymaga nieustannego dostosowywania się do zmian. Przypomnijmy, że w Indiach — mimo wielkiego autorytetu, jakim cieszył się Gandhi — nie przyjęły się jego nawoływania o odrzucenie zachodniej techniki i powrót do tradycyjnej kultury nietechnicznej.

Słabości pierwszego i drugiego wariantu oznaczają, że racjonalny wydaje się jedynie trzeci wariant. Strategia rozwoju techniki oparta na świadomym sterowaniu tym procesem jest niezwykle trudna, ponieważ może kolidować z partykularnymi interesami silnych grup nacisków (np. w dziedzinie sektora zbrojeniowego). Ponadto niełatwo jest przewidzieć i ocenić konsekwencje jej stosowania, nie hamując przy tym innowacji. Mimo to nie ma rozsądnej alternatywy dla strategii sterowania techniką i cały wysiłek intelektualny należy skierować na powiązanie rozwoju techniki z ludzkimi potrzebami oraz na zapewnienie prymatu kryteriów społecznych nad technicznymi w zakresie posługiwania się tworami techniki.

Postęp na polu techniki nie jest celem samym w sobie, ostatecznie ma on służyć podnoszeniu efektywności gospodarowania i wzrostowi dobrobytu społecznego. Z tego względu wprowadzanie innowacji technicznych jest problemem wieloaspektowym. Ocena innowacji nie może sprowadzać się tylko do aspektu ekonomicznego — obniżki kosztów wytwarzania. Kapitalne znaczenie ma również odpowiedź na pytanie — w jakim stopniu nowoczesna technika może pociągać za sobą negatywne skutki w innych (pozaekonomicznych) sferach ludzkiego życia. Dewastacja środowiska naturalnego jest często wysoką ceną płaconą za doraźne korzyści w określonej dziedzinie produkcji. Winą za ten stan należy obciążyć współczesne systemy ekonomiczne, które cechuje znaczna doza woluntaryzmu przy podejmowaniu decyzji dotyczących zastosowania nowej techniki. Innymi słowy w rachunku ekonomicznej efektywności inwestycji, poprzez które wprowadzany jest postęp techniczny do gospodarki, w wysoce niedostatecznym stopniu uwzględnia się (bądź w ogóle pomija się) straty powstałe w ekosystemie. W ekonomii nadal panuje mit dóbr wolnych (powietrze, woda), a więc ex definitione ich eksploatacja nic nie kosztuje. Tymczasem coraz więcej owych dóbr traci swój pierwotny charakter i dlatego też integralnym elementem wypracowywania decyzji ekonomicznych należy uczynić czynnik ekologiczny. A to wymaga zmiany dotychczasowego sposobu myślenia ekonomicznego opartego na wąskim ekonomizmie, hołdującego wszechwładnej zasadzie: profit and utility.

W związku z problemem zagrożenia ekologicznego powstała w teorii ekonomii koncepcja „ekonomii liniowej i ekonomii cyklicznej". Ekonomia liniowa zajmuje się tymi procesami produkcyjnymi, które polegają na jednorazowym wykorzystaniu surowca, wody, powietrza itp. Ekonomia cykliczna zakłada natomiast konieczność wielokrotnego wykorzystywania tych samych surowców jako surowców wtórnych, odpadów poprzemysłowych i pokonsumpcyjnych, a także wody i powietrza (cykliczne obiegi).

Ekonomii liniowej i cyklicznej odpowiadają określone technologiczne modele zakładów przemysłowych. Dla ekonomii liniowej właściwy jest model zakładu „otwartego", pobierającego ze środowiska surowce, wodę, powietrze i wydalającego następnie w toku produkcji substancje i odpady, zanieczyszczające otoczenie naturalne. Model ten odzwierciedla dość wiernie dominujący w gospodarce sposób traktowania przyrody przez wytwórców.

Wytworem ekonomii cyklicznej jest model zakładu „czystego", który całkowicie zabezpiecza ekosystem. Zakład ten funkcjonuje w oparciu o zasadę zamkniętego obiegu wody i powietrza, odpady poprzemysłowe używane są natomiast bądź jako produkty uboczne, bądź jako surowce wtórne w danym zakładzie. Przeniesienie tego modelu do praktyki przemysłowej jest sprawą skomplikowaną ze względu na różnorodność metod produkcji stosowanych w przemyśle. Ponadto trudno jest pogodzić z sobą w sposób idealny czynniki techniczno-ekonomiczne determinujące proces produkcji z potrzebami ochrony środowiska naturalnego. Pomimo to należy dążyć usilnie do realizacji modelu „czystego" zakładu, gdyż tylko on gwarantuje przywrócenie poważnie zachwianej równowagi między ekspansją produkcyjną człowieka a przyrodą. Jest to możliwe pod warunkiem, że człowiek w badaniach naukowych skieruje swój potencjał umysłowy na opracowanie technologii gwarantujących oszczędzanie środowiska naturalnego, a systemy ekonomiczne staną się czułe na zjawiska degradacji przyrody.

Głośniej nad tą trumną

(Kontynuacja sprawy poruszonej w reportażu „Rejs w cieniu śmierci" z nr 49 „Odgłosów" z 3 grudnia 1983 roku).

„Do Pana Konsula, Przedstawiciela Rządu Polskiego w Lagos.

Zwracam się z prośbą o wysłanie mnie do kraju innym statkiem lub samolotem. MOTYWUJĘ TO TYM, ŻE 3 MAJA 1983 R. ZOSTAŁEM ZATRZYMANY I OSKARŻONY O WSPÓŁUDZIAŁ W ZAMORDOWANIU I OFICERA NA STATKU POLSKICH LINII OCEANICZNYCH M/S „ŁÓDŹ". Po kilku dniach pobytu w więzieniu w Douali, powiedziano mi, w obecności Kapitana i Asystenta Pokładowego, że jestem wolnym człowiekiem i mogę poruszać się poza statkiem. Po powrocie na „Łódź" spotkałem się z nieufnością części załogi i Kapitana. 9 maja zostałem zawieszony w pełnieniu obowiązków służbowych bez podania przyczyn. Powiedziano mi też, że sznur, którym rzekomo został zamordowany I Oficer, miał być podrzucony do mojej lub Furmańczyka kabiny. Jeszcze w trakcie przesłuchań dowiedziałem się o wielu faktach, obciążających Kapitana, które podam w kraju. Uważam, że moje bezpieczeństwo na tym statku jest zagrożone. Dlatego też proszę Pana Konsula o wysłanie mnie do kraju".

JAN ŁUKASIK, starszy marynarz

— Wszystko zaczęło się 20 kwietnia 1983 r. — wspomina dziś Jan Łukasik. — Staliśmy w Douali, w Kamerunie. Wieczorem, około dziewiętnastej, siedząc w kabinie usłyszałem sygnał alarmu pożarowego. Wybiegłem. Po drodze natknąłem się na wachtowego. Powiedział, że w mesie oficerskiej jest zebranie całej załogi. Kiedy do niej wszedłem, część osób już siedziała. Po chwili byli i pozostali. Kapitan poinformował nas, że nie ma I Oficera i

ZARZĄDZIŁ JEGO POSZUKIWANIE

Dodał przy tym, że marynarze mają pozamieniać się działami. Mnie, jako marynarzowi pokładowemu, przypadł udział w grupie przeszukującej maszynę. Byli w niej jeszcze II Mechanik, IV Mechanik, Chłodniczy i Asystent Maszynowy.

Najpierw przejrzeliśmy wszystkie pomieszczenia maszynowni. Nie znaleźliśmy nikogo. Przeszliśmy do maszynki sterowej na rufie — nie było nikogo. Z kolei udaliśmy się w kierunku czwartej ładowni lewej burty. Mieliśmy przeszukać pomieszczenia chłodnicze. Zszedłem razem z IV Mechanikiem. Też niczego nie znaleźliśmy.

Kiedy po opuszczeniu chłodni zbliżyłem się do luczka pomiarowego stali już przy nim I Mechanik, II Mechanik, IV Mechanik Cieply i Motorzysta, sekretarz OOP. II Mechanik stwierdził, że trzeba jeszcze przeszukać ten luczek. Byłem najmłodszy stopniem. Otworzyłem więc i zszedłem na dół. Niestety, nikt ze stojących nie ruszył za mną. Rozejrzałem się. Był zmierzch. Zapaliłem latarkę. Ale i w jej świetle niczego specjalnego nie zauważyłem. Wychodząc, dostrzegłem, że przy czwartej ładowni stoi, oparty o barierkę, Kapitan i przygląda się. Pomyślałem sobie: skoro chce, niech patrzy.

Po tych poszukiwaniach znowu spotkaliśmy się w mesie. Ze składanych meldunków wynikało, że nikt nikogo, ani niczego nie znalazł. Wtedy Kapitan zaproponował projekcję filmu.

Następnego dnia rano, około dziesiątej,

PRZYSZŁA NA STATEK POLICJA

Powiedziała, że znaleziono trupa białego człowieka, pływającego jeszcze w kanale portowym, przy nabrzeżu kontenerowym. Miał przytwierdzoną kajdankami gaśnicę z polskimi napisami. A że byliśmy jedynym, w tym czasie, polskim statkiem w Douali i w dodatku zgłosiliśmy zaginięcie I Oficera...

Na identyfikację Kapitan wysłał II Oficera i Lekarkę. Niestety, niczego pewnego nie stwierdzili, ponieważ trup pływał twarzą do wody. Poprosili o jego wyciągnięcie. Obiecano im, że jak przyjadą drugi raz to zobaczą twarz. Pojechali. Niestety, i tym razem nie mogli go rozpoznać.

Policja nie dawała jednak za wygraną. Przyjechała dwoma mikrobusami i zabrała nas wszystkich. Został tylko Kapitan, który kategorycznie stwierdził, że nie będzie oglądał tych zwłok.

Na identyfikację wpuszczali po sześć osób. Rzeczywiście, trudno było cokolwiek rozpoznać. Wybałuszone oczy, nabrzmiała twarz, cofnięta do połowy czaszki skóra z owłosieniem i gdzieś, na osiem centymetrów, siniec pod szyją. Niektórzy dojrzeli jeszcze ranę z tyłu głowy. Po dłuższym przyglądaniu się doszliśmy do wniosku, że to jednak I Oficer.

ZACZĘŁY SIĘ PRZESŁUCHANIA

Dniami i nocami. Wzywano nas po kilka razy. Marynarze mieli pretensje do tłumaczki, że nie wszystko mówi, że zataja. Nie wiedzieli tylko, na czyją korzyść.

Kiedyś, malując nadbudówkę zwróciłem jej uwagę. Poszła urażona do Kapitana. Ten mnie wezwał. Był już u niego, ściągnięty z Lagos, przedstawiciel PLO, Miller. Kapitan oburzył się, twierdząc, że nie mam prawa wyrażać swoich wątpliwości. Nie zgadzałem się z nim, wiedząc, że nie jest ona tłumaczką przysięgłą. Na to Miller skoczył do mnie, klnąc. Powiedziałem więc, że musi tu być coś niejasnego, skoro tak reagują.

Dzień po tym incydencie, około dziewiątej rano, przyjechała tłumaczka. Poszła prosto do Kapitana. Po chwili wachtowy poinformował mnie i młodszego marynarza Furmańczyka, że pojedziemy z tłumaczką na przesłuchanie. Najpierw wzięli Furmańczyka. Ja siedziałem i czekałem. Mijały godziny.

W końcu zawołano mnie, zadano kilka pytań i znowu kazano czekać. Była już północ, kiedy jeden z policjantów zapytał o rzeczy osobiste. Powiedziałem, co mam. Kazał oddać. Zostałem aresztowany.

WEPCHNIĘTO MNIE DO CELI

w samych spodniach. Było ciemno. Padając poczułem chluśnięcie — okazało się, że celę zalega kilkucentymetrowa warstwa wody. Podniosłem się i oparłem o ścianę. Pulsowała robactwem. Kiedy oczy przyzwyczaiły się do ciemności, zobaczyłem chyba dziesięciu Murzynów, w różnych pozycjach. Przestraszyłem się, że któryś pederasta dobierze się do mnie. Jeden z Murzynów podał mi pojemnik po francuskiej wodzie sodowej. Kazał sladać. Byłem skonany i przerażony. Nie wiedziałem o co chodzi. Po głowie tłukły mi się najróżniejsze pytania. Przede wszystkim, dlaczego tu trafiłem? W końcu, majacząc, przysnąłem.

Następnego dnia zmieniono mi celę. Ale poza tym, że była sucha, niczym nie różniła się od poprzedniej. W rogu stały litrowe pojemniki po wodzie sodowej. Tam trzeba było się załatwiać. Nad tym wszystkim unosiła się chmura much i nie dający się opisać smród.

Raz dziennie przynoszono dużą brudną michę. W środku był ryż, wymieszany z rybami i polany jakąś mazią. Wszyscy współwięźniowie brali go garściami i tak jedli. Nie jadłem. Również nie piłem. Bałem się ameby. Służba więzienna myślała, że to strajk głodowy i dlatego sprowadziła mi ze statku herbatę i chleb. Tak przetrwałem cztery doby.

Tymczasem zabierali mnie na przesłuchania. Grozili, żebym kraj i rodzinę wybił sobie z głowy. Zapewniali, że zostanę powieszony. Brali mnie też na oględziny zwłok. Wozili nocą, odkrywali ciało i kazali patrzeć. Sami zaś obserwowali, jak reaguję. Mówili przy tym: JESTEŚ JEGO MORDERCĄ, MORDERCĄ — ROZUMIESZ? To był koszmar.

Podczas kolejnego przesłuchania atmosfera jakby się zmieniła. W pewnym momencie prokurator powiedział, że razem z Furmańczykiem

JESTEŚMY WOLNI

Okazało się bowiem, że jego też przetrzymywali. Kiedy zjawił się Kapitan, doszło do dziwnego incydentu. Prokurator zwrócił się do niego mówiąc: pan, Kapitanie, zmieni miejsce Łukasika. Wywiązała się ostra dyskusja. Ale Kapitana puścili i odwieźli nas pod trap. Tu prokurator jeszcze raz potwierdził, że wprawdzie statek będzie nadal aresztowany, ale ja z Furmańczykiem jesteśmy wolni i mamy pełną swobodę poruszania się.

Na statku szykowano się do kolacji. Wykąpałem się i zmieniłem ubranie. Zszedłem zjeść. Wyczułem, że wokół nas wytworzyła się jakaś dziwna atmosfera. Patrzono spode łba. Nie powinienem był się dziwić. WMÓWIONO IM, ŻE JESTEM MORDERCĄ. Reagowali więc naturalnie. Ale to bolało. Zrozumiałem, że na „Łodzi" nie ma dla mnie bezpiecznego powrotu.

Następnego dnia, po śniadaniu, przyszedł oficer służbowy i oznajmił, że wzywa mnie Kapitan. Zapewniłem go, że po tym wszystkim czego doświadczyłem, nie mamy o czym mówić. Nie poszedłem więc.

— Dlaczego? Przecież Kapitan nie miał wpływu na tok śledztwa...

— Nie miał? To ja zaraz panu powiem. Otóż dowiedziałem się na policji, że Kapitan razem z Millerem, weszli do luczka pomiarowego. Znaleźli jakiś sznur i pokrwawioną koszulę, prawdopodobnie I Oficera. Według ich koncepcji, to w tym luczku, i tym sznurem, miał on być uduszony, a dopiero potem wrzucony do wody. Morderstwo przypisano mnie, bo wychodziłem z tego luczka. Kapitan widział. Zaniósł więc, razem z Millerem, te dowody na policję.

— Nieprawdopodobne! Dlaczego mieliby to zrobić? Skoro prokurator was zwolnił, to musiał uznać, że to żaden dowód.

— Dlaczego? Dlaczego? Nie potrafię na to odpowiedzieć. Mogę się tylko domyślać.

SZUKALI KOZŁA OFIARNEGO

— No więc, kiedy wezwał mnie Kapitan, nie poszedłem. Wrócił natomiast oficer służbowy i powiedział, że zostałem zawieszony w pełnieniu obowiązków służbowych.

Udałem się do Konsula. On już o sprawie wiedział. Kazał tylko napisać podanie. Napisałem. Wyraził zgodę i do kraju wracaliśmy „Płockiem", normalnie pełniąc swoje obowiązki, zgodnie z posiadanymi stopniami.

Już w kraju otrzymałem list od armatora: „W związku z naruszeniem zasad dyscypliny pracy podczas zaokrętowania na m/s „Łódź", przedsiębiorstwo podjęło decyzję rozwiązania z obywatelem umowy o pracę za wypowiedzeniem". Czwartego stycznia 1984 roku przestaję być pracownikiem Polskich Linii Oceanicznych w Gdyni.

Notował:
ANDRZEJ A. SUPRYNOWICZ

Dokończenie ze strony 1

Padał deszcz, a deszcz, szczególnie jesienny, jest czynnikiem, który potrafi sprowadzić do parteru najpiękniejsze nawet miasto. Jest więc czynnikiem passentopodobnym, Daniel Passent bowiem potrafi sprowadzić do parteru najpiękniejsze nawet pisanie, choćby tak piękne, jak powieść kopulacyjna Zbigniewa Nienackiego. Zduńska Wola ostała się jednak deszczowi.

4.

Pierwszym jubilatem, któremu złożyłem w Zduńskiej Woli wizytę, był basen pływacki. Przekonany, iż będzie to mała sadzawka, w której nie można się nawet porządnie utopić, zobaczyłem przecież nie jeden, tylko cztery baseny pływackie, no i brodzik dla dzieci, a wkoło

Kto dba, ten ma

wiele boisk i urządzeń sportowych. Wszystkie te obiekty były idealnie czyste, idealnie zakonserwowane i idealnie strzeżone, a ten, co strzegł, powiedział najpierw: — Kto dba, ten ma — a potem dodał, że nie słyszał o żadnym jubileuszu i żadnym Komitecie Założycielskim; wredna plota, panie kolego, i koniec!

Nawiasem mówiąc, wiele większych nawet od Zduńskiej Woli miast chciałoby mieć takie baseny, służące w upalne dni ludzkiemu zdrowiu i krzepie, więc gdyby nawet plotka o Jubileuszu Komitetu Założycielskiego była prawdą, nie widziałbym w tym nic złego. Ci, co dali Zduńskiej Woli taki obiekt, przysłużyli się miastu znacznie bardziej, niż jakikolwiek dziennikarz i donosiciel.

5.

Drugim jubilatem, któremu złożyłem wizytę, była Szkoła Podstawowa nr 9. Jest to szkoła o profilu sportowym — też ma basen, tyle że kryty. Wbrew temu, co stało w donosie „dziewiątka" nie obchodziła wcale Jubileuszu Dziesięciolecia, a Jubileusz Dwudziestolecia. Jeśli wolno obchodzić z szumem i wódką jubileusz pierwszego lepszego klubu sportowego i pierwszego lepszego zespołu wyjców rockowych, rozdzierających przed nami serce w trosce o to, żeby nie wybuchła wojna, wolno również zrobić to szkole, tym bardziej, że zdaniem ludzi jest to świetna szkoła. Kto wie, czy nie najlepsza w swojej konkurencji. No i nie piło się wódki.

6.

Trzeci jubilat okazał się potrójnym jubilatem, bowiem Ognisko Muzyczne i dwie Szkoły Muzyczne załatwiły swój jubileusz wspólnie i jednocześnie. Trzeba tu przy okazji powiedzieć, że impreza ta więcej dała niż dostała. Miasto wysłuchało kilku koncertów muzycznych, a feta ograniczała się do ciasteczek i herbaty, postawionych zresztą przez Komitet Rodzicielski.

Dyrektor Jan Bizoń mówi, że gdyby w tych ciężkich czasach jubileusz miał kosztować szkołę parę tysięcy, to przeznaczyłby raczej te pieniądze na inne cele, bo budynek jest sympatyczny, ale stary, w stanie przewlekłego remontu, nie ma sali koncertowej, a z każdej klasy o dwóch oknach już dawno systemem podziałów zrobiono dwie klasy, gdyby były klasy trzyokienne, z każdej zrobiono by trzy.

Szkoła, a ściślej mówiąc, dwie szkoły i ognisko są jednym z ostatnich w Zduńskiej Woli budynków bez centralnego ogrzewania. Dyrektor nie skarży się, broń Boże, na obojętność władz, wprost przeciwnie: władze zawsze były szkole życzliwe, ale Zduńska Wola nie jest potentatem, na razie o nowym budynku nie może być mowy, i tak dobrze, że udało się wybudować te aule (małą salę koncertową). Ogrzewanie też wkrótce będzie i sprzątaczki zaprzestaną palić w piecach kafiowych, a młodociani trębacze i klarnecjści przestaną przed lekcją rozcierać palce, które powinny być ciepłe i ruchliwe.

7.

Jan Bizoń nie jest człowiekiem małostkowym i kiedy wspomniałem mu o donosie i szpiclu, to jeśli nawet był dotknięty, wcale tego nie pokazał. Szkoła broni się sama. Już sam fakt, że jest tego typu placówka w nie największym przecież, czterdziestotysięcznym mieście, mówi sam za siebie. Jeśli dodać, że szkoła kształci instrumentalistów niemal wszystkich specjalności przewidzianych w orkiestrze symfonicznej, za wyjątkiem harfy i organów (dochodzi za to niesymfoniczny akordeon i gitara), że absolwenci tej szkoły trafiają później do wyższych uczelni muzycznych, a wcześniej zapraszani są na różne ogólnopolskie konkursy i przeglądy, że szkoła świadczy muzyczne usługi na rzecz miasta i jego zakładów, ogrywając akademie i rocznice, a także jak przypuszczam stu-

dniówki, wieczorki taneczne i wesela, no, to jak taka szkoła zagra i sobie raz na dziesięć lat, wypada się tylko cieszyć i bić brawo.

Zduńska Wola biła brawo. Czasopismo „Nad Wartą", „Głos Robotniczy" i łódzkie radio odnotowały jubileusze z sympatią, a władze miejska i wojewódzka przyznały z tej okazji kilka nagród.

8.

Jan Bizoń jest człowiekiem bez kompleksów, pewnie dlatego, że kończył studia muzyczne w wielkim mieście, i że przyjechał do Zduńskiej Woli z własnego wyboru. Spędził tu dzieciństwo i młodość, a więc nie przyjechał, tylko wrócił. Powiada, że lubi to miasto, i że lubi dla niego pracować, aczkolwiek nie jest typem szalbierczego prowincjonalnego szowinisty, co to rozdziera szaty i wrzeszczy, że jakby go wysłali na placówkę do Paryża, to by sobie strzelił w łeb. Ci, co tak wrzeszczą, chcą przypodobać się po prostu lokalnej władzy, zapominając o tym, że władza też lubi awansować, i to jak!

Życie w małych miastach nie jest lekkie, szczególnie dla człowieka o tak zwanych szerokich horyzontach umysłowych, a to dlatego, że drąży go kompleks niższości, kiedy zaś przyjeżdża do wielkiego miasta i rozmawia ze swoim wielkomiejskim odpowiednikiem, widzi, że ten odpowiednik nie jest od niego ani lepiej ubrany, ani mądrzejszy. Całym światem rządzi geografia i nie ma na to rady. Pogarda większych miast dla mniejszych jest stara, jak świat, podobnie jak nienawiść mniejszych miast do większych. Jan Bizoń jednak, jak prawdziwy artysta, nie żywi takich uczuć, a kontakty z centralnymi ośrodkami ceni sobie bardzo. Większość zatrudnionych u niego profesorów dojeżdża na zajęcia z Łodzi, nieraz błyśnie w szkolnych murach czar wielkiego nazwiska, grała tu bowiem między innymi Wanda Wiłkomirska i Lidia Grychtołówna, a także parę znakomitych zespołów kameralnych.

Jan Bizoń mówi, że jeśli człowiek ma bogate życie wewnętrzne, jeśli kocha na przykład muzykę i czytanie książek, to może być szczęśliwy nawet w najmniejszym mieście, gdy zaś tego nie lubi, może się nudzić nawet na Marszałkowskiej.

Zgadzam się z Bizoniem, ale tylko częściowo, gdyż Zduńska Wola nie jest wcale najmniejszym miastem, a pod względem kultury, w przeciwieństwie do innych, skutych chandrą miast ma wiele cech wyjątkowych.

Wspomniałem o jubileuszowej knajpie i jubileuszowej kawiarni, ale one są w porządku. Może dlatego, że obowiązuje teraz w kraju częściowa prohibicja, a może dlatego, że mają dobre towarzystwo, i to zarówno w sensie tak zwanego materiału ludzkiego jak i sąsiedztwa instytucji poważnych. Mieści się obok Klub Międzynarodowej Prasy i Książki, czytelnia, niewielka galeria sztuki, sklep rzemiosła artystycznego i Osiedlowy Dom Kultury. W każdym z tych pomieszczeń jest czysto, cicho, ciepło i przyjemnie, i widać na pierwszy rzut oka, że każde z nich spełnia dokładnie te funkcje, do których było powołane.

Gdy przypominam sobie wszystkie tego typu przybytki w innych miastach, to wygląda to bez przesady, tak w galeriach sztuki jest wystawa zacieków na ścianach, w Domach Kultury gra się w karty albo w ping-ponga, w Klubach Prasy i Książki kiwają się smutnie na stojakach pożółkłe gazety sprzed trzech tygodni, a czytelnia i sklep są zamknięte. W przedsionku zaś pod zamkniętymi drzwiami młodzież pije winо i uprawia dyskretną grę miłosną.

10.

W galerii sztuki jest akurat wystawa grafik Pawła Dunaja. Artystę potraktowano poważnie, a jego nazwisko wymalowano dużymi literami na szybie.

Równie poważnie, jak artystów traktuje się tu dziennikarzy — skoro przyjechał już pan redaktor z Warszawy i będzie mówił o wyścigu zbrojeń, to trzeba obwieścić to ludziom na estetycznych plakatach, nie żałować tuszu i farby.

Drugi, Miejski Dom Kultury, sprawia jeszcze lepsze wrażenie. Na ścianach, poza licznymi kalendarzami literackimi, można zobaczyć wiele różnych ogłoszeń. Podchodzisz do nich z przekonaniem, że czeka cię zaraz srogi zawód, że to, o czym stoi w ogłoszeniach, których w porę nie zerwano, żeby podtrzymać wrażenie ożywionej działalności, odbyło się wiele miesięcy temu.

Otóż, nie! Żadnej bujdy. Jest listopad 1983 r. i wszystko dotyczy listopada. Nie lubię notować, ale notuję:

26 listopada — Stachuriada; wieczór poświęcony zmarłemu tragicznie pisarzowi;

27 listopada — Jan Kaczmarek „Bilans musi wyjść na zero";

28 listopada — Maciej Zembaty i John Porter;

29 listopada — występ zespołu beatowego;

30 listopada — barwne widowisko muzyczne „Na słowiańska nutę".

Poza tym różne poranki poetyckie, koncerty kameralne i tak dalej.

Dawno czegoś takiego nie widziałem. Ktoś niewątpliwie troszczy się o kulturę w Zduńskiej Woli, i to troszczy się dobrze.

11.

Pisanie z jadem jest szalenie wdzięczną robotą i doskonale się to czyta. To znaczy: doskonale się czyta autorowi i postronnym, gorzej natomiast osobom i instytucjom splugawionym.

Jeśli splugawimy jakąś osobę lub instytucję, którym słusznie się należy, wyjdzie to im być może na dobre. Kiedy jednak zaczynamy plugawić osoby i instytucje wzorowe, dające z siebie w warunkach krajowych prawie wszystko, co można dać, to albo jesteśmy draniami albo głupcami, albo targa nami zazdrość.

Człowiek niesłusznie atakowany jest zazwyczaj człowiekiem dumnym i godnym, w związku z czym, chociaż wytykają go palcami, robi dobrą minę i wysoko podnosi czoło. Nie znaczy to jednak, że jest człowiekiem z żelaza, że nie liże ran w domowych kątach, a nieraz to i zapłacze.

Człowiek niesłusznie atakowany może zniechęcić się do pracy, lub zacząć wykonywać ją nieuczciwie, przy zachowaniu wszelkich pozorów uczciwości. Staje się wtedy kolejnym cwaniakiem, który kroczy od zaszczytu do zaszczytu w myśl dewizy: — Wy nie patrzcie, co ja robię, lecz słuchajcie, co ja mówię.

W Zduńskiej Woli takich ludzi nie spotkałem.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

ROMAN KUBIAK

Zapiski Mikołaja

MIKOŁAJ wrócił. Po kilku latach kryzysowej absencji, wrócił Mikołaj do domu handlowego. Dekoratorzy dobyli zapomniany strój, długą, siwą brodę na gumce, okulary z pijacko czerwonym nosem i sumiastymi wąsami. Przymierzyłem... i zostałem Mikołajem.

Dla jasności: Mikołaj, za godzinę obnoszenia pękatego worka, na artystycznie zgarbionych plecach, zarabia 70 złotych, solidne odciski na dłoniach, nie mniej przyjemne na twarzy (od maski), jak też kilka obelg, od co bardziej zawiedzionych amatorów gwiazdkowej „czystej". Inne pozycje w bilansie to: blisko sześćdziesiąt godzin dreptania po piętrach i trotuarach, w płaszczu do ziemi i masce, pod którą nie można oddychać, kilkadziesiąt kilometrów w nogach, pół kwintala rozdanych cukierków, kilka tysięcy poznanych dzieci, tyleż samo skłonów, przysiadów, przykleków i innych akrobatycznych ewolucji, i jeszcze jedno — przekonanie, że tak naprawdę, to w znakomitej większości nie potrafimy się bawić.

ALE W KOŃCU CHODZI O DZIECI

One są głównymi odbiorcami tej maskarady. Śmieją się, płaczą, zasłaniają oczy, podskakują radośnie. Większość malców widzi ten dziwny obiekt po raz pierwszy. A jakże, słyszały, że przynosi prezenty. I oto jest. Prawdziwy. Można pociągnąć go za brodę. Tylko — nie ma odwagi.

Inauguracja. Wychodzę z zaplecza w asyście kierowniczki i zaciekawionego personelu. Mam tremę. Szybko jednak przywyknę do wielu, w mym kierunku zwróconych, oczu.

Wieść, że oto w SDH pojawił się Mikołaj, pantoflową pocztą obiega miasto. I drepcą, opatulone w misiowate płaszczyki. Dominiki, Żanety, Damiany, Kamilki, Łukaszki, Kacpry, Bartki, Mateuszki i Maciusie. Do Mikołaja. Mikołaj przyklęknie, porozmawia, zapyta o gwiazdkowe prezenty, da cukierki i wysłucha wierszyka.

— Mikołaju, chcę łyżwy „figurówki" — dziewczynka odważnie podchodzi do mnie.

— Dobrze. Przyniosę na gwiazdkę łyżwy.

I już jej nie ma. Gna do mamy ile sił w nogach, pokrzykując po drodze:

— Mamo! Będę miała łyżwy!

Drobniutki chłopczyk zbliża się bojaźliwie i ocierając łezki wyciąga rączkę.

— Ja jestem grzeczny — informuje, choć wcale o to nie pytałem.

Robi się tłoczno. Otacza mnie liczna grupa dzieci. Rozdaję cukierki na prawo i lewo. Niektórzy spryciarze podchodzą po raz trzeci i czwarty, odpychając te mniej zaradne. Stawiam więc worek i oznajmiam:

— Teraz niech podejdą dzieci, które nie dostały cukierków. Mikołaj wie, które to są.

Kilkoro wycofuje się niezgrabnie.

Mam też „starych znajomych". Piotruś przychodzi z mamą niemal codziennie. Opowiada mi o każdym nowym dniu w przedszkolu. Robert jest synem tutejszej ekspedientki. Zaskarbił sobie powszechną sympatię tym, że w podzięce za prezenty rzucił się Mikołajowi na szyję i ściskał go długo, tudzież solidnie. Teraz chodzi ze mną po sklepie, podtrzymuje worek. Jest dumny ze swej roli.

Pod wieczór zbierają się grupki niemiłosiernie umorusanych urwisów. Oni też dostają cukierki, ale nie odchodzą, krążą dalej. Krok w krok za Mikołajem. Są hałaśliwi i psotliwi. Gdy wchodzę na zaplecze zatrzymują się przed kotarą i czekają. Ja tymczasem zrzucam mikołajowe szaty i już w cywilnej kurtce wracam tą samą drogą. Chłopcy nie zwracają na mnie uwagi. Czekają uparcie. Ekspedientki skręcają się ze śmiechu. Któraś z nich mówi wreszcie, poważnym tonem:

— Mikołaj jest na dole.

I urwisy pędzą na parter, potrącając mnie na schodach.

...I DZIECI

Drugiego dnia, zaraz gdy tylko wychodzę zza kotary, zaplecza, pilnie obserwuje mnie grupka cygańskich dzieci. Z początku trzymają się z daleka, w dostatecznej odległości, by śledzić moje ruchy, lecz nie tak blisko, by wejść w zasięg mojego działania. Jest ich trójka: dwie dziewczynki i chłopiec. Wszyscy ubrani w popielate kożuszki, żółte kozaczki. Wyróżniają się nie tylko ciemniejszą karnacją cery, kruczoczarnymi włosami. Nade wszystko zaskakuje ich niebywała samodzielność. Nigdzie nie dostrzegam opiekunów dzieci. Tę funkcję sprawuje najwidoczniej najstarsza dziewczynka. Trzyma pozostałą dwójkę za ręce, objaśnia im coś, pokazuje. Tamci poddają się jej woli. Po godzinie decydują się podejść bliżej. Czynią to bez lęku, zupełnie inaczej niż większość dzieci. Ich bystre oczy biegają po całej mojej sylwetce. Witam się z nimi. Podają rączki i od razu zasypują gradem pytań:

— Kiedy Mikołaj przyjechał? — Co ma pan w worku? — Można dotknąć brody? Po każdej uzyskanej odpowiedzi, porozumiewają się w swoim języku. Nareszcie chłopiec, pięciolatek, rezolutnie stwierdza:

— Eee. Pan nie jest stary. Pan ma młode ręce.

Dziewczynka ucisza go i wszyscy chichocą cichutko.

Później, gdy zbliżam się do innych dzieci, gdy rozmawiam z nimi, częstuję cukierkami, wtedy one, dzieci cygańskie, śmieją się z zaskoczonych, często przerażonych, twarzyczek swych rówieśników. Bawią się doskonale. Na parterze, najstarsza Cyganka nagle i niespodziewanie poważnieje, spogląda na zegarek. Zdecydowanym tonem oznajmia coś swoim podopiecznym. Oni zaś, karnie przerywają igraszki i bez słowa pożegnania opuszczają dom handlowy.

Wracają po trzech kwadransach.

— Panie Mikołaju, byliśmy na obiedzie, w „Bajce" — informuje mnie dziewczynka i wspinając się na palcach, szeptem mówi:

— Niech pan da te prezenty naszej siostrze. Ona czeka na dole.

Rozchylam worek, a mała gestem ręki przywołuje braciszka. Cyganiak pakuje do worka dwa zawiniątka i wszyscy troje prowadzą Mikołaja na parter. Tutaj czeka spokojnie filigranowa dziewczynka. Jest najmłodsza z rodzeństwa. Ma na imię Samanta. Żeby móc z nią rozmawiać, przyklękam na jedno kolano. Dziewczynka rozsądnie, bez lęku odpowiada na moje pytania. Kiedy z ogromnego worka wyjmuję zabawki, śmieje się i popiskuje radośnie.

Po chwili, chłopiec chwyta ją za kołnierz kożuszka i odprowadza do drzwi. Mała nie opiera się. Gdy są już na ulicy, najstarsza dziewczynka, dziękując mi kilkakrotnie, ujmuje mnie za rękę i rozwierając zaciśniętą piąstkę błyskawicznie odskakuje ku drzwiom, pozostawiając w mej dłoni stuzłotowy banknot. Stoję jak osłupiały. Ta mała ma nie więcej, niż siedem lat.

Na dzień przed Wigilią są znowu przy mnie, razem z Samantą. Przewodniczka i opiekunka gromadki podchodzi do mnie i gdy nachylam się mówi:

— U nas jest taka tradycja, że na święta zapina się kolczyki, a nasza siostra nie chce. Niech pan jej powie...

Patrzy na mnie poważnym wzrokiem. Kątem oka dostrzegam jej zaciśniętą piąstkę. Tym razem nie mogę dać się zaskoczyć — postanawiam.

— Dobrze — mówię. Ale pod warunkiem, że to co trzymasz w ręce, schowasz do kieszonki — swojej kieszonki — dodaję. Mała uśmiecha się znacząco, kiwa głową. Samanta przyrzeka głośno, że obyczaju dopełni, przyjmuje nawet garść cukierków. Po chwili, cała czwórka obraca się na piętach i biegnie w kierunku postoju taxi.

Wsiadają do zielonego fiata, a ja wracam do naszych dzieci, do tych, które święcie wierzą w podeszły wiek Mikołaja, a sto złotych od babci pakują, co najwyżej, do wnętrza świnki-skarbonki.

RODZICE PROWADZĄ SWE POCIECHY DO MIKOŁAJA

z dwóch zasadniczych powodów. Jedni, by użyć jego postaci jako narzędzia wychowawczego. Drudzy, żeby sprawić dziecku autentyczną frajdę. W przypadku tych pierwszych, słyszę często takie teksty kierowane do dzieci:

— Patrz, jaką Mikołaj ma dużą laskę. Musisz być grzeczny. I ciągną dalej obezwładnione strachem małe istoty. Byle do domu. W domu można, wedle potrzeb przywołując w dziecięcej wyobraźni postać Mikołaja, egzekwować posłuszeństwo syna czy córki. Drudzy zaś zezwalają dzieciom na pełną zabawę. Sami usuwają się na bok, obserwując inwencję dziecka, jego niekłamaną radość.

Dużą grupę stanowią rodzice-sternicy. Tacy podprowadzają swe maleństwa do stóp Mikołaja i komenderują:

— No, przywitaj się z Mikołajem. Weź cukierka. Co się mówi? Zrób Mikołajowi „pa-pa". No, chodź już.

Temu podobnych spotkań jest niestety najwięcej.

Albo matki-cenzorki.

— Proszę stąd odejść! Pan jest niewłaściwie ucharakteryzowany — młoda kobieta zakrywa dłonią oczy dziecka i chowa jego główkę w poły płaszcza.

Jakże odmienne są te matczyne reakcje, jak zaskakujące. Jak chociażby tej kobiety, która widząc radość swego synka, wsypuje do mikołajowego worka garść cukierków.

— Bardzo panu dziękuję. A to dla innych dzieci.

INNI DOROŚLI

Ta swoista, pozornie emocjonalnie nie zainteresowana grupa, potrafi jednak szokować różnorodnością zachowań. Dominują postawy bierne, ale nie brak też skrajnych: znaczącego pukania się w czoło, serdecznych pozdrowień świątecznych życzeń.

Ogorzali mężczyźni o szerokich dłoniach, woniejący chmielem i tytoniem, ustawicznie dopominają się o pół litra. Bywa, że starsze kobiety, wespół z dziećmi, wyciągają ręce po cukierki. Po czym długo i głośno komentują fakt dyskryminacji „starych". Inne znowu podchodzą od tyłu i ugniatając niesiony worek, badają jego zawartość.

Patrzą na każdy szczegół mojego ubioru, śledzą każdy ruch. Ile cukierków daję. Jakie to cukierki. Większość z nich akcentuje swoją obecność choćby uwagą rzuconą pod moim adresem. Przeważnie są to jednak zarzuty, żądania, rubaszny śmiech. Są złośliwe, schematyczne, wulgarne. Czasem po prostu nie chcę ich dostrzegać, a czasem odcinam się zawadiacko.

— My też jesteśmy grzeczne — kobiety w kolejce wyciągają dłonie.

— To proszę zaświadczenie, na piśmie, od dzielnicowego — odchodząc rzucam przez ramię.

Albo zwyczajnie, dla świętego spokoju, kładę na te dłonie po jednym cukierku i korzystając z chwili zaskoczenia oddalam się.

Obok schodów dostrzegam żylastego starca. Na mój widok staruszek pogodnieje nagle i przeskakując z nogi na nogę krzyczy infantylnym głosikiem:

— Przebrany! O, przebrany! Przebrany Mikołaj!

— Ale mnie pan rozszyfrował — mówię szeptem, pochylając się nad moim demaskatorem. A on szaleje z radości, klaszcze w dłonie, śmieje się.

Na stoisku z koszulami właśnie „rzucili" towar. Kolejka chętnych szybko urasta w serpentynę. Podchodzę z boku. Zakrzyczą mnie, zlinczują, a może tylko odepchną? Ale oto rzecz dziwna. Nikt z kolejkowiczów nie protestuje. Co się stało? Mikołaj, jako osoba uprzywilejowana, czy ukłon w stronę tradycji?

Dorośli, jak dzieci, składają zamówienia na prezenty. Chcą: pralek, lodówek, samochodów, kawy, herbaty, czekolady. Jakiś rolnik marzy o ciągniku z rozrzutnikiem. Ten chce rower, tamten dobrą żonę.

Przed świętami ruch jest ogromny. Kobiety pędzą objuczone torbami, nikogo nie widzą, nic nie słyszą.

Na zakręcie schodów wpada na mnie młoda dziewczyna.

— Jezus Maria — krzyczy i przerażona odskakuje w bok.

— Pomyłka — mówię. — To tylko ja, Mikołaj.

FUCHY

Umowa z SDH przewiduje, że na terenie domu handlowego wręczam dzieciom prezenty zakupione wcześniej przez rodziców i nie pobieram za tę usługę zapłaty. W zasadzie tylko, bowiem w praktyce ciągle pokutuje zasada że usługa nieodpłatna, to tylko odfajkowanie czynności. Stąd zdarza się, że nawet po moich z dziećmi rozmowach, rodzice sięgają do portfeli. Kiwam wtedy głową i grożę palcem. A po pracy z dna worka i tak dobywam garść monet, których pochodzenia nie potrafię ustalić.

Najgorzej jest z eskapadami całych rodzin. Zwykle matka odwodzi dzieci na bok, podczas gdy ojciec ubija interes z Mikołajem. W takich sytuacjach, nie sposób wykręcić się od zainkasowania 50, czy 100 złotych, bo według słów taty: ma być ekstra, dzieci muszą przyrzec, że będą jadły śniadanka i obiadki, a „stówę" mam brać i cześć. Co tedy robić? Męczę więc biedne maluchy, wymuszam obietnice zjadania kaszek i zupek. Wysłuchuję relacji mamy, jaki to Dominik czy Kamilek jest niegrzeczny. I znowu wymuszam kolejne obietnice. I znowu. Później jakiś prezent, garść cukierków i... tata jest wyraźnie zadowolony.

Niestety, mój pracodawca nie przyjmuje zamówień na domowe wizyty. A szkoda. Jest takich propozycji cała masa. Odmawiam konsekwentnie: rodzicom, zakładowym kierownikom socjalnym, nauczycielom, dziadkom i babciom.

— Zabiorę pana taksówką i za dziesięć minut będziemy z powrotem — proponuje jakaś kobieta.

Albo: — Mikołaju, przyjdź do nas, do szkoły. Jutro mamy klasową imprezę z prezentami.

— Nie mogę, dziewczyny. Nie mogę. Rano Mikołaj stoi w kolejkach — odpowiadam wymijająco.

W końcu jednak Mikołaj zostaje skaperowany. Za zgodą kierownictwa, podpisuję kilkugodzinny kontrakt z miejscowym oddziałem WSS SPOŁEM.

— Dziesięć kilo cukierków na trzy godziny i podwójna, może nawet potrójna stawka — kusza wysłanniczki „Społem".

No i zmieniam barwy klubowe. Na plecach, rękawie i na worku nosić będę wizytówki nowego sponsora.

Teren działań to handlowa arteria miasta. Trzy godziny wędrówek w barwach WSS, a potem powrót do macierzystego klubu — do SDH. Ulica jest jednak ciekawsza.

ULICA PULSUJE INNYM RYTMEM

Tutaj pojawienie się wysokiej postaci w intensywnie czerwonym uniformie, z ogromnym workiem na plecach, dostatecznie silnie kontrastuje z jej kolorytem, by nie wywołać niecodziennych reakcji. Tak. Postać Mikołaja zakłóca rytm ulicy. Ulica zwalnia, czasem nawet zatrzymuje się na moment. Gigantyczna kolejka przed sklepem cukierniczym przestaje nagle falować. Setki twarzy zwracają się w jednym kierunku. Matki i babki wypychają do przodu swoje pociechy. Ludzie przystają. Nieliczni pozdrawiają mnie. Miejski autobus opóźnia odjazd z przystanku, bo właśnie mali pasażerowie chcą jeszcze przez chwilkę oglądać to przedświąteczne zjawisko. Kierowcy taksówek i wielkich samochodów ciężarowych wtórują klaksonami powszechnemu hasłu: Mikołaj! O, Mikołaj! Mikołaj idzie! Zewsząd podchodzą gromadki dzieci, ciągnąc za ręce obarczone zakupami matki. Pędzą całe stadka maluchów z tornistrami na plecach. Gwar, dziecięcy śmiech, uciecha.

Jakiś uliczny handlarz wkłada mi do worka dorodne, rumiane jabłka. Właściciel smażalni zaprasza do środka. Sprzedawczynie ze „spożywczaka" wynoszą szklankę gorącej herbaty.

Na skrzyżowaniu, czerwone światło zatrzymuje autokar. Jest pełen młodzieży w sportowych dresach. Machają do mnie zza szyb i przez otwarte okienka. Autobus rusza, lecz terroryzowany kierowca zatrzymuje wóz na pobliskim parkingu. Sportowcy są już przy mnie. Otaczają mnie luźnym, wirującym kołem. Są piosenki, tańce, okrzyki. W otwartych oknach Liceum Ekonomicznego stłoczone głowy dziewcząt, dziesiątki wyciągniętych rąk. Odkładam pastorał i wciskam cukierki w te dłonie. Otwierają się okna na pierwszym piętrze szkoły. Znowu wyciągnięte ręce. Teraz będzie trudniej. Podrzucam cukierki w ich kierunku. Kilka razy nie trafiam.

— Jeszcze, jeszcze, Mikołaju, jeszcze my! — przekrzykują się dziewczęta.

— Komu pan dajesz cukierki — gani mnie przechodząca kobieta.

— To też dzieci — odpowiada za mnie starszy pan.

Kilka minut potem częstuję grupkę dzieci. Malcy sięgają do worka, wyjmują po jednym, po dwa cukierki. Podchodzą też dwie kobiety w średnim wieku. Bez cienia zażenowania pakują do swych teczek całe garście dziecięcych łakoci i moje rumiane jabłuszka. Dzieci stoją i patrzą ze smutkiem.

I jeszcze właściciel butiku, do którego zaszedłem w pogoni za dwójką sympatycznych krasnali, wiedzionych tam przez mamę. Obdarowawszy malców, wypowiadam na odchodne sakramentalne „Wesołych Świąt". A on, butikowiec, zamiast odpowiedzi, wyciąga z szuflady pięćdziesięciozłotowy banknot. Biznesmen, cholera.

PERSONEL

Odnoszę wrażenie, że właśnie personel domu handlowego najlepiej bawi się obecnością Mikołaja. Ekspedientki zapraszają mnie do swych stoisk. Ba, są nawet zagniewane, gdy obieram trasę przemarszu, pomijającą ich miejsca pracy.

Przy okazji, personel wyspecjalizował się w wyłudzaniu mikołajowych cukierków. A Mikołaj, taki jego los — ulegał.

Już na początku bawiono się w odgadywanie: kto też jest tegorocznym Mikołajem? To znowu okrzyki triumfu wzbudzało przyłapanie Mikołaja na zapleczu, gdy ten był bez maski i czapki.

A ja, w drodze rewanżu, bezpardonowo siadałem na ladach stoisk, wywołując tym samym niemały natłok dzieci i dorosłych.

I tak, nie wiedząc kiedy, zostałem przyjęty do handlowej braci.

Wigilijna sobota. Kres wędrówki Mikołaja miał być najdłuższym i najbardziej pracowitym dla mnie dniem. A tymczasem frekwencja kupujących niewielka. Po godzinie trzynastej już tylko nieliczni klienci snują się po piętrach. Dzieci nie ma prawie wcale. Siadam znudzony na stoisku z tkaninami. Sprzedawczynie rozwiązują świąteczne krzyżówki z „Dziennika" i „Głosu".

— Mikołaju, jak będzie: „Muzułmański post"?

— Ramadan — odkrzykuję w drugi koniec sali.

Za kwadrans piętnasta. Zdejmuję strój. To już ostatni raz. Jeszcze wędrówka między stoiskami. Pożegnania, życzenia.

A może spotkamy się za rok?

Nie. Chyba jednak nie.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Wracamy do tematu: „Życie na stoku" (2)

Rozmowa w celi śmierci

Dokończenie ze strony 1

postawa ojca wobec syna jest niewłaściwa. Nagminne nagany, spóźnianie, wybieranie lekcji, ucieczki z ostatnich lekcji, nieodpowiednie zachowanie na lekcjach, a szczególnie podczas przerw, kontakt z nieletnimi z nieformalnych grup np. gitowcami".

Systematyczna kontrola pedagoga, wychowawcy i nauczycieli, rozmowy z uczniem i jego matką nie spowodowały poprawy w zachowaniu...

W wieku lat 14 został członkiem gangu włamywaczy...

OPINIE PSYCHOLOGÓW

Znani psycholodzy W. Healy i A. Bronner podkreślają, że w procesie kształtowania się cech psychicznych i sposobów postępowania znaczenie mają przeżycia z okresu dzieciństwa, urazy i konflikty psychiczne. Przy tej samej konstytucji fizycznej i psychicznej dziecka, o tym, czy wejdzie ono, czy nie, na drogę przestępstwa, decydują warunki jego życia, szczególnie zaś jego sytuacja rodzinna.

Zdaniem biegłego psychologa ojciec Krzysztofa Sołtysiaka był zawsze krańcowo prymitywny. Wykazywał wobec niego wzory aspołecznego i agresywnego zachowania. Poświęcał mało czasu na pozytywne interakcje uczuciowe z chłopcem. Matka była bardziej bierna, mało konsekwentna wobec zachowań chłopca — nie dawała mu poczucia bezpieczeństwa. Sytuacja taka nie sprzyjała nawiązaniu więzi z rodzicami opartej na zależności emocjonalnej. Ciągła frustracja tej potrzeby wykształciła w badanym poczucie odtrącenia i sprzyjała zaniżaniu jego własnej samooceny. Konflikt między badanym a rodzicami został zgeneralizowany na szersze otoczenie społeczne tj. nauczycieli i środowisko rówieśnicze. Stąd badany izolował się, nie nauczył się zdolności formowania i utrzymywania trwałych, polegających na zależności uczuciowej więzi z innymi osobami...

Poddawanie chłopca „żelaznej dyscyplinie" niezależnie od jego wieku i okazywanie mu ciągłego braku zaufania sprzyjało ukształtowaniu się w jego osobowości trwałej postawy wrogości i agresji skierowanej głównie przeciwko ojcu, silnie tłumionej na skutek strachu przed karą (fizyczną)...

MILCZĄCE DOWODY

Na początku stycznia 1981 roku prokuratura przesłała akt oskarżenia do Sądu Wojewódzkiego w Łodzi

Czy to znaczy, że rozprawy należało oczekiwać „lada dzień"? Nie. Sąd musiał znaleźć czas na zapoznanie się z obszernym materiałem dowodowym zebranym w toku postępowania przygotowawczego. Przede wszystkim musiał go ocenić pod względem formalno-prawnym.

Czy w sprawie Krzysztofa Sołtysiaka mogło w aktach czegoś brakować? Nie. Chyba nie. Są bowiem obszerne wyjaśnienia oskarżonego, w których przyznaje się do zarzucanych mu czynów.

18 listopada 1980 r. kpt. Aleksander Białek, kpt. Henryk Grossman i st. sierż. Zbigniew Górski z Komendy Wojewódzkiej MO w Łodzi z udziałem prokuratora Mariana Niesyto dokonali oględzin i wizji lokalnej miejsc zabójstwa.

Znaleziono milczące dowody, które jednak potrafią głośno przemawiać: odciski palców, krwi, ślady nasienia. Wskazywały na Sołtysiaka.

— *Miał doskonałą pamięć* — opowiada kpt. Białek. — *W czasie wizji lokalnej zaprowadził nas dokładnie w każde żądane miejsce. W Gdyni, gdzie był tylko raz w życiu — w chwili dokonywania przestępstwa — wskazał dokładnie ulice i dom, gdzie dokonał kradzieży. Wskazał: tu wypił butelkę pepsi, tu zobaczył dziewczynkę wysiadającą z tramwaju i wchodzącą do lasu. Tu mu przyszło do głowy, że trzeba za nią wejść do lasu. Tu kulą uderzył w głowę...*

Zachowywał się spokojnie. Nie próbował ucieczki. Ale kapitan Grossman podkreśla, że oni na spokój są szczególnie uczuleni.

— *Nie próbował nas oszukiwać* — opowiada kpt. Grossman. — *Nie było też dowodów, że kłamie. Jasno, logicznie opisywał zdarzenia.*

Z Krzysztofem Sołtysiakiem przeprowadzono dziesięć różnego rodzaju eksperymentów, ze szczegółami, które mógł znać tylko przestępca.

W czasie jednej z wizji lokalnych funkcjonariusze spotkali rodziców jednej z ofiar, którzy natychmiast zorientowali się, że przyjechał Sołtysiak.

— *Zrobiło się zbiegowisko* — opowiada kpt. Białek. — *Sołtysiak zbladł. Pokornie położył się na podłodze samochodu, którym odjechał. Ludzie krzyczeli: „przywieźli mordercę", „po co się z nim bawić, dajcie go nam, zrobimy z nim porządek, wymierzymy sprawiedliwość". Albo: „panowie po co z nim bawić się, nie możecie zostawić go na 5 minut? Po co tracić tyle pieniędzy, przecież on i tak kosztów tych prawnych ceregieli nie pokryje".*

Sołtysiaka ustawiono w gronie kilku osób. Tropiącemu psu dano skarpetę znalezioną w Lućmierzu. Pies rzucił się na Sołtysiaka. Przypuszczano, że był to przypadek. Powtórzono eksperyment, ale w zmienionym składzie osobowym. Z podobnym rezultatem.

— *Sołtysiak nie zaprotestował* — mówi kpt. Grossman — *Inni chcą znowu czym prędzej kończyć śledztwo, by wreszcie znaleźć się w więzieniu. Na pytanie nasze, czy chciałby już stąd odejść — Sołtysiak odpowiadał, że nie, chce siedzieć u nas.*

— Wielu przestępców — mówię — udziela chętnie wyjaśnień, ale pod jakimś warunkiem, np. obietnicy otrzymania łagodniejszego wyroku.

— *Sołtysiak nie stawiał żadnych warunków. Przy pierwszym spotkaniu od razu powiedział, że i tak będzie wisiał. Matka powiedziała mu, że weźmie adwokata. A on odpowiedział, że to zabieg bez sensu, bo go powieszą.*

— Jak zachowywał się Sołtysiak podczas spotkań z matką?

— *Nie uronił nawet łzy. Nie kwapił się też do rozmowy. Spytał tylko, jak czują się bracia. Matka zapytała: dlaczego to zrobiłeś? A on: „nie wiem, dlaczego to zrobiłem".*

ABY NIE BYŁO WĄTPLIWOŚCI

Jednak obydwa badania: psychologiczne i psychiatryczne zostały przeprowadzone ambulatoryjnie. Czy jednorazowe badania pozwoliły ustalić punkt fatalny, który wywarł wpływ na dalszy bieg życiowej ścieżki? Ich konkluzja brzmiała, że Krzysztof Sołtysiak nie zdradza objawów choroby psychicznej... Tak stanowcza konkluzja w tym przypadku oznaczać mogła dla Sołtysiaka groźbę żądania ze strony prokuratora kary śmierci, dla sądu mogła oznaczać praktycznie wybór między dwoma najsurowszymi karami: karą śmierci a 25 lat pozbawienia wolności...

W innych krajach, w przypadku przychylnej dla oskarżonego opinii psychiatrycznej, nie zawsze sąd uniewinnia, nawet jeśli oskarżony rzeczywiście wydaje się chory psychicznie. Wampir z Sacramento Richard Chase, zimą 1977 roku zamordował 6 osób i pił krew kilku spośród swoich ofiar. Psychiatrzy orzekli o braku poczytalności oskarżonego. Skazany został jednak na karę śmierci. Sądy niektórych stanów w USA, gdzie istnieje różna praktyka wymiaru sprawiedliwości, kwestionują bowiem przesłankę, że tylko ludzie świadomi swoich czynów mogą być karani.

Sąd nie chciał mieć wątpliwości, więc skierował oskarżonego na obserwację szpitalną, którą wielokrotnie przedłużano.

5 kwietnia 1982 r. rozpoczął się przed Sądem Wojewódzkim w Łodzi proces.

20 kwietnia 1982 r. Sąd Wojewódzki ogłosił wyrok skazujący Krzysztofa Sołtysiaka na karę śmierci.

Kilka tygodni po wyroku samobójstwo przez powieszenie popełnił ojciec Krzysztofa Sołtysiaka. — *Nie wytrzymał presji psychicznej środowiska* — powiedzieli mi jego najbliżsi sąsiedzi.

DRUGI RAZ TAKI SAM WYROK

Odwołanie od wyroku zostało skierowane do Sądu Najwyższego, który cofnął sprawę do ponownego rozpoznania.

31 stycznia 1983 roku Sąd Wojewódzki w Łodzi ponownie wydał wyrok skazujący na śmierć. Zanim do tego doszło zeznawali biegli.

— *Po wysłuchaniu wyjaśnień oskarżonego* — powiedział przed sądem dr J. Mielczarek, biegły w zakresie psychiatrii, jednocześnie ordynator Oddziału Psychiatrii Sądowej Aresztu Śledczego Warszawa—Mokotów — *popieram opinię na piśmie złożoną do akt sprawy. Zapoznałem się z wyrokiem Sądu Najwyższego. Nie ma żadnego nowego materiału, który by wniósł coś nowego do opinii. Oskarżony ma zaburzenia osobowości i jest człowiekiem odbiegającym od normy. SN nie może żądać od nas, abyśmy zmieniali współczesne poglądy na psychiatrię. Obecnie nie używa się pojęcia psychopatia, które nie jest umieszczone w klasyfikacji międzynarodowej i nie jest terminem psychiatrycznym. Struktura osobowości ma wpływ na postępowanie, ale nie są to zaburzenia o charakterze psychotycznym, które by zmniejszały jego poczytalność. Cechy osobowości nie są objawem choroby psychicznej. Zaburzenia osobowości nie są schorzeniem. Motywacja czynu jest w gestii Sądu, nie należy do dziedziny psychiatrii. Wystarczająco długi okres czasu obserwacji pozwolił nam na wypowiedzenie się definitywne w tej sprawie. Ponadto dysponowaliśmy wywiadem lekarskim od rodziców, który pozwolił nam ocenić całość życia badanego od urodzenia. W dniu dzisiejszym przysłuchiwaliśmy się wyjaśnieniom oskarżonego i również nie stwierdziliśmy zachowań lub wypowiedzi, które zmieniałyby naszą opinię... Resocjalizację charakteru można przeprowadzić do 35 roku życia, po tym okresie struktura jest już tak ukształtowana, że trudno jest coś zmienić. Anomalia charakteru u oskarżonego mają charakter trwały. Struktura osobowości w zasadzie nie zmienia się, a w miarę starzenia zmienia się dynamika — przytępia. Jest szansa korekty zachowania się oskarżonego. W czasie obserwacji nie stwierdziliśmy antyspołecznych zachowań. Współpracował z pacjentami, był aktywny. Adoptował się, pomagał w pracy.*

Dr W. Poniatowska-Nawrócka, biegły psychiatra: — *Niewątpliwy wpływ na kształtowanie osobowości oskarżonego miały niekorzystne warunki rodzinne...*

Dr. D. Siwek, biegły psychiatra: — *Okresami stwierdziliśmy u oskarżonego stan obniżonego nastroju, który nie miał charakteru psychotycznego, wiązało się to z sytuacją, w jakiej się znalazł. Rozmyślał nad popełnionymi przestępstwami. Anomalie występowały głównie w sferze emocjonalnej.*

Dr Zbigniew Lew-Starowicz biegły seksuolog-psychiatra: — *Oskarżonego cechuje sadyzm seksualny. Nieudzielanie odpowiedzi przez oskarżonego na zadawane pytania tłumaczę jako reakcję obronną, która występowała również w trakcie mojego badania. Formy agresji wobec kobiet są różnie wyrażane w zależności od obiektu. Dewiacje można rozpoznać w trakcie badań seksuologicznych. Sam pobyt w zakładzie karnym nie wpływa dodatnio na dewiację, która jest cechą trwałą. Można rokować, że się utrzyma. Ta dewiacja ma charakter trwały. Istnieją metody leczenia osobowości, natomiast metody leczenia zachowań dewiacyjnych są mało znane i mało skuteczne. Osobowość może ulec zmianie, natomiast dewiacja — nie. Sfera kontaktów heteroseksualnych była zagrażająca dla oskarżonego. Narastał uraz do kobiet.*

Sąd Wojewódzki w uzasadnieniu wyroku skazującego m. in. stwierdził, że przy wymiarze kary wziął pod uwagę szczególnie wysoki stopień społecznego niebezpieczeństwa czynów oskarżonego, który działał z całą bezwzględnością dla zaspokojenia popędu płciowego i osiągnięcia korzyści majątkowych... bezwzględny sposób działania — bicie prętem żelaznym lub kulą żelazną w głowę i to kilka razy każdą ofiarę, nawet już leżącą na ziemi.. „*Podniesione wyżej okoliczności wskazują na nieodwracalność procesu degeneracji oskarżonego i brak perspektyw jego poprawy w przyszłości. Z tych też względów wymierzenie za popełnione zbrodnie kary śmierci oskarżonemu jest współmierne do stopnia społecznego niebezpieczeństwa czynów przez niego popełnionych oraz do stopnia jego zawinienia, jak również spełni cele w zakresie jej społecznego oddziaływania*".

13 maja 1983 r. Sąd Najwyższy utrzymał powyższy wyrok. Stwierdził m.in., że umieszczona w kodeksie karnym poza katalogiem kar zasadniczych kara śmierci jest karą wyjątkową. Stosowanie jej bowiem jest uzależnione nie tylko od charakteru zbrodni i częstotliwości jej występowania na danym terenie, lecz również od sposobu i motywów działania, stopnia zdemoralizowania oskarżonego oraz warunków, w jakich kształtowała się jego osobowość. Na gruncie tych ogólnych założeń oraz przy uwzględnieniu, że oskarżony Krzysztof Sołtysiak w chwili dokonania dwóch zabójstw oraz w czasie wyrokowania był młodociany nie można podzielić wątpliwości wyrażonych w rewizji, co do zasadności wymierzonych mu kar śmierci. „...*Oskarżony miał w pełni zdolność rozumienia znaczenia popełnionych zabójstw i kierowania swoim postępowaniem, brak jest mimo odmiennego poglądu autora rewizji, jakichkolwiek przesłanek, które przemawiałyby za odstąpieniem od wymierzenia mu za te morderstwa kar śmierci...*"

SPOTKANIE Z WIĘŹNIEM CELI NR 113

Rozmawiałem telefonicznie z zastępcą naczelnika Aresztu Śledczego w Łodzi, gdzie przebywał Krzysztof Sołtysiak. Wyraził zgodę na widzenie, przedtem jednak spytał o opinię sąd.

Pojechałem więc po raz kolejny do Aresztu Śledczego.

Czekanie, długie czekanie. Potem kraty, drugie kraty, drzwi... Nie sposób zliczyć wszystkich przystanków.

Potem długa rozmowa z zastępcą naczelnika: o Sołtysiaku i o tym, co go nurtuje — prywatnie i służbowo.

Sołtysiak przebywał w czteroosobowej celi nr 113, która zawierała 35 m³ powietrza. Towarzystwo doborowe: jeden matkobójca, drugi zrobił napad z bronią w ręku, trzeci był zamieszany w aferę hotelową...

Okna, kraty, siatka, cztery szafki, sedes, umywalka. W szafce miski, chleb, masło, łyżka, kubek, kawałek cebuli. Wszyscy stoją na baczność, przepisowo meldują. Wymieniają jednym tchem artykuły kodeksu karnego, których przepisy naruszyli.

Na łóżku Sołtysiaka otwarta na 16 stronie „Ilustrowana Kronika Polaków", gdzie pisze o okresie zamętu po przedwczesnej śmierci Mieszka II. Jej autorzy Mateusz Siuchciński i Szymon Kobyliński mogą być dumni z tego, że są czytani także przez zbrodniarzy...

W osobnej już celi przeprowadziłem ponad godzinną rozmowę z Sołtysiakiem. Był to często monolog poprzeplatany jego „tak" lub „nie" i milczeniem. Przez dwa lata przybyło mu jednak wiedzy i przysłowiowych mądrości, które niewątpliwie wykuł na pamięć.

— O czym teraz myślisz?

— *O różnych sprawach.*

— O czym najczęściej?

— *O swoim życiu* (długie milczenie).

— Czy jest ono nieodwracalnie dla ciebie stracone?

— *Chyba tak. A mogło się przecież inaczej ułożyć.*

— Jak twoje życie by się potoczyło, gdybyś nie został aresztowany, potem skazany?

— *Trudno mi naprawdę powiedzieć. Od najmłodszych lat byłem pozbawiony domu. To chyba La Rochefoucauld powiedział: „żyj tak, aby twoja mogiła nie była jedynym śladem twojego istnienia. Mi się to nie udało, ba, nie będę miał nawet mogiły. To może i „dzięki" temu, że nie chciałem właśnie prawdziwego domu.*

— O czym rozmawiasz z kolegami z celi?

— *O filmie, czasami o swoich przeżyciach.*

— Czy miałeś przeżycie, które szczególnie zapamiętałeś?

— *Przeżycie nie, ale zapamiętałem szczególnie moją wychowawczynię, która, pamiętam, była bardzo młoda. Starała się zawsze porozmawiać, czasami poradzić.*

— W sądzie o nic nie prosiłeś w ostatnim słowie. Dlaczego?

— *O cóż ja mogłem prosić.*

— Naturalnym odruchem człowieka, który stoi przed czymś nieodwołalnym — jest chwytanie się każdej możliwej deski ratunku.

— *Miałem wtedy wszystkiego już dość.*

— Gdyby proces odbył się wcześniej...

— *Nie wiem, chyba też bym nic nie powiedział... Karę i tak musiałbym ponieść.*

— Kogo obarczasz winą, że wszedłeś na tę drogę: rodziców, kolegów, przyjaciół, czy po prostu — siebie?

— *Było trochę winy rodziców. Ale największa wina była jednak moja. W dużej mierze do takiej mojej postawy przyczynił się zakład poprawczy.*

— Ten ostatni — w Laskowcu?

— *Nie tylko, bo także schronisko dla nieletnich.*

— Czy regulamin był w nich zbyt rygorystyczny?

— *Bardziej o to mi chodzi, że wychowawcy nie umieli zająć się nami, a przede wszystkim nie umieli się z nami porozumieć. Do tej pory nie wiem o co im chodziło. Traktowali nas wszystkich szablonowo, nie starając się w ogóle nas zrozumieć. Uważam, że w ogóle system wychowawczy w zakładach poprawczych...*

— Należałoby go zmienić?

— *Trzeba go zmienić.*

— W jaki sposób?

— *Nie umiem dokładnie powiedzieć. Może powiem tak: każdy z nas — wychowanków oczekuje na co dzień trochę zrozumienia. Tam zaś były tylko kary, kary, kary... — wykonywane bez względu na ich słuszność.*

— Uważasz, że cały system wychowawczy opierał się wyłącznie na karach?

— *W większości wypadków chyba tak.*

— Trudno byłoby jednak nagradzać ludzi, którzy cały czas przysparzają kłopotów.

— *Nie wolno panu powiedzieć, że stwarzaliśmy same kłopoty. Jeżeli one były, to jednak kary były niewspółmierne do przewinienia.* W *tym zakładzie uważano, że najlepszą metodą wychowawczą będzie bicie.*

— Odczułeś to na własnej skórze?

— *Tak i to niejeden raz.*

— Skarżyłeś się?

— *Nie było komu.. Zresztą kto by uwierzył w to, co tam się działo.*

— Skarżyłeś się rodzicom?

— *Czasami wspominałem, że mam tego wszystkiego dość.*

— Dawano ci wielokrotnie szansę. Mama starała się o zwolnienie. Robiłeś co innego.

Milczenie. I czas na krótką refleksję, że rozmawiamy właściwie o świecie dla niego tak bardzo nierealnym.

— Czy żal ci tego, co zrobiłeś?

— *Trochę,*

— Czy widziałbyś jakąś szansę naprawienia tego co zrobiłeś?

— *Takiej szansy w tym przypadku nie ma.*

— Czy spodziewałeś się kary śmierci?

— *Raczej tak. Nie spodziewałem się zresztą innego wyroku.*

— Wtedy! A teraz?

— *Też.*

— Czy jest to jedyna kara, której może społeczeństwo żądać? Czy widzisz inne?

— *Chyba nie ma innej.*

— Boisz się?

— *Nie, raczej jest mi żal. Nie boję się.*

— Dlaczego się nie boisz?

— *Rzadko w życiu się bałem.*

— Czy uważasz, że powinna u nas istnieć kara śmierci za tego typu przestępstwa?

— *Nie wiem, jak na to pytanie odpowiedzieć.*

— Gdybyś był sędzią, jaką karę byś wybrał dla człowieka, który zrobił to co ty.

— *Nie wiem, trudno mi się znaleźć w pozycji sędziego.*

— Gdyby ktoś zabił twoją matkę, jakiej kary byś żądał?

— *Nie wiem.*

— Chcesz żyć?

— *Tak.*

— Bardzo?

— *Bardzo.*

— Masz taką nadzieję, że w końcu zostaniesz ułaskawiony?

— *Jakąś nadzieję trzeba mieć.*

— Żyjesz tą nadzieją?

— *Tak.*

— Co sobie planujesz na najbliższy okres?

— *Na razie nic.*

— Jakim czasem żyjesz?

— *Na pewno nie przyszłością.*

— Czy myślisz o tym, co będzie za lat 15, 25, gdybyś jednak wrócił do swojego środowiska?

— *Myślę że jeszcze za wcześnie o tym myśleć.*

— Gdybyś został ułaskawiony i wypuszczony na wolność — powróciłbyś do domu?

— *Tak, wróciłbym do mojego domu.*

— Nie bałbyś się?

— *Nie wiem, raczej tak.*

— Co byś powiedział rodzinie?

— *Nie wiem, bo trudno mi sobie wyobrazić taką chwilę... Czy nie chciałby pan zapytać, gdzie obecnie się znajduję?*

— Gdzie?

— *Na stromym zboczu, z którego ciągle się staczam. Do jego stóp już niewiele mi brakuje. Czuję to..,*

Rozmawiając z Sołtysiakiem miałem świadomość, że wyrok śmierci jest dla niego karą podwójną. Pierwszą karą jest pozostawienie skazanego ze świadomością zbliżającej się śmierci do czasu jej wykonania i drugą — samo jej wykonanie. Czy mam prawo do tego, żeby go jeszcze dręczyć?

W ostatnich latach przeprowadziłem dziesiątki rozmów dziennikarskich z wybitnymi prawnikami, filozofami na temat kary śmierci — funkcjonowania jej w świadomości społecznej, jak i stosunku nauki do jej stosowania. M.in. rozmawiałem z autorką jedynej w Europie monografii poświęconej karze śmierci — doc. Alicją Grześkowiak z Instytutu Prawa Karnego UMK w Toruniu. Powiedziała właśnie dokładnie tak: — *Wyrok śmierci jest zawsze pozbawieniem życia, jest karą śmierci i karą strachu przed śmiercią. Według zasady sprawiedliwej odpłaty odpłaca się więc za wiele. I w tym rozumieniu kara śmierci jest traktowana przez jej przeciwników jako zemsta, a nie sprawiedliwa odpłata.*

WACŁAW OPACKI

PS. Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski. Wyrok został wykonany.

SŁABY CIĄG

Ireneusz Iredyński jest autorem nierównym: pisze dobre dramaty i mniej udane powieści. Wydawnictwo Literackie takie cztery powieści (Dzień oszusta, Ukryty w słońcu, Człowiek epoki, Mani ulacja) wydało w jednej książce pt. „Ciąg". Sądzę, że tytuł należy tu rozumieć jako kontynuację pewnej tematyki i sposobu interpretowania opisywanych zdarzeń. Iredyński jest mistrzem dialogu, gorzej radzi sobie z opisami. Mimo to „Ciąg" nie będzie zalegać na półkach i ladach księgarskich, gdyż tego typu literatura, jaką uprawia Iredyński, posiada sporo zwolenników.

Ireneusz Iredyński: Ciąg. Wyd. Lit. 1983 r. Str. 458. Cena 140 zł.

LISTY FAULKNERA

Listy są otworem, przez który można zaglądać do życia osobistego ich autora. Im autor jest sławniejszy, tym listy są bardziej pasjonujące.

Otrzymaliśmy właśnie spory wybór twórczości epistolarnej Williama Faulknera, który przez 44 lata prowadził rozległą korespondencję z wydawcami, z przyjaciółmi, z pisarzami. I jak to zazwyczaj bywa w takich przypadkach, sporo miejsca poświęcił opisowi własnego życia, niepokojów związanych z twórczością, swoim sądom i osądom dzieląc się przy okazji spostrzeżeniami i uwagami na tematy literatury, polityki i egzystencji.

Przekład: Ewy Życieńskiej.

William Faulkner: Listy. Czytelnik 1983. Str. 250. Cena 100 zł.

TEN STARY ZŁODZIEJ

Kiedy Marek Nowakowski zaczął publikować swoje pierwsze opowiadania, krytycy wpadli w zachwyt: oto objawił się w naszej literaturze „drugi Marek". Czas jednak pokazał, że był to zachwyt przedwczesny. Autor „Benka Kwiaciarza" daleko odstał od prozy Marka Hłaski.

Piszę o tym, bo właśnie ukazały się niejako dzieła zebrane Nowakowskiego, gdyż w pokaźny tom weszły zarówno „Ten stary złodziej", jak i „Benek Kwiaciarz". Zaletą zawartych w książce opowiadań jest to, że są krótkie, wadą — że tak bliźniaczo podobne i monotematyczne.

Marek Nowakowski: Ten stary złodziej. Benek Kwiaciarz. Czytelnik 1983 r. Str. 380. Cena 120 zł.

WITTLIN PRZEŚMIEWCA

Po raz pierwszy połączono dwa wittlinowskie poradniki w jedną książkę: „Vademecum żurnalisty" i „Vademecum grafomana" ilustrując to wszystko rysunkami Szymona Kobylińskieg Już sam ten fakt sprawi, że książkę będzie się sprzedawało spod lady. A rzecz jest nie tylko zabawna, ale skłaniająca czytającego do głębszych refleksji nad stanem naszej literatury i żurnalistyki. Nie jest także wykluczone, iż zawarte rady mogą być potraktowane poważnie przez ludzi zasypujących redakcję i wydawnictwa płodami swojej twórczości. Do nich przede wszystkim książka jest adresowana, a także do tych, którzy lubią niewymuszony, lecz trafny dowcip.

Jerzy Wittlin: Vademecum grafomana, Vademecum żurnalisty Wyd. Lit. 1983 r. Str. 182 + 208. Cena 130 zł.

NABÓJ DLA KAPRALA

Minęło tyle dziesiątków lat od zakończeni ostatniej wojny, a jej tematyka ciągle powraca w formie zbeletryzowanej, pamiętnikarskiej lub dokumentalnej. Wydawnictwo Łódzkie wydało ostatnio „Nabój dla kaprala" Szymona Paprzycy, rzecz o najmłodszych żołnierzach Września pochodzących z Wielkopolski, a należących do Oddziałów Obrony Narodowej. Należeli tu zarówno ci ze „Strzelca", jak i ci z Przysposobienia Wojskowego, starsi harc-rze i uczniowie ochotnicy. Ich czynami, bohaterstwem, ale i mogiłami była pisana historia tamtych gorących i tragicznych dni i miesięcy.

Szymon Paprzyca: Nabój dla kaprala. Wyd. Łódzkie 1983 r. Str. 200. Cena 80 zł.

Roman Gorzelski

Krajobraz nadwarciański

Dawne miasteczko (o nazwie rzeki)
z dachami jak potłuczone buraczkowe skorupki
wiekowego dzbanka — gdzieniegdzie wystrzela wieżowiec
jak młoda marchewka pełna witamin:
z zieleni
wody powietrza czystych okien
drewniany kościółek schowany w lipowym zapachu
w kwietnej aureoli Boga — w różach wysokopiennych
kamienny most na tle panoramy słonecznej
czerwonokamiennych kominów pastelowych chmur
z chłodem majestatycznym katedry pełnej ludzi
prosto od sianokosów i wozów drabiniastych
z zapachem kłosów owsa koniczyny łubinu
które powracają tu rozpędzonymi uliczkami
z perspektywą tak cienką jak igielne ucho
z pompą zaprzedaną skrzypieniu i stłoczonych wokół niej
kamieniczek drewnianych podwórek
z wydrążonymi ludźmi
włopionymi w krajobraz pozaokienny
wychodzący z chat
ulatujących na skrzydłach kwaśnego zapachu chlebowego
w stronę rynku nad mosteczkiem rozchwianym przez czas
który obsiedli ptasim stadem niemi rybacy
grożący wodzie batami wędek: wreszcie księżyc nad młynem
drewniana facjata stary śmietnik podmiejski gdzie
znaleziono rękawice rycerskie szyszak i jedną złotą ostrogę
a nieco dalej fabryczka która topi swoje trujące tchnienie
w rzece naszym hymnem uszlachetnionej...

Magda z Brudnowa

Magda nosi wodę: iskry lecą z wiader
krople toczą się słońcami
na jej drodze wzbiera linia samotności
pagórek Wenery maleje jak człowiek na horyzoncie
:świerszcz w jej włosach wygrywa oberki weselne
ale nikt ich nie zatańczy — chochoł jedynie
dobija się do drzwi i bezdomny Azor
zbity przez dawnego właściciela
który rozpacz nieznaną utopić się stara
na dnie butelki: Magda z Brudnowa idzie
z wiadrami pełnymi szczęścia którego nikt nie chce
w schludnej izbie tylko radio do niej mówi
barytonem: mężczyzn dotknęła bezinteresowna
nieżyczliwość losu: wojna wódka tytoń
oraz łatwe panie roznoszące różne choroby
dlatego niemal milion gospodarstw wiejskich
prowadzą samotne kobiety...

Zając z Dalikowa

W okolicach wsi Dalików
żyje sobie kłusownik Futrowicz
który widłami potrafi upolować
kilkadziesiąt zajęcy rocznie: dlatego
w swoistej windzie strachu
każdy sieradzki zając żyje
z góry w dół
z góry w dół
uruchomiony tym napędem na ostatni a bieg
nawet nie pamięta kiedy nagle
zaczął się bać (biec) nawet cień
człowieka z wyciągniętą ręką
może być dłań wyrokiem śmierci
:a zając nie ma uszu tylko słuchy
nie ma oczu tylko trzeszcze
nie ma ogona tylko omyk
nie ma zębów tylko kęsy
i w ogóle jest to kot dla myśliwych
czyli źle przez los potraktowane zwierzę
(ciekawe czy wiedzą o tym panowie
Królikiewicz i Zajączkowski...)

Rys. Zenona Pionk

Z półki recenzenta

Wymierzyć sprawiedliwość

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

1. Nowa powieść Apoloniusza Zawilskiego, „Spadkobierca", kontynuuje nurt autobiograficzny, o dość znacznym zresztą stopniu uogólnienia, wyznaczony kolejnymi tytułami: „Grzegorza Mała", „Szklane zbocze", „Złota szabla", „Testament". Pobieżna nawet orientacja w niektórych faktach z życia autora pamiętnej relacji z wojny 1939 roku „Bateria została" pozwala niejednokrotnie utożsamiać narratora „Spadkobiercy" z autorem. Wspominam o tym, aby od razu podkreślić znaczenie konkretu w tej prozie, wiernej wobec życia, rejestrującej zróżnicowane jego przejawy, niezmiennie poszukującej formuły prawdziwości i sprawiedliwości w ocenie relacjonowanych wydarzeń, usiłując możliwie dokładnie, wręcz drobiazgowo niekiedy, przedstawić natłok spraw, jakimi wypełnione bywa ludzkie życie. Specyfikę tego pisarstwa oddają słowa Marcina Sobczyńskiego, bohatera powieści, któremu — obok innych życiowych zatrudnień — nieobce jest i pisanie książek. Dla Sobczyńskiego pisarz to „protokolant życia, uczciwy sprawozdawca wydarzeń, stały koreferent eufemistycznego nurtu oficjalnego, wściekły tropiciel prawdy, bezwzględny morderca oportunizmu i zakłamania, najwyższy sędzia swego czasu, człowiek, w którego sumieniu znajduje odbicie epoka. Ale w ocenie postępowania jednostki musi brać pod uwagę także tło, także postępowanie innych. Nie można oskarżać kogoś za używanie narzędzi z krzemienia, jeśli żył w epoce paleolitu...". Patetyczne wyznanie w moc literatury stanowi jedną z wielu uwag warsztatowych odnotowanych w powieści Zawilskiego. Są one istotne — nie na tyle wszakże, by czyniły ze „Spadkobiercy" prozę autotematyczną. Raczej już pomagają czytelnikowi wejrzeć w intencje autora, nie zawsze przecież utożsamiającego się z narratorem czy bohaterem, usiłują czytelnika sprowokować, aby docenił trud autora imającego się ambitnego przedsięwzięcia, które z uporem, determinacją, a i niemałym wdziękiem doprowadza do końca.

2. Podstawową sprawą w powieści Apoloniusza Zawilskiego jest ukazanie rozpadu tradycyjnej, rozgałęzionej rodziny, którą wiatr historii przywiał z Wołynia w różne zakątki dzisiejszej Polski i rozrzucił po świecie. Więź rodowa uległa przerwaniu z różnych powodów — historycznych, demograficznych, geograficznych, nade wszystko jednak wskutek nienasyconej kobiecej zachłanności. Powieść ta okazuje się wnikliwym i ironicznym studium chciwości, chciwości nienasyconej, totalnej, dla której nie istnieją żadne hamulce; ani rodzinne, ani moralne, ani administracyjne.

Na poły poważnie, na poły zaś żartobliwie autor „Spadkobiercy" przypomina o podziale ludzkich postaw na dwa podstawowe układy: wertykalny i horyzontalny. Obrazowa symbolika pierwszego zasadza się na pojęciu drabiny społecznej, po której zwolennicy konsumpcji wspinają się coraz wyżej i wyżej, aby coraz więcej i więcej otrzymać, zużytkować, posiadać. Układ horyzontalny to jakby zaprzeczenie owej drapieżnej i z niczym się nie liczącej żądzy posiadania, polega na doskonaleniu siebie, na prymacie wartości osobistej nad wartością materialną. Jej miernikiem staje się dążność do społecznej przydatności na miarę możliwości i ambicji zwolennika takiej postawy. Łatwo się domyślić, iż wyznaje ją bohater powieści. Natomiast zwolenniczką postawy wertykalnej jest przede wszystkim jego siostra, Antonina Wort. Konflikt pomiedzy nimi, wynikający z pospadkowych roszczeń siostry wobec najmłodszego brata, dziedziczącego mocą testamentu ojcowiznę, stanowi siłę motoryczną akcji powieści Apoloniusza Zawilskiego. Filozofowie, socjologowie, teoretycy kultury zastanawiają się nad hierarchią wartości w życiu człowieka, łamią sobie głowy i wymyślają coraz to bardziej skomplikowane systemy, aby dowieść, że liczy się tylko uroda życia, bogactwo myśli i odczuć, gdy tymczasem w istocie nic się nie zmienia w ludzkiej naturze, przedkładającej dobra materialne, najlichsze nawet, nad ascetyczne wartości moralne. Taki jest dosłowny sens powieści Apoloniusza Zawilskiego. Wynika z niego, iż atawizm natury człowieczej, objawiający się w nienasyconej, żarłocznej żądzy posiadania — wszystko jedno czego i wszystko jedno, jakim kosztem — pozostał trwały i niewzruszony.

Ogólną tę refleksję autor „Spadkobiercy" ilustruje bardzo dokładną relacją z przebiegu sądowego postępowania rewizyjnego sprawy spadkowej. Relacja tak jest instruktywna, iż z lektury jej niejeden student prawa, czy też aplikant odnieść mógłby spore korzyści merytoryczne. Stanowi ona punkt wyjścia do wnikliwej charakterystyki psychologicznej osób w sprawę zamieszanych. Jedynym sprawiedliwym i przez niecne intrygi pokrzywdzonym okazuje się od początku Marcin Sobczyński, niemalże rycerz bez skazy.

Skoncentrowanie się na przebiegu postępowania sądowego nie przeszkadza Apoloniuszowi Zawilskiemu w ukazaniu panoramy życia obyczajowego. Precyzyjnie odnotowuje on wszelkie przemiany w tym zakresie, tworząc — jak sam pisze — jakąś „tkankę socjologiczno-obyczajową i kulturową". W tym aspekcie osobiste sprawy Marcina Sobczyńskiego często schodzą na plan dalszy, on sam zaś staje się podmiotem uczestniczącym w zjawiskach szerszych, dalece wykraczających poza rodzinne kłopoty i spory. Przykładem mogą tu być uwagi o polityce rolnej państwa, spostrzeżenia na temat ekspansywności inicjatywy prywatnej, czy wypowiedzi o sposobach egzystencji ludzi pióra.

Postawa Marcina Sobczyńskiego wynika z poczucia spełniania pewnej misji o społecznym niejako charakterze. Chce on dać świadectwo prawdzie swoich czasów, stara się wystawić świadectwo ludziom, z którymi się stykał. Życie swoje traktuje jako moralne posłannictwo. Okoliczności, w jakich się porusza traktuje jako „sytuację Conradowską". Powiada o tym w słowach pełnych patosu: „Przeznaczeniem ludzkiego życia jest imać się spraw przerastających normalne ludzkie siły, spraw, których cel tonie w pomroce przyszłości, walczyć do końca o ich wyjaśnienie. Wtedy nie tylko zwycięstwo, ale i klęska jest osiągnięciem, gdyż ściele innym drogę do poznania, wzbogaca skarbiec powszechnego doświadczenia. Przeznaczeniem jego życia, jak mu się zdawało, było trwanie na posterunkach z góry straconych, takich, które przynoszą gorzki smak doświadczenia, ale — broń Boże! — skąpią jakichkolwiek korzyści, zwłaszcza materialnych, gdyż w przeciwnym razie równałoby się to automatycznie przestępstwu. Tak jakby miał dowieść, że trud bezinteresowny i oparty na głębszych podstawach moralnych musi być koniecznie *trudem* straconym i skazanym na niepowodzenie. Czy to przypadkiem nie szczyt ironii?!". Bohater „Spadkobiercy" przez cały czas trwania powieściowej akcji dokonuje swoistej *wiwisekcji* — zakusy przeciwników, niespodziewane zdarzenia, zaskakujące obroty sprawy pospadkowej scala w jednolitą konstrukcję ludzkiego losu, pełnego zasadzek i nieprzyjaznego. Doznaje klęsk, ale odnosi również zwycięstwa. W rezultacie jego rozgrywka z losem kończy się sytuacją, którą można uznać za rozstrzygnięcie remisowe. W tej ostrożnej, wyważonej ocenie końcowej widziałbym wartość książki. Chociaż autor traktuje swojego bohatera z wyraźną, nieskrywaną sympatią, potrafi jednak pokazać, iż nie tak łatwo odnosi się zwycięstwo w walce z potężnym przeciwnikiem, jakim jest nieprzyjazny los.

3. Powieść Apoloniusza Zawilskiego dzieli się wyraźnie na dwie części. Pierwsza opowiada o perypetiach związanych ze spadkiem. Część druga pozostaje w bezpośredniej łączności z pierwszą i pokazuje problematykę życia Polonii w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Anglii. Trochę nawet można żałować, iż autor połączył te sprawy pod wspólną okładką. Opis amerykańskiej Polonii posiada zdecydowanie reportażowe cechy, pełno w nim dowcipu i serdecznej kpiny, na jaką pozwala sobie życzliwy, acz krytyczny, obserwator różnych pokoleń i ugrupowań emigracyjnych. Podróż po Nowym Świecie i spotkania z różnymi ludźmi, wśród których nie brakło i kombatantów wojny obronnej 1939 roku, dostarczają okazji do poruszenia wielu aspektów narodowych spraw polskich.

Podróż do Ameryki potrzebna była bohaterowi „Spadkobiercy" między innymi po to, aby mógł się przekonać, że z całej rodziny tylko on jeden utrzymał się w obrębie grupy etnicznej, pozostałe rodzeństwo zawarło mariaże obcoplemienne. W ich efekcie dawna wołyńska tradycja rodowa przestała mieć znaczenie. Smutny, bolesny, lecz nieuchronny rozpad rodziny — to cena, jaką wszyscy jej przedstawiciele zapłacili za przystosowanie się do nowych warunków życia. Pozostały wspomnienia i nutka melancholii.

4. Wymierzając sprawiedliwość nie tyle widzialnemu światu, co jego mieszkańcom, narrator „Spadkobiercy" ma świadomość, iż jest to przedsięwzięcie trudne. Zewnętrznym niejako tego wyrazem są perypetie związane ze zróżnicowanymi wyrokami wokół sprawy spadkowej. Sąd zawodowy pomylić się może, pisarz, który stawia się w roli moralnej wyroczni, mylić się nie powinien. Tak sformułować trzeba myśl przewodnią poczynań bohatera powieści, na wymierzanie sprawiedliwości po prostu skazanego.

Apoloniusz Zawilski, „Spadkobierca", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1983, s. 356, nakład 9.700+300 egz. cena zł 80,—.

„Łucja" czyli wielki szpan

JERZY KWIECIŃSKI

Przywykliśmy już do tego, że każda premiera Teatru Wielkiego poszerza repertuar tej placówki (a tym samym edukację widzów) o jakieś dzieło znaczące, godne uwagi, może nie zawsze przez swe czysto artystyczne wartości, ile częściej przez swą reprezentatywność dla danego stylu czy epoki w sztuce operowej. Tak też i z najnowszą premierą „Łucji z Lammermoor" Donizettiego, utworem bardzo nierównym muzycznie i dramatycznie, ale znamiennym dla włoskiej opery romantycznej, rozwijającej się po śmierci Rossiniego w pewnej opozycji wobec Belliniego, który póki żył, zagradzał Donizettiemu drogę do pierwszego miejsca na włoskim Parnasie.

W tej swojej „Łucji" zresztą, jak twierdzą znawcy przedmiotu, wykrzesał z siebie Donizetti maksimum inwencji i umiejętnosci dla wzbogacenia środków wyrazu artystycznego i chociaż dzisiejszy bywalec operowy nie ze wszystkim może czuć się usatysfakcjonowany, to trudno przecież nie zauważyć dążności kompozytora do muzycznego zróżnicowania wokalnych i orkiestrowych partii dla oddania zmiennych stanów psychicznych tytułowej bohaterki. Widoczne to, zwłaszcza w wielkiej scenie obłąkania, choć tu i ówdzie dramatycznym przeżyciom towarzyszy nieoczekiwanie skoczna i niefrasobliwa melodyjka, a przy tym nie jest to kontrast stosowany świadomie. W każdym razie wspomniana tu wielka aria, czy raczej cała scena stanowiła zawsze wielką pokusę dla najsłynniejszych sopranistek i okazywała się dobrym sprawdzianem ich wokalnego kunsztu oraz scenicznych talentów.

Z dużym więc zaciekawieniem oczekiwali miłośnicy operowego bel canta wystawienia tej opery, tym bardziej, że jej inscenizację i reżyserię powierzono zagranicznemu, i to włoskiemu specjaliście, który powinien dobrze wiedzieć, jak przysposobić scenicznie głośne dzieło swego krajana, aby nie uchybić tradycjom wykonawczym, a jednocześnie tchnąć w realizację ducha nowoczesności, której pulsu, być może, nie wyczuwamy już dość subtelnie. Warto zresztą wiedzieć, że pan **RENZO GIACCHIERI** jest dyrektorem największej podobno widowni operowej świata, czyli przedsiębiorstwa pod nazwą „Arena di Verona", na której za czasów pogańskiego Rzymu działy się z pewnością straszne rzeczy. Jeżeli komu to zaimponuje, podaję dla informacji, że owa „Arena" liczy sobie 18 tysięcy miejsc pod gołym niebem, co oczywiście nie stanowi jeszcze artystycznej rekomendacji tej placówki.

Inscenizacja p. Giacchieriego ograniczyła się do nowego podziału materiału literackiego na odsłony i akty, sprzecznego z przyjętą tradycją, co jednak moim zdaniem nie tłumaczy się jakąś dostrzegalną potrzebą, w swojej natomiast robocie reżyserskiej nasz gość pozostał uległy tradycjom, odczytując w duchu dawnej konwencji operowej poszczególne sceny i sytuacje (ogromnie sztampowe konanie Edgara — śpiewającego oczywiście), w znacznej mierze nacechowane statycznością.

Z zamysłami inscenizacyjno-reżyserskimi korespondowała w pewien sposób scenografia, o tyle, że stanowiła, jak się zdaje, próbę odwołania się do romantycznej stylistyki operowej, jak np. na samym początku, kiedy to wielce tajemniczy parów leśny obramowany był — zwłaszcza od góry, imitowaną draperią w mocno pompierskim guście. Dekoracjom nie można odmówić swoistej urody, za mało jednak wydają się wystylizowane, zbyt historyczne, a nie dość aluzyjne, za mało w nich pastiszu, co odnosi się też do scenerii następnych odsłon i aktów, m. in. z pałacową kolumnadą.

Nie najlepiej też wiodło się zwłaszcza na początku, orkiestrze, która brzmiała nikło i mało soczyście, a nierzadko rozmijała się ze śpiewakami i chórem. Dopiero od udanego tercetu **Lorda Ashtona, Rajmunda i Normana** zaczęła się sytuacja klarować, a poprawiła się na dobre od pożegnalnego „zaręczynowego" duetu Edgara i Łucji.

Główna rola i zarazem najbardziej odpowiedzialna partia wokalna przypadła **KRYSTYNIE RORBACH-WAŁASZEK.** Nie słyszałem wcześniej prezentacji tej arii w jej wykonaniu na niedawnej operowej „gali", a tym, którzy także nie słyszeli, zdradzę plotkę, iż nasza artystka miała wtedy wypaść ponoć jeszcze lepiej, niż na premierze. Jeśli tak, to owo „lepiej" (a obecne „gorzej") oznaczać mogło chyba, że premierowe obciążenie psychiczne sprawiło, iż głos śpiewaczki brzmiał niekiedy niedostatecznie nośnie, był chwilami jakby przytłumiony, nie zawsze wypływał z piersi szerokim strumieniem, lecz nieraz jakby kierował się do „wewnątrz" i dopiero pod koniec przedstawienia (czyli począwszy jednak od najważniejszej sceny) nabrał właściwego dramatycznego wyrazu i ujawnił się w pełnym blasku.

Zaczynam od tego (zapewne dyskusyjnego) mankamentu, żeby z czystym sumieniem i najwyższą satysfakcją powitać imponującą wokalnie i muzycznie interpretację wielkiej, trwającej kwadrans sceny obłędu, zarówno wspaniałą technikę koloraturową, jak i szlachetnie brzmiącą kantylenę, a do tego powściągliwość i świetość środków aktorskich. Nie ośmielam się ryzykować opinii, iż była to w każdym calu nienaganna kreacja śpiewacza, miałem jednak odczucie, iż w tej właśnie scenie jestem świadkiem, jak Krystyna Rorbach przekracza oto jakiś ważny próg na drodze do prawdziwej kariery artystycznej.

Można było odnieść wrażenie, że nasza sceniczna Łucja działała w pewnej jakby próżni, nie znajdując godnych siebie partnerów, gdyby nie doskonała wokalnie i muzycznie oraz przekonująca aktorsko rola **Rajmunda** w wykonaniu **ZDZISŁAWA KRZYWICKIEGO** (i cóż za wzorowa dykcja, będąca jednym ze świadectw właściwej emisji głosu!). Nie chcę przez to powiedzieć, że wszyscy pozostali śpiewacy zawiedli, bo przecież w dawno nie spotykanej formie pokazał się jako **Lord Ashton JERZY JADCZAK,** dobre momenty miał **ROMAN WERLIŃSKI (Norman).** Co prawda ukochany Łucji **Edgar — JERZY WOLNIAK** nie zawsze pewny był intonacyjnie i głosowo też miewał kłopoty, a najlepiej wypadł w cmentarnej scenie rozpaczy nad rzekomą zdradą Łucji. W roli **Alicji** wystąpiła **URSZULA JANKOWIAK** (dobrze zabrzmiał duet obu przyjaciółek w scenie zwierzeń Łucji), w roli **Artura** obsadzono — chyba nietrafnie — **ADAMA DULIŃSKIEGO.**

Przedstawienie „Łucji z Lammermoor" z pewnością nie stanowi sukcesu naszego teatru, ale ostatecznie nie byłoby nad czym rozdzierać szat, ponieważ niepowodzenia artystyczne, jeśli niezbyt częste, są sprawą niejako wkalkulowaną w ryzyko zawodu. Należy jednak zastanowić się nad tym, czy warto było brać coś na warsztat, jeśli nie rozporządzało się dostateczną obsadą i — chociaż podróże niewątpliwie kształcą, to daleka wyprawa w poszukiwaniu reżysera może mieć wtedy sens, jeśli jej celem jest zapoznanie się z jego talentami, nie tylko administracyjnymi.

Niewątpliwie, wyszedł z tego duży szpan, ale przy tym mały zysk.

■

Gaetano Donizetti „Łucja" z Lammermoor". Libretto — **SALVATORE CAMMARANO** (wg Waltera Scotta). **Kierownictwo muzyczne — ALEKSANDER TRACZ,** inscenizacja i reżyseria — **RENZO GIACCHIERI,** scenografia — **JÓZEF NAPIÓRKOWSKI, RYSZARD STOBNICKI;** przygotowanie chóru **HENRYK KARPIŃSKI.** Premiera 17 grudnia 1983 r.

Krystyna Rorbach — Łucja

Foto: Chwalisław Zieliński

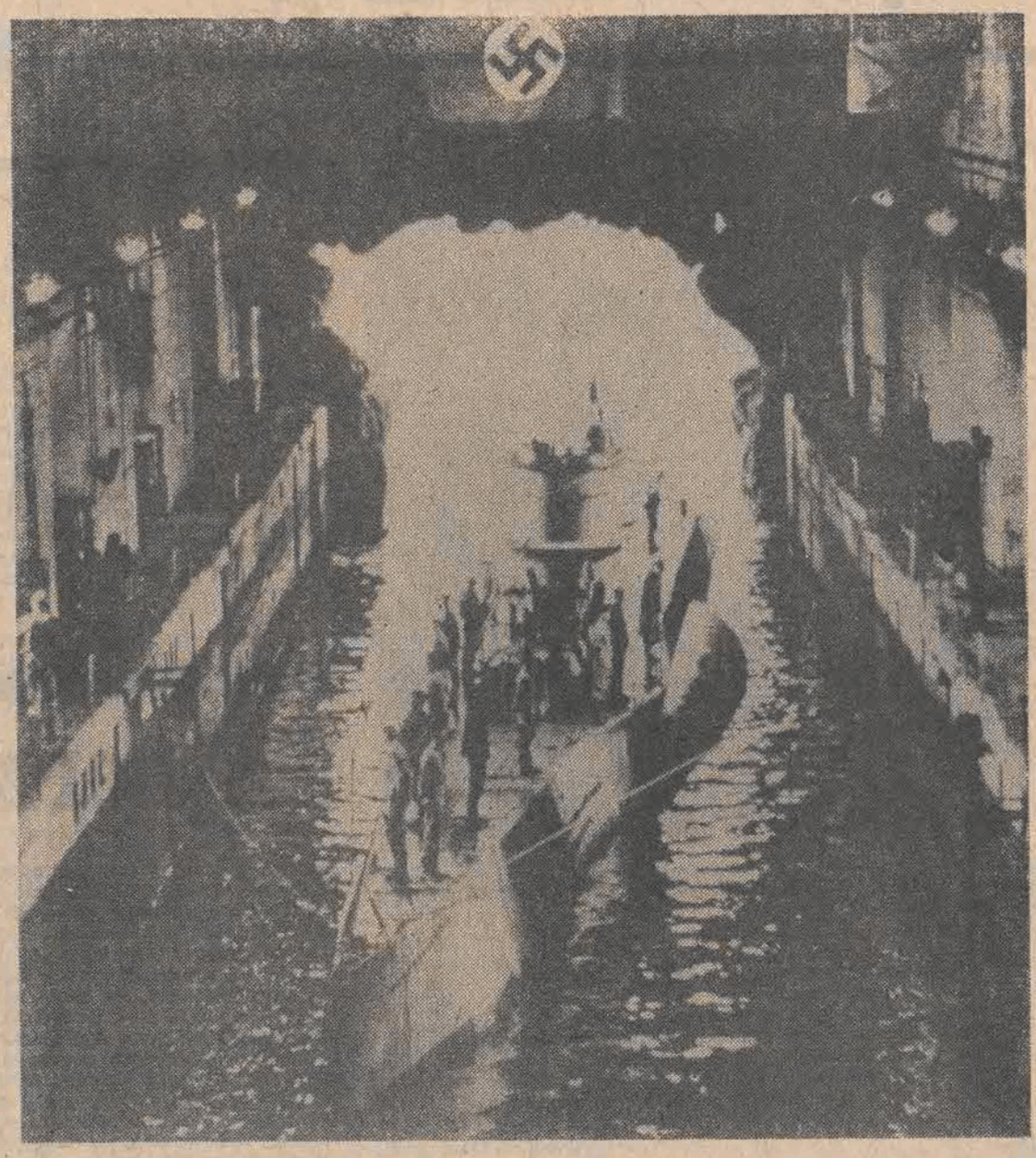

W poszukiwaniu zaginionej arki (...oraz widowni)

ROMUALD SZOKA

I jeszcze raz Steven Spielberg, autor wielu kasowych przebojów, jak „Szczęki", czy „Bliskie spotkania trzeciego stopnia", potwierdził swój realizatorski kunszt i wyczucie oczekiwań widowni. Zrealizowany przez niego przed dwoma laty, a u nas zaczynający dopiero karierę, film pt. „Poszukiwacze zaginionej Arki" („Raiders of the Lost Ark") już w pierwszych miesiącach rozpowszechniania pobił rekord frekwencji, należący do „Supermana II" (100 milionów widzów w samych Stanach) osiągając liczbę ponad 125 mln oglądających i przyniósł milionowe dochody jego twórcom oraz producentom. Jednocześnie do kin całej prawie Europy powrócili ci, którzy „oddali się" telewizji, a o których — dotąd daremnie — zabiegał amerykański przemysł filmowy.

Faktem bezsprzecznym pozostaje bowiem, iż gwałtowny rozwój techniki telewizyjnej spowodował masowy odpływ publiczności z sal kinowych, a prorocy „ery McLuhana" mówili wprost o końcu kina. Tymczasem zaczyna się coś przeciwnego, tj. renesans kina, które po latach chudych, znów staje się rentowne i wypełnia się po brzegi. A wszystko dzięki rozrywkowym superprodukcjom zapoczątkowanym przez „cudowne dzieci Hollywoodu", Coppolę, Lucasa, Spielberga oraz filmom w rodzaju „Czasu Apokalipsy", „Gwiezdnych wojen", czy właśnie „Poszukiwaczy zaginionej Arki".

Trzeba sobie powiedzieć uczciwie: film jest głupi. Ale... „w tym szaleństwie jest metoda", to znaczy — właśnie w głupocie (czy delikatniej — prostocie) filmu tkwi jego urok, promieniujący już od pierwszej sekwencji, a ustępujący dopiero przy napisach końcowych. Specyficzny urok, którego sekret polega zresztą nie tylko na wypraniu akcji z elementów, które mogłyby napotkać na najmniejsze nawet przeszkody w odbiorze ale i na symbiotycznym połączeniu gatunków starego kina, elementów dobrze znanych z awanturniczych i przygodowych obrazów z lat trzydziestych, transformacji środków i metod sprawdzonego już przed laty genre'u na język filmu przeznaczonego dla współczesnego odbiorcy. Jeśli uświadomimy to sobie od razu, traktując „Poszukiwaczy..." jako rozrywkę i tylko rozrywkę, uniknięmy niepotrzebnych rozczarowań, a ubawimy się setnie.

Spielberg, idąc wzorem wcześniej zrealizowanego „Roku 1941", będącego również zbiorem filmowych cytatów, zgromadził na ekranie nieprawdopodobnie dużo wątków, postaci, sytuacji, gagów, zdumiewających, niespodziewanych, a olśniewająco logicznych wolt. Wraz z nim jesteśmy i w peruwiańskiej dżungli, i w nepalskiej knajpie, i na Saharze. Razem przeżywamy spotkania z tarantulami, jadowitymi wężami i hitlerowskimi zbrodniarzami, razem uczestniczymy w szaleńczych pościgach wzorowanych na klasycznych scenach z westernu oraz pełnych suspensu scenach „z dreszczykiem". Nie brak też akcentów romantycznych, czy wprost melodramatycznych. Wszystko w ciągu niewiele ponad dwóch godzin.

Postacią, wokół której koncentruje się akcja jest diablo przebiegły i niebywale sprawny fizycznie archeolog Indiana Jones (Harrison Ford, znany z „gwiezdnego tryptyku" Lucasa) poszukujący na zlecenie amerykańskiego wywiadu mitycznej Arki Przymierza, którą interesują się naziści. Towarzyszy mu pełna temperamentu przyjaciółka, Marion (Karen Allen, którą pamiętamy z serialu „Na wschód od Edenu"), a przeszkadza im inny amerykański archeolog, profesor Belloq (Paul Freeman), będący jednak na usługach hitlerowców. Belloqa poznajemy już na początku filmu, gdy rabuje Jonesowi złotą figurkę zdobyta z narażeniem życia w indiańskiej jaskini. Scena ta jest godna podkreślenia ze względu na takie napięcie akcji, które zwykle znamionuje pointę filmu; tu mamy do czynienia jedynie z... preludium. Wracając zaś do antagonistycznych postaci Jonesa i Belloqa, warto zauważyć, że autorem scenariusza do „Poszukiwaczy..." jest ten sam Lawrence Kasdan, który napisał „Imperium kontratakuje". Stąd niezamierzona zapewne, ale widoczna analogia do rywalizujących przedstawicieli Dobrej i Złej Strony Mocy. Na szczęście sam Harrison Ford zdołał, kreując Indy Jonesa, stworzyć postać zupełnie inną od kapitana Solo.

Arka ma być jakoby pochodzenia pozaziemskiego, a jej moc przypisywana jest potędze Boga. Stąd zrozumiałe zainteresowanie, jakie budzi u Niemców i Amerykanów Jej poszukiwaniom towarzyszą zabawne, a zarazem mrożące krew w żyłach przygody, bohaterowie zawsze w ostatniej sekundzie unikają tragicznej śmierci, a tam, gdzie wydawałoby się, że akcja nareszcie zwolni, następuje nagły zwrot i scena jeszcze bardziej dynamiczna. Wypowiedź, być może i samego reżysera, wyrażona ustami Indy Jonesa, najlepiej chyba oddaje klimat akcji. Otóż na pytanie, w jaki sposób zamierza ścigać uciekającą ciężarówkę, bohater odpowiada: „Nie wiem. Improwizuję".

Zaginiona Arka została odnaleziona, znalazła się też, pozyskana na nowo, publiczność. Widać, tego typu filmy są potrzebne, a chyba to i lepiej, by widzów przyciągał Harrison Ford, niż Bruce Lee. Wciąż jednak pozostaje ciekawość, w czym tkwi sukces filmu?, jak zdołał on zrobić tak niebywałą furorę niemal na całym świecie? Spielberg, uprzedzając podobne pytania, wyznał kiedyś, że zrobił po prostu taki film, jaki sam bardzo chciał zobaczyć. Natomiast kręcąc go bawił się tak wyśmienicie, że zamierza zrealizować jego dalszy ciąg. Czekają nas więc kolejne sensacje i nowa porcja dobrej, czystej, stuprocentowej rozrywki.

Poszukiwacze zaginionej Arki, reż. S. Spielberg, prod. USA (Paramount Pictures), 1981.

■

Pasjonaci — czarodzieje

Są jeszcze pośród nas ludzie, którzy dzieło rąk i umysłu człowieczego rozumieją najdosłowniej jako arcydzieło. Ludzie pochłonięci pasją, płonący ogniem iskry bożej... nie zgubmy ich — my — codzienni i zwykli...

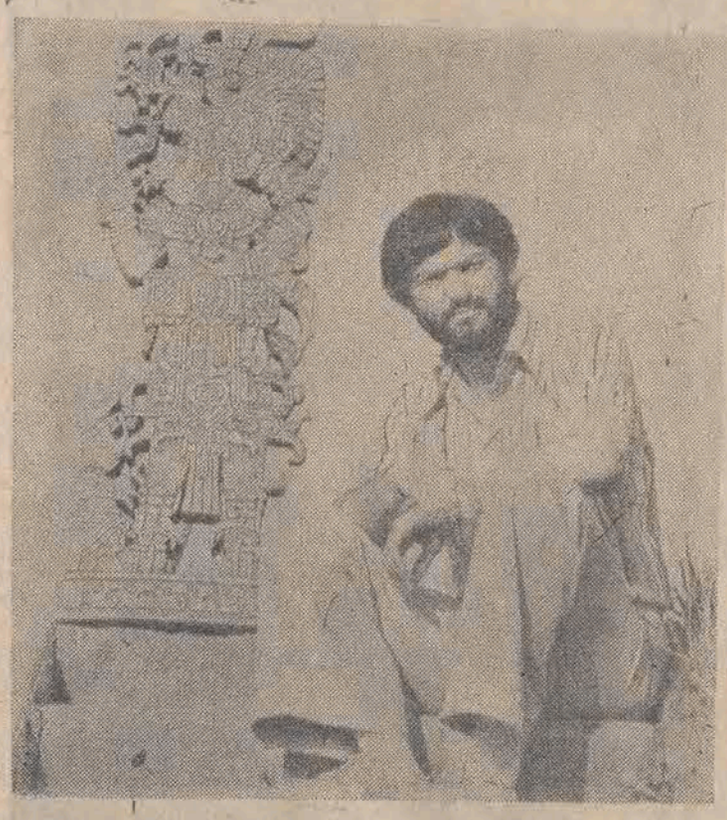

Stela 10 z Xutun w Peten — kapłan w stroju ceremonialnym z czterema bóstwami.

„Nigdy nie zginie, nigdy nie będzie zapomniane
to, co przyszli zrobić,
co przyszli utrwalić w rysunkach:
swoją sławę, swoją historię, swoje wspomnienia...
Na zawsze zachowamy to w pamięci,
my — ich synowie...
Będziemy o tym mówić, będziemy to przekazywać
tym, którzy będą jeszcze żyli, tym, którzy się narodzą...

(Kodeks Mexicayotl)

...Tak napisał poeta w królestwie Quetzalcoatla — Boga, który nauczył pisma i architektury, dał kalendarz i wiedzę o gwiazdach. „Quetzal" — znaczy — najpiękniejszy ptak Meksyku, „coatl" — znaczy wąż. Quetzalcoatl to upierzony wąż — tę postać ma Bóg, ojciec i nauczyciel Majów. Legenda mówi, że Boga przyprowadziły dzieci. Na brzegu morza znalazły dziwny, długi kształt, roztrzepotany ptasimi skrzydłami. Kształt przypominał upierzonego, skrzydlatego węża. Gdy dzieci podeszły bliżej, spłoszone ptaki odleciały, odsłaniając ludzką postać. Był to mężczyzna, bardzo obdarty i pokaleczony. Miał długą siwą brodę. A najbardziej zdumiewająca była jego skóra. Jasna, zupełnie niepodobna do miedzianej karnacji mieszkańców tej ziemi. Dzieci opatrzyły rannego i zaprowadziły do miasta. Przybysz pozostał wśród swych wybawicieli. Był ojcem dającym życie. Był nauczycielem sztuki i rzemiosł. Dał wiedzę i nauczył kochać życie. Jego imię — Quetzalcoatl znaczy życie.

— Wierzę — tak jak oni niegdyś wierzyli, że to, co stworzyli, co zostawili potomnym, nie zginie. Wierzę, że ich poezja przemówi do ludzi współczesnych, a ich sztuka, filozofia i radość życia są bogactwem nas wszystkich, żyjących w innym świecie i innym czasie.

SZEDŁEM DO NICH CAŁE ŻYCIE

Urodziłem się i wychowałem na Mazowszu, w Polsce, w Europie, a jednak czuję, że duch Majów, ludu żyjącego przed piętnastoma stuleciami, jest mi najbliższy. Kiedy byłem smarkaczem, zaczytywałem się w książkach przygodowych i podróżniczych. Tam szukałem swego własnego świata, przeżywałem przygody, odwiedzałem dawno zaginione cywilizacje. Chyba od zawsze byłem trochę odludkiem. Nie, żebym stronił od tzw. społeczeństwa, ale zawsze musiałem mieć kawałek swojego, nie dzielonego z nikim świata. Miałem swoją enklawę przygód i samotności na podmiejskich rozlewiskach. Tam zaczynało się wszystko, co było dla mnie ważne. Tam przyszły pierwsze pytania o to, kim będę jak dorosnę, co będę robił.

Tam przyszło do mnie odkrycie świata i kultury Majów. Jeszcze szczeniackie, niepełne i powierzchowne. Dziś jednak, z perspektywy lat widzę, że właśnie wtedy odkryłem dla siebie drogę życia... przepraszam za ten patos, ale... każdy z nas, jeśli nie chce bezmyślnie strawić swego życia, zadać musi sobie to — stare jak człowiek — pytanie — jak żyć? Co się liczy, a co jest tylko pozłotką, popiołem?... Niewielu ludzi może powiedzieć, że wie, że znalazło tę własną drogę, szukają jej po omacku, ja znalazłem...

Józef-„Kuba"-Grzywaczewski, rocznik 1954, urodzony w Płońsku, jedynak w babskim rodzeństwie. Niewysoki, szczupły brunet, nieco nieufny i skryty. O takich kiedyś mówiło się — odmieniec, dziwak. Nie zagarnia do siebie ani mórg, ani banknotów, nie marzy o willi z lusterkami na froncie i „świętą rodziną" nad małżeńskim łożem.

— Rodzice mieli mnie jednego, siostry, dużo starsze, szybko poszły z domu. A mnie chowały jeziorne sitowia, podglądanie przyrody i marzenia o wielkiej wyprawie do królestwa dawno umarłych w ludzkiej pamięci, porośniętych lasem i zasypanych piaskiem. Ale życie zmuszało do realizmu. Tu się nie dało wiecznie uciekać w świat baśni. Dlatego po szkole podstawowej, wspólnie z Rodzicami ustaliłem, że będę się uczył konkretnego, dającego chleb fachu. Do matematyki i fizyki miałem smykałkę, więc trafiłem do technikum elektronicznego w Siedlcach. I to jest mój zawód wyuczony i przez kilka lat wykonywany. Nie powiem — lubiłem tę robotę, znam się na tym, ale przyszedł moment kiedy musiałem dokonać wyboru...

Od wczesnych lat rzeźbiłem. Najpierw niezdarne łódeczki, potem figurki z moich książek. W sąsiedztwie mego domu były dwa zakłady stolarskie. Godzinami przyglądałem ię obróbce drewna, uczyłem się technik konstrukcyjnych w sporządzaniu mebli. A najbardziej urzekała mnie plastyczność drewna, to, jak pięknie poddawało się przemyślanym działaniom człowieka, jak wdzięcznie oddawało jego zamiar. Ojciec — uzdolniony majsterkowicz, przykład dobrych rzemieślników, no i moje własne ręce, wiecznie szukające zajęcia. To wszystko musiało zaowocować pierwszymi, już świadomymi próbami rzeźbienia.

Nie umiałem podzielić się swymi myślami z kolegami. Do piłki, do różnych figli, — owszem, ale to, co narastało mi w środku, było tak trudno przekazać... może wtedy właśnie zrozumiałem, że ludziom, tym wokół, najlepiej opowiem swe myśli, gdy dam im swe rzeźby?...

No i przyszedł ten dzień wyboru. Trzeba się było rozliczyć z sobą samym i odpowiedzieć na pytanie — „być czy mieć?"

A jeśli być, to jak? Nie był to moment łatwy w moim życiu. Zawaliło mi się coś, co było bardzo ważne... Ale wtedy

POMOGŁA POEZJA MAJÓW

W książce byłego prezydenta Meksyku Jose Lopeza Portillo pt. „Dawni Meksykanie", znalazłem wiersz dla siebie. Drogę na życie...

„— Kim jestem? — zapytuje siebie
w duchu człowiek.
— Czy jestem tym, kim jestem?
pyta pośrodku Ziemi".

(Chilam Balam, Księga VIII)

Rzuciłem fach elektronika, choć pewnie więcej bym na tym zarobił. Będę rzeźbiarzem, a raczej snycerzem.

Czytałem wszystko, co tylko było dostępne, a poświęcone kulturze Majów. Zbieram literaturę, albumy, szukam źródeł.

Naturalną rzeczy koleją, sięgnąłem po filozofię i socjologię. By móc oddać sens sztuki, tak odmiennego od naszych tradycji, świata, trzeba go rozumieć. Wejść w istotę ich myśli, pojąć ich filozofię życia, nauczyć się myśleć tak, jak oni.

Cywilizacja Majów miała charakter teokratyczny. Wszystkimi dziedzinami życia rządziła religia. Ona nadawała rytm narodzinom, pracy, modlitwie i śmierci. Była kodeksem prawnym i moralnym, wyznaczała szczeble rozwoju gospodarczego i cywilizacyjnego. Ona wreszcie — była fundamentem artyzmu.

Snycerz

Zafascynowała mnie harmonia świata Majów. Właśnie świata, gdyż wszystko w tej cywilizacji znamionowało harmonię.

W miastach mieszkali wyłącznie kapłani. Miasta-centra kulturalne i gospodarcze, były siedzibami kapłanów-władców.

Tam powstawały wspaniałe budowle czczące bogów, tam rozwijała się nauka i sztuka. Lud, który wierzył, że jego wielki nauczyciel i opiekun, bóg Quetzalcoatl dał im pismo po to, by przekazali swą wiedzę potomnym, który nauczył ich uprawiać glebę, by nie znali głodu. Quetzalcoatl — bóg powietrza i wiatru był wrogiem wojny, głosił pokój i radość twórczej pracy. Jakże więc nie usłuchać tak bardzo człowieczych przykazań? Dlatego państwo Majów osiągnęło bardzo wysoki poziom rozwoju bez wojen i podbojów. Mieli znakomitą astronomię, potrafili wyliczyć długość roku astronomicznego z dokładnością do czwartej liczby po przecinku. Jeszcze dziś budzi podziw ta dokładność. Dzięki temu mogli opracować niezwykle precyzyjny kalendarz. Mieli swe słynne obserwatorium astronomiczne „Caracol" w mieście Chichen Itza. To Majowie wprowadzili pierwsi pojęcie zera matematycznego, potrafili liczyć do 400 milionów. Mieli lekarzy, nauczycieli, szkoły i biblioteki (Domy Kodeksów).

Każdym dniem, każdą godziną ich życia opiekował się inny bóg, lub bogini. Bogini Ixchel strzegła ciężarnych kobiet i patronowała kobiecemu rzemiosłu. Quetzalcoatl — stwórca pierwszego człowieka, dawca szczęścia, opiekun plonów i muzyków.

Wszelkie działanie podporządkowane było naczelnej idei: dobro i rozwój człowieka, miłość życia. Pokochałem ten zdumiewający świat, który zabraniał kłamstwa, brzydził się podbojem i rozlewem krwi. Czyż jest coś bardziej człowieczego, niż pragnienie by świat był piękny i spokojny? By ludzie byli sobie życzliwi? To dziwne królestwo rządziło się prawem, wedle którego za kradzież żywności karany był nie ten, kto się jej dopuścił, lecz ten, kto doprowadził do tego, by ludzie zmuszeni byli kraść chleb, należny wszystkim.

Ile takich praw znajdziemy w historii ludzkości? Ile państw mogło trwać przez stulecia i nie pragnąć zagarnięcia ziemi sąsiadów?

Jakże się różnili Majowie od swych sąsiadów Azteków, dla których wojna, zdobycz na wrogu, chwała wojownika były najwyższymi prawami.

Być może dlatego w państwie Majów nie żołnierz-zdobywca, lecz uczony i artysta cieszył się najwyższym poważaniem.

Właśnie sztuka, piękno otaczające człowieka na co dzień, stanowią sens i fundament cywilizacji Majów. Stworzyli porywającą architekturę — wyraz hołdu dla bogów i dla życia.

Zostawili fenomenalne rzeźby, pełne misternej precyzji, w oddaniu całego bogactwa przeżyć, mistycznych znaczeń, fantazji.

Musiałem, chciałem wedrzeć się w ten zapomniany, piękny świat. Musiałem zrozumieć bogactwo wewnętrznego, skupionego, mądrego piękna. Bo pięknem wyrażali Majowie swą ludzką zadumę nad życiem i śmiercią, nad trudem pracy i jej sensem. To Majowie przekonali mnie, że o sile i bogactwie narodu decyduje siła kultury stworzonej talentem i sercem.

Wszystko inne przeminie, zapadnie się w czas, ale to, co potrafi stworzyć ludzki geniusz, będzie trwało mimo czasu.

Poszedłem więc w ślady tych uczonych i poszukiwaczy, którzy zapragnęli wydrzeć niepamięci i dżungli świetność kultury stworzonej pięknem i radością życia. To oni przywrócili ludzkości nazwy miast Vaxactun — najstarszego centrum tzw. Starego Państwa, czy Palenque. Potem, gdy prymitywna uprawa gleby całkowicie wyjałowiła ziemię i zagroził głód, przenieśli się Majowie, opuszczając stare miasta, do północnej części półwyspu Jukatan, gdzie założyli Nowe Państwo. Tu właśnie rozkwitła ich kultura w miastach Chichen Itza i Mayapan.

Zrozumiałem, że wiedzieć, znać, to nie wszystko. Musiałem przywrócić kulturę Majów do życia. Ja — człowiek, mam prawo uważać, że

JESTEM SPADKOBIERCĄ

ich sztuki. *„...Rzeźbię i moje radości i smutki, dni, które przeszły i przyjdą... Czyżbym miał odejść bez słowa, tak, jak usycha źdźbło trawy? Czy imię się nie zachowa?..."*

Tę pieśń z Huexotzinga traktuję jak nakaz, jak wskazanie w pracy, bo artysta w świecie Majów miał sprawić, by serca ludzi stały się bardziej ludzkie, ich oblicza bardziej mądre. Nauczyłem się od nich techniki rzeźbiarskiej, nauczyłem się, by każdy ruch rylca był celowy i przemyślany.

Chcę, by wspaniałe stele z piramid boga Quetzalcoatla dostępne były nie tylko tym nielicznym, którzy mogą pojechać, odwiedzić ich siedziby. Chcę, by rzeźby bogów, ideogramy ich pisma, ich wierzenia i marzenia towarzyszyły nam, współczesnym.

Chcę mieć na własność choćby fragment, choćby okruch tamtej kultury. Staram się każdą rzeźbę przemyśleć, pojąć jej istotę, nim odtworzę myśl rzeźbiarza sprzed tysiąca lat.

Pierwsze prace — kopie hieroglifów znalazły uznanie w oczach publiczności. Z pomocą przyszedł mi pan Konarzewski, wówczas dyrektor Miejskiego Domu Kultury w Płońsku. Udzielił mi gościny, oddając na pracownię dwa maleńkie pokoiki w MDK. Sam wymodelowałem i wytworzyłem potrzebne narzędzia, dzięki którym mogę zachować wierność techniki rzeźbienia, jaką wypracowali moi mistrzowie.

Nad pierwszą wystawą rzeźb pracowałem blisko pięć lat.

Otwarta została w MDK w Płońsku w 1979 r. Ta pierwsza konfrontacja mojej pracy z szerszą widownią, była podwójnym sprawdzianem. Dla zwiedzających — czy przyjmą, czy zrozumieją tę sztukę, tak inną przecież od wzorów europejskich. Ale wygrałem. Dla tych, którzy pierwszy raz zetknęli się z kulturą Majów, okazała się ta wystawa dużym przeżyciem. Urzekła ich, jak kiedyś mnie, poezja, głębokie człowieczeństwo tej sztuki. Dla mnie był to czas odpowiedzi na pytanie — czy potrafię przekazać innym swą fascynację. Czy potrafię dać ludziom choć ułamek bogactwa, bezcennych wartości i dorobku świata, którego już nie ma.

Pierwszy sukces upewnił mnie, że warto, bo ludziom, jak zawsze w dziejach, potrzebne jest piękno i mądrość.

Potem przyszły inne wystawy: w 1980 r. wystawa i spotkanie autorskie w Towarzystwie Przyjaciół Meksyku w Warszawie; w styczniu 1981 r. wystawa w Kordegardzie w Warszawie, potem w WDK w Ciechanowie, latem 1983 r. w warszawskim Barbakanie.

Chciałbym zaszczepić innym ludziom podziw dla piękna, jakie potrafili stworzyć Majowie, bo samo mówienie o sztuce, to mało. Trzeba, by ludzie chcieli z nią obcować na co dzień.

Żeby w ich domach mogła zagościć bogini Ixchel, by dobry bóg Quetzalcoatl strzegł ich spokoju i pomagał godnie żyć.

Niech mi będzie wolno powiedzieć, jak wiele ja sam nauczyłem się od Majów. To oni pomogli mi znaleźć odpowiedz na wiele pytań. Tych o sens istnienia, tych łagodzących ból istnienia, tych — dzięki którym wiem, jak żyć w zgodzie z sumieniem.

To oni nauczyli mnie zdążać do piękna, walczyć z brzydotą ludzkich występków. Dzięki nim odzyskałem to cudowne pogodzenie się z sobą samym i z całym światem. Jestem nie tylko spadkobiercą, ale

...I DŁUŻNIKIEM

Pomyślałem, że przecież Majowie mogą żyć wśród nas. Mogą trwać w rzeźbach wieszanych i stawianych w prywatnych domach, mogą być obecni w sprzętach codziennego użytku. Postanowiłem w nasze — współczesne formy użytkowe, wtopić tamtą kulturę. Zrobiłem kilka kompletów mebli: stół, cztery krzesła, skrzynię i półki wiszące, będące alegorią indiańskich piramid. Meble znalazły uznanie i wielu nabywców, co może świadczyć o potrzebie uczynienia zwykłych, codziennych przedmiotów, pięknymi. To już nie jest taśmowa tandeta, tylko coś, co nadaje indywidualny charakter wnętrzom.

Jeśli wszystko to robię, to po to, by odrodzić świat umarły. Po to, by Majowie wdarli się w naszą pyszałkowatą europejskość, by choć w okruchu wynagrodzić im niepamięć, na jaką skazała ich ślepa i głupia Europa. Ja wiem, że to niewiele, że to prawie nic, ale jak inaczej mogę spłacić dług zaciągnięty dzięki nim? Mogę tylko zrobić wszystko, najlepiej jak potrafię, by dorobek, wielkość cywilizacji, jaką stworzyli Majowie, były obecne wśród nas. Bo czymże będziemy my — ludzie, czym będzie nasz wspaniały, dławiący się techniką świat, jeśli zapomnimy? Jeśli zgubimy, zostawimy za plecami to wszystko, co stworzyli ci — przed nami?

Jest w wierszu-módlitwie, poświęconym bogini Ixchel, taki fragment:

„A ja powiadam,
że tylko na krótki czas
przybyliśmy na Ziemię,
by tu się poznać..."

To jest wiersz dla nas. Bo to my — Europejczycy, jesteśmy dziedzicami cywilizacji chciwców, zdobywców i morderców.

To my zabiliśmy, zasypaliśmy prochem tyle światów przed nami. To my — dzikusy, paliliśmy ludzi bo myśleli inaczej, poważyliśmy się nazwać barbarzyńcami twórców wielkich kultur tylko dlatego, że nie pasowały do naszej ubożuchnej cywilizacji pludrów i gorsetów. To my odmówiliśmy prawa do życia ludom, dzięki którym jesteśmy.

Dlatego wszystko, co robię, czynię w podzięce i pokorze wobec Majów, którzy nauczyli mnie być człowiekiem. Zginęli, bo nie umieli kłamać. Umarli, bo wierni swej filozofii, otwarli wrota państwa przed prostakiem Cortezem.

Nie żałuję dokonanego w życiu wyboru. Bliższa jest mi mądrość Majów, niż elektronika. Może to ucieczka od szarej grozy współczesności? Ale wierzę, że ludzie muszą — by nie stracić swego człowieczeństwa — istnieć dla piękna, dla sztuki i miłości.

Jest taka legenda Majów, która mówi, że kiedyś powróci ten, który odszedł, a nauczył ich bycia ludźmi. I wówczas odrodzi się życie... Ja też wierzę...

„...I już wiem, oni nie odeszli..."

JOLANTA WROŃSKA

Hieroglif

Polemiki • Listy • Opinie

JESZCZE W SPRAWIE RELACJI Z RETKINI

W numerze 51 „Odgłosów", wydanym z datą 17 grudnia 1983 r. ukazała się publikacja p.t. „Retkinia, 7 grudnia 1983, godz. 13.30". Autorzy jej podają m.in., że jedna z ofiar tragedii retkińskiej, Pani Stanisława Dziórdzińska zmarła w Szpitalu im Madurowicza na skutek przeżytego szoku, bowiem była bezpośrednim świadkiem wybuchu. Co więcej autorzy stwierdzają, że nie była ona ofiarą wydobytą z gruzów zawalonego bloku.

Mam podstawy sądzić, że powyżej podany fakt mija się z prawdą.

O ile mi wiadomo, Pani Stanisława Dziórdzińska nie przebywała w Szpitalu im. Madurowicza, natomiast została rozpoznana jako jedna z trzech kobiet, które zginęły w gruzach bloku (dwie pozostałe kobiety to Pani Helena Gerstmann i Pani Janina Kamińska).

W Szpitalu im. Madurowicza, na kierowanym przeze mnie oddziale, przebywała wskutek doznanego szoku córka Pani Stanisławy, Pani Maria Dziórdzińska, która po kilkudniowym pobycie mogła już opuścić szpital w stanie poprawy zdrowia.

Wskutek podanej w Pańskim tygodniku informacji, Pani Maria Dziórdzińska (nb. pracownik służby zdrowia) i jej najbliżsi mogliby posądzić personel Szpitala im Madurowicza o ukrycie przed nimi faktu pobytu i zgonu matki w naszym szpitalu. Po prostu mogliby oni takie postępowanie uznać za nieludzkie.

Wydaje mi się, Panie Redaktorze, że w obliczu tak wielkiej tragedii poszkodowanych osób i śmierci ich najbliższych należałoby w prasie podawać fakty wszechstronnie sprawdzone i uwiarygodnione. Również sądzę, że byłoby bardzo wskazane, aby autorzy dokładnie podali źródła zaczerpniętych wiadomości o popowyższym fakcie, bowiem trudno mi uwierzyć, aby źródłem tej informacji byli odpowiedzialni pracownicy Szpitala im. Madurowicza.

Łódź, 16.XII.1983 r.

Z wyrazami szacunku
ordynator
dr med. RYSZARD KUŹMICKI

Od redakcji

Prostowaliśmy już tę przykrą pomyłkę. Jeszcze raz serdecznie przepraszamy wszystkich zainteresowanych i czytelników.

PANOM KOWALSKIEMU I GŁÓWCE O CHRYSTIANIZMIE — NIE KATOLICYZMIE

W jednym z ostatnich numerów „Odgłosów" były repliki na temat artykułu E. Lewandowskiego. Pisze Pan, że były różne listy i telefony. Przytoczył Pan oba w jednym tonie tzn. skierowane przeciw temu, co Pan napisał. Czyżby innych nie było? To jest niemożliwe. Niech Pan będzie łaskaw pokazać, że są ludzie o takich poglądach jak ja, więc bardzo proszę o wydrukowanie mojego listu — jeśli redakcja wydrukowała tamte. Może nie będzie tak elokwentny jak tamte, ale bardzo z życia. Pan Lewandowski pisał o katol[illegible]e w Polsce na przekroju wieków. Ja nie mam wglądu do takich dzieł i dokumentów. Jedno mamy wspólne — tęsknimy do takiej wiary, bogatej w dobre owoce. Wszystkim byłoby lepiej — z tym, że ja mam wytłumaczenie dlaczego tak jest.

— Zanim Panowie K. i G. (będę się posługiwać inicjałami) usiedli do pisania i „nawracania" Pana Redaktora na katolicyzm, powinni wziąć do ręki Biblię (podobno do niej zajrzeli) i czytając — nie katechizm ani inne rzeczy tworzone przez Kościół katolicki — i czytając, kartka po kartce, doszukiwać się zgodności i różnic między naukami Jezusa a Kościoła katolickiego. Uważam, że P. Redaktor napisał swój artykuł zbyt ogólnie. Jeśli wsadził kij w mrowisko, to mógł zrobić dokładniej i dosadniej. Ale Panu Redaktorowi prawdopodobnie nie chodziło o prawdy religijne. Jeśli pozwoli, ja to uczynię, bo to jest sedno.

Kościół katolicki ma bardzo mało wspólnego z pierwotnym chrystianizmem, powstał znacznie później. Na jego czele stali ludzie żądni władzy, dlatego każdy, kto się sprzeciwił, był i jest niepożądany i do tej pory Kościół nie może znieść faktu, że został odłączony od Państwa. A przecież tak powinno być, bo inaczej Kościół katolicki wytępiłby wszystkich, którzy nie uznawaliby Chrystus też powiedział:, *„co cesarskiego — cesarzowi, a co boskiego — Bogu"*, *„Nie jesteście cząstką tego świata"*, itp. W tym wypadku „niewierzący" rząd ma rację. A przez tyle wieków Kościół rościł sobie pretensje do mianowania i odrzucania władców, rzucania klątw itd. Czy Panowie K. i G. wytłumaczą na podstawie nauk Chrystusa, jakim prawem? Jakim prawem pozbawiał życia ludzi w „świętych" — o ironio — wojnach i innych wyprawach, aż do wywołania przez katolików I i II wojny światowej. Kto bił i mordował miliony ludzi — katolik Hitler. Kto błogosławił armaty Mussoliniego. Jego ksiądz-kapelani modlili się o zwycięstwo — po drugiej stronie też. Trzeba być katolikiem, żeby tego nie zrozumieć, że Bóg nie mógł być po żadnej stronie, bo powiedział: *„Nie zabijaj"*, Chrystus powiedział, że *„Kto gniewa się na brata swego to już jest mordercą"*. Powiedział, że Jego uczniów poznają po uczynkach i wielkiej miłości wzajemnej, która wyklucza poczynania katolików. Nie piszę już o niechlubnej historii zakonu NMP — Krzyżaków. Czy Panowie K. i G. są ślepi, że nie widzą, co się dzieje w katolicyzmie? Mordercy, zabójcy, cudzołożnicy, złodzieje itp., to ludzie, którzy chodzą do kościoła. (A swoją drogą, Kościół to nie budynek, a ludzie — jak nauczał Chrystus).

„Kto nie pracuje, niech też nie je" — następne słowa Jezusa. Sam był cieślą, jak wszyscy wiedzą. Apostołowie pracowali na siebie, byli przykładnymi ojcami i mężami. Jezus ani apostołowie nie wprowadzili celibatu, aby pod jego przykrywką uprawiać nierząd. Nieważne, co mówiły lub pisały kolejne głowy Kościoła. „Wiara bez uczynków jest martwa jak trup". Głową chrystianizmu, jak nazwa wskazuje, jest sam Chrystus, bo on żyje — chyba, że wierzący katolicy. Panowie K. i G. w to nie wierzą. „Nie nazywajcie nikogo Ojcem naszym na ziemi, bo jeden jest Ojciec wasz w niebie". Jak widać, słowa te nie dotyczą katolików, bo mają już tylu „ojców", i to świętych. Chrystus nie potrzebuje zastępcy, bo jest Sam.

Gromadzenie skarbów lub życie w ubóstwie. Nigdy Bóg tego nie wymagał aby jego uczniowie byli dosłownie ubodzy. Swoim ubóstwem nikt nie zyska uznania bożego, tak samo bogactwem. Ubóstwo to nie ofiara, dla Boga, tylko dla przywódców katolickich, którzy wyciągając ręce, obdzierali i łupili swych wiernych, „a to pod pokrywką długich modlitw, dlatego cięższy sąd odniosą" powiedział Jezus. Kościół popiera ubóstwo — o ironio — czyżby to, które jest nagromadzone w miejscach kultu — Częstochowa, Watykan i inne. Bóg tego nie potrzebuje, bo Jego jest cały świat i wszechświat. A gdzie miłosierdzie dla biednych ludzi i umierających z głodu dzieci na całym świecie? „Miłujcie nieprzyjaciół swoich", „Kto na ciebie kamieniem ty na niego chlebem", „Miłujcie się wzajemnie". To nie są puste słowa, tylko ich realizacji nie ma w Kościele katolickim i niech Pan Lewandowski się nie łudzi, że w tej religii znajdzie to, za czym tęskni w końcu swego artykułu. Wracając do bogactwa — „Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do Królestwa". Kto jest tym bogaczem? Otwórzcie oczy, Panowie K. i G. „To martwa wiara, jak trup". Nieporozumieniem panów K. i G. jest twierdzenie, że Boga trzeba przyjąć takim, jak nauczа Kościół katolicki, ale trzeba takim, jak jest podane w Piśmie św., bo Bóg się nie zmienia. Przecież same „Kościoły chrześcijańskie" nie są zgodne ze sobą, różnią się w niebłahy sposób, więc może Kościół katolicki jest w błędzie? A może z jego przyczyn są ludzie zagubieni i niewierzący? Mam ogromny szacunek dla każdego, kto w imię szukania dobra ma odwagę wypowiadać się, chociażby jak Pan Redaktor. Wielką odwagę musiał mieć Luter czy inni, którzy chcieli prostować chrystianizm, wypaczony przez przywódców katolickich, którzy żerowali na niewiedzy ludzkiej, świadomie utrzymywali w ciemnocie, ci „światli" przywódcy palili na stosach — a przecież mieli nauczać i to darmo — „darmo wzięliście — darmo dawajcie".

Co do „uczonych" w piśmie i faryzeuszy, obłudników", to trzeba nie mieć zielonego pojęcia, aby ten cytat stosować do red. Lewandowskiego. Toż to Jezus powiedział o przywódcach religijnych, do których należy kler katolicki — „usiedli na mównicy Mojżeszowej", mają się za uczonych w „prawie, piśmie Bożym". Trzeba czytać konteksty, Panie K. i G... To oni zamykają Królestwo Boże przed ludźmi, wprowadzając błędne nauki i zajmując się tym, czym nie powinni.

Jeśli chodzi o błędy popełniane przez nasz rząd, owszem mamy je (każdy popełnia błędy), nie ma idealnego rządu, ale r z ą d n i e m i e s z a w t o B o g a. Faktem jest, że katolicyzm przez całe wieki — bo komunizmu wtedy nie było — doprowadził do znieczulicy, degradacji człowieczeństwa. Śmiem przypuszczać, że może byłoby lepiej, gdyby tych nieszczęsnych pogan zostawiono w spokoju. To katolicy — ci wierzący katolicy się zbroją, to co mają mówić rządy ateistyczne. Długo by jeszcze pisać, długo.

Nie wiemy, ani ja, ani Panowie K. i G., jaki jest osobisty stosunek Pana Lewandowskiego do Boga, czy jest wierzący, czy nie. Nie nasza to sprawa. Ale każdy człowiek z odrobiną samokrytycyzmu powinien mu przyznać rację. Fakt, że Panowie K. i G. chcą przemilczeć niewybaczalne błędy Kościoła katolickiego. To one niech znikną z kart historii. Normalną sprawą jest, że każdy chce być chwalony. Ale trzeba sobie na to zasłużyć. Nie można mieć dwóch osobowości, jedną dla Boga — w Kościele — katolik, a po wyjściu z niego jest kim? Oby stał się chrześcijaninem, nie katolikiem.

Rozumiem Pana Lewandowskiego, że marzy mu się społeczność opisana w Ewangelii. Mahatma Gandhi już dawno powiedział, że *„gdyby wszyscy — szczególnie władcy — stosowali się do nauk Jezusa Ch. ystusa zawartych w „Kazaniu na Górze", to świat uniknąłby problemów przed jakimi stoi dziś"*. Więc, brawo, Panie Redaktorze Lewandowski, że Pan to również zauważył. Szkoda, że nie widzą tego Panowie K. i G. Chociaż Pan Redaktor patrzył na tę sprawę z innego punktu widzenia niż ja, to jedno uzupełnia drugie. Może chciałby Pan zakończyć już tę dyskusję? Niech więc mój list to zrobi. A jeśli to nie koniec, to bardzo się cieszę.

Bardzo Pana proszę o wydrukowanie tego listu, będzie to wymagało jednak odwagi. Niech ludzie pokroju Panów K. i G. nie czują się wyrocznią w sprawach wiary i światopoglądu innych. Raczej niech pogłębią swoją wiarę czytając Pismo św. Wtedy zobaczą swe błędne rozumowanie. Fakty są faktami, trzeba wyciągnąć wnioski, a nie obrażać się, bo ani Pan Lewandowski (przypuszczam), ani ja nie mamy na celu zwalczać katolicyzmu. Ja uważam, że sam upadnie, bo *„Bóg nie pozwoli się naśmiewać z siebie"*, a katolicyzm to parodia chrystianizmu.

Czekam na ten list w „Odgłosach".

Z szacunkiem dla Pana Lewandowskiego i całej Redakcji.

ELŻBIETA MOŻDŻEK VEL NOWAK

MOŻNA DZWONIĆ DO „ITD"

W każdy poniedziałek w godzinach 16—18 w Radzie Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich, ul. Piotrkowska 77, pełni telefoniczny dyżur korespondent „ITD" w Łodzi.

Każdy student dostrzegający w swoim środowisku problem wymagający natychmiastowej interwencji dziennikarskiej, bądź poruszenia go na łamach studenckiego tygodnika może dzwonić pod numer 32-12-99.

A jednak potrzebne

Prof. J. Stanisław Knypl w artykule „O dyplomach demagogia dyplomowana" („Odgłosy", nr 48/1983) wypowiedział się arbitralnie przeciwko studiom zaocznym. Szereg słusznych uwag oderwał on jednakże od aktualnego stanu przygotowania nauczycieli do zawodu i pominął całkowicie zagadnienie dokształcania i doskonalenia pedagogów.

To prawda, że studia zaoczne zostały u nas rozbudowane nadmiernie bez dostatecznego zaplecza kadrowego i materialnego. Niemal każda prowincjonalna szkółka wyższa uruchamia studia zaoczne i szafuje hojnie dyplomami magisterskimi. Nie oznacza to jednak, że tego typu kształcenie należy w ogóle zlikwidować.

Kadra naukowa Politechniki Łódzkiej niejednokrotnie wypowiadała się za ograniczeniem ilości szkół kształcących inżynierów i za wprowadzeniem innowacji w systemie studiów zaocznych.

Gospodarka narodowa aktualnie ma wystarczającą kadrę inżynierską i nie istnieje potrzeba zwiększania jej poprzez system studiów zaocznych. Natomiast wśród praktykujących pedagogów mamy poważny odsetek nauczycieli bez studiów wyższych lub z nieukończonymi studiami.

Przed tymi ludźmi nie należy zamykać drogi dalszego kształcenia się i podnoszenia kwalifikacji zawodowych, zwłaszcza, że mamy do czynienia w przeważnej mierze z trzydziestolatkami lub nawet młodszymi wiekiem nauczycielami (przeważnie nauczycielkami).

Zagadnienie więc sprowadza się nie do pytania: czy kształcić, ale jak kształcić, żeby otrzymać zadowalające wyniki.

Studia zaoczne dla nauczycieli prowadzą Uniwersytety i Wyższe Szkoły Pedagogiczne. Te ostatnie posiadają kadrę legitymującą się długoletnim stażem pracy pedagogicznej z mikroskopijnymi osiągnięciami naukowo-badawczymi, prezentowanymi przeważnie w wydawnictwach własnych (każda szkoła wyższa ma własne wydawnictwa, tzw. „Zeszyty Naukowe").

Obok występuje młoda kadra WSP, która zdobywała doktoraty przedmiotu wykładanego często na innej uczelni (nie wszystkie szkoły pedagogiczne mają prawo doktoryzowania), lub w Instytutach Resortowych.

Z praktyki przewodów doktorskich WSP na Uniwersytecie Łódzkim mam wspomnienia minorowe, a powiązania personalne i tzw. „układy" niestety odgrywają w przewodach na obcych uczelniach znaczną rolę.

Na studiach zaocznych autorytet naukowy wykładowcy posiada ogromny ciężar gatunkowy. Są to studia oparte w dużej mierze na samokształceniu kierowanym. Wymagają ze strony studenta nie tylko poświęcenia czasu, wyrzeczeń osobistych i siły charakteru, ale także ze strony kształcących: zainteresowania się osobą kształconego, specjalnej atmosfery pracy, kiedy to katedra znajdzie się w jednym szeregu z ławkami.

Te ostatnie wymagania może wypełnić jedynie wykładowca o bardzo wysokich kwalifikacjach, równocześnie pedagog i badacz w danej dyscyplinie.

Zagadnieniem, które wymaga obecnie szerokiej dyskusji jest wytypowanie uczelni, które posiadają warunki do prowadzenie studiów zaocznych i zapewnią ich wysoki poziom. Chodzi bowiem nie o wpisanie do rejestrów maksymalnej liczby magistrów, ale o uzbrojenie już pracujących nauczycieli w wiedzę, która pomoże im w lepszym wykonywaniu zawodu pedagoga.

Kształcenie zaoczne nie może stanowić streszczenia programu kursu stacjonarnego. Są to studia innego rodzaju, które chociaż przekazują mniejszy zasób wiadomości, równocześnie w większej mierze przygotowują do samodzielnego zdobywania wiedzy i szybciej rozwijają samodzielność myślenia.

Dlatego zajęcia w czasie kolejnych sesji winny składać się z dwu części: sprawdzenia przyswojonego materiału i udzielenia wskazówek i komentarza metodycznego do materiału, który ma być opanowany samodzielnie przez słuchacza na następną sesję.

Uczestnicy studiów zaocznych zamieszkują przeważnie w małych ośrodkach miejskich lub na wsi, gdzie nie ma bibliotek naukowych. Zetknięcie się z książką naukową dla większości jest kwestią sesji lub kupienia danego dzieła (jeśli jest w księgarni).

Specyfika studiów zaocznych dyktuje opracowanie odrębnych podręczników i pomocy naukowych. Np. dla studiujących historię winien to być podręcznik przedmiotowy dla danego roku zawierający równoległy wykład historii ojczystej i powszechnej, nadto obszerne wypisy źródłowe z komentarzem oraz wskazówki metodyczne dla uczących się.

Sesje w uczelni należy skrupulatnie wykorzystywać dla instruowania w sprawie samodzielnego przyswajania materiału, a także sprawdzania w jakim stopniu materiał ubiegłej sesji został przez słuchaczy utrwalony w pamięci. Formą zajęć winny być nie wykłady i ćwiczenia, ale konwersatorium, instruktaż i seminarium.

Grzechem obecnych studiów zaocznych dla nauczycieli jest zbyt daleko posunięta tolerancyjność ze strony wykładowców, przy równoczesnym wymigiwaniu się części uczestników nie tyle od udziału w zajęciach, ile od prezentowania przyswojonego materiału. Nie jest prawdą, że prace magisterskie „zaoczniaków" są ogólnie słabe. Mogę podać szereg prac, które uzyskały nagrody na ogólnokrajowych i lokalnych konkursach. Obok prac bardzo dobrych i dobrych są słabe, a także żenująco słabe. To nie oznacza potrzeby likwidowania studiów, ale konieczność większego zainteresowania ze strony dziekanatu zarówno tokiem zajęć jak i poziomem wymagań.

Wydaje mi się, że odnośnie do studiów zaocznych dla nauczycieli konieczna jest reforma tychże, zmierzająca do podniesienia poziomu i zwiększenia efektywności nie poprzez ilość wydawanych dyplomów, lecz „ilość" wiedzy przyswojonej przez absolwentów.

Dlatego konieczne jest nie spychanie zajęć na studiach zaocznych na adiunktów i asystentów, lecz przeciwnie, obsadzanie poszczególnych przedmiotów najbardziej doświadczonymi i sprawdzonymi samodzielnymi pracownikami nauki, posiadającymi możliwie dorobek publikacyjny, który można prezentować słuchaczom.

Jak już zaznaczyłem, nie musi każda szkoła wyższa prowadzić studiów zaocznych. Wedle stawu grobla, a liczba niehabilitowanych docentów stanowi raczej świadectwo „chodów" i „układów", a nie osiągnięć naukowych.

Obok utrzymania studiów zaocznych konieczne jest utrzymanie i rozbudowanie studiów podyplomowych. Jest to problem stałego podnoszenia kwalifikacji nauczycielskich, umożliwienie nauczycielom kontaktu z osiągnięciami nauki w zakresie danej dyscypliny, natomiast dyskusyjne jest, czy tego typu studia powinny trwać cały rok, bądź nawet dwa lata, czy ograniczyć je do studiów w okresie wakacyjnym (2-4 tygodnie) z tym, że byłyby prowadzone przez pracowników uniwersytetów, a nie przypadkową kadrę różnych instytucji oświatowych.

Prof. Knypl poruszył we wspomnianym na początku artykule kapitalne dla naszej oświaty zagadnienie szerokiej dyskusji nad jej stanem i stałym doskonaleniem. Przedstawiając kilka luźnych myśli odnośnie studiów zaocznych i podyplomowych równocześnie zachęcam nauczycieli, którzy takie studia kończyli, lub mają zamiar je podjąć, by zechcieli wypowiedzieć się na łamach „Odgłosów" dla użytku swych koleżanek i kolegów i dla pożytku naszej oświaty.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

O popieraniu rasizmu i prokreacji na kartki

Dokończenie ze strony 1

Nie mieliśmy jednak 300 dolarów. Może więc inny, nieco tańszy terier? Tutaj jednak należałoby najpierw odpowiedzieć na pytanie: co to znaczy tani pies. Za najniższą pensję, wynoszącą obecnie 5.400 zł żadnego rasowego psa nie kupi się z pewnością. Najniższa cena szczeniaka z rodowodem zbliża się raczej do średniego wynagrodzenia. Dla przykładu — modne obecnie w Łodzi jamniki kosztują około 10 tys. zł, podobnie boksery. Foksteriery, które po kilkunastu latach przerwy znowu zyskują popularność, można kupić za około 15 tys. Wymienione przykłady dotyczą ras dosyć popularnych, a więc najtańszych! W przypadku psów rzadziej spotykanych w Polsce kwoty zwiększają się wielokrotnie, np. bardzo dekoracyjny, przypominający niebieską owieczkę Bedlington terrier kosztuje od 20 do 30 i więcej tysięcy złotych. Bullterier — 70 tys., Brodacz mnachijski duży — ponad 40 tys., Chow-chow — 50 tys., Bloodhound (Pies św. Huberta) — około 100 tys. Oczywiście obowiązują ceny umowne kupujący jednak nie może liczyć na to, że uda mu się wiele „utargować". Mimo bowiem cen, które z pewnością niektórym ludziom mogą wydać się szokujące, popyt na rasowe szczenięta jest duży i ciągle rośnie. Na poparcie posłuże się historią znajomej, która postanowiła kupić — z ogłoszenia w prasie — monachijskiego brodacza. Gdy zjawiła się pod podanym adresem, oczekiwało już kilku chętnych. Cztery szczeniaki miały być przywiezione wieczorem z innego miasta. Około godziny 22 zrezygnowała z czekania. Gdy zgłosiła się następnego dnia rano — wszystkie psy były już sprzedane. Pozostali chętni czekali niemal całą noc.

Oczywiście, można kupić psa bez rodowodu, ale i w tym przypadku trzeba liczyć się z poważnym wydatkiem. Bardzo często w przejściu podziemnym na skrzyżowaniu alei Mickiewicza i Piotrkowskiej kupić można od ręki ślicznego szczeniaka, z którego wyrośnie... niespodzianka. W ostatnich dniach widziałam tam prawie-maltańczyki (matka rasowa, ojciec nieznany) za 8 tys. zł, prawiepudla miniature za 14 tys. zł i kilka innych stworzeń, których ceny wahały się od 5 do 15 tys. zł. Raz tylko trafił się mocno nietrzeźwy i obszarpany dziadek, który za bezzębnego jeszcze szczeniaka, zachwalanego jako „bardzo zły" żądał zaledwie... 700 zł.

Jak widać — hodowla psów może w niektórych przypadkach przynosić całkiem niemały dochód, zwłaszcza, że hodowcy mają zwykle więcej niż jedną suke, a tym samym od kilku do kilkunastu szczeniaków rocznie.

Nie poszliśmy jednak do Związku Kynologicznego szukać dodatkowego źródła dochodów, lecz po prostu następnej „kuli u nogi". Udało się w pełni. Gigantyczny żółty szczeniak, który — jak zapewnialiśmy siebie i innych — miał być wychowywany w karności i posłuszeństwie — po kilku dniach został mianowany Prezesem Naczego Klubu i obecnie demoluje mieszkanie, szczeka po nocach, budząc sąsiadów, zmusza do spędzania czasu w kuchni, nad garnuszkiem (codziennie zupa jarzynowa, tarte warzywa i owoce, niesłychane ilości kaszy), powoli przestaje się mieścić na tylnym siedzeniu samochodu, a ponadto — wymaga bardzo dużo ruchu, co najmniej parę godzin dziennie zabaw na powietrzu, bez względu na pogodę. Jest jednym słowem psem, jakiego nie powinien mieć żaden pracujący mieszkaniec bloków, co oczywiście nie znaczy, że w blokach można hodować jedynie kanarka.

DO M-10 I KAWALERKI

O psich modach i o tym, jakie psy dla kogo się nadają, mówi prezes Łódzkiego Oddziału Związku Kynologicznego, Marek Lewandowski — z zawodu nauczyciel, z zamiłowania hodowca bokserów:

„Oczywiście wszystkie psy są miłe i mogą sprawić wiele radości właścicielowi, ale, decydując się na psa warto nie tylko patrzeć na jego urodę, ale także dopasować do warunków, jakie możemy mu zapewnić. Tymczasem wielu ludzi nie zwraca na to uwagi, albo też kieruje się po prostu modą. I tak np. co kilkanaście lat wraca moda na foksteriery — psy bardzo żywe, wesołe, ale też i ostre, hałaśliwe. Stąd częste konflikty z sąsiadami, z właścicielami innych psów. Pod koniec lat siedemdziesiątych bardzo modne zrobiły się charty afgańskie — psy rzeczywiście piękne, ale wymagające troskliwej pielęgnacji szaty i bardzo dużo ruchu. Kto w blokach, w mieście, może zapewnić psu codzienny, kilkukilometrowy bieg? Nawet nie myśliwi, bo w Polsce nie wolno polować z chartami. Dość popularne są również w Łodzi dobermany, zgrabne, eleganckie, dość duże psy, które mają jednak trudny charakter. Hodować je powinny osoby spokojne, stanowcze. Inaczej pies stanie się niezrównoważony, może być niebezpieczny. Do miejskich mieszkań polecałbym z małych psów — jamniki, pojętne, przyjaźnie ustosunkowane do ludzi, niekłopotliwe w pielęgnacji, z większych — boksery, które, mimo groźnego wyglądu, są dobroduszne, mało hałaśliwe, czyste i do późnej starości wesołe. Dobrze zresztą, aby osoba, która po raz pierwszy pragnie kupić psa, przyszła do związku. Pomożemy wybrać odpowiednią rasę, podamy adres dobrych, sprawdzonych hodowli...".

Niestety, gdy rozmawiałam z prezesem Lewandowskim, dla nas na radę było za późno. Pies był w domu. Cierpliwie znosimy wszystkie związane z tym faktem utrapienia, oczekując w zamian tylko jednego: ma być ładny, bowiem postanowiliśmy założyć hodowlę. Rodzinie i znajomym, którzy na nasz widok stukają wymownie w czoło, tłumaczymy, że po prostu chcemy, aby inwestycja się zwróciła, ale to oczywiście nieprawda. Jedynym prawdziwym celem jest posiadanie — choćby przez krótki czas — sześciu ogromnych, żółtych szczeniaków, a tym samym sześciokrotnie większej przyjemności i... utrapienia. Nie od razu jednak można zostać hodowcą, przedtem trzeba jeszcze zainwestować sporo czasu, cierpliwości, a i pieniędzy.

TRUD I KOSZTY WYCHOWANIA

A więc, podobnie, jak z dziećmi, odpowiednia dieta (mięso też, już od najmłodszego wieku), zapewnić mu odpowiednią ilość ruchu, zaszczepić przeciwko groźnym dla życia chorobom. Pół biedy z wścieklizną — szczepienie, po opłaceniu podatku, jest za darmo, lub też, jeśli ktoś podatku nie płaci (karalne!) — kosztuje kilkadziesiąt złotych. Niewiele droższa jest szczepionka przeciw nosówce. Ale już np. bardzo jest rozpowszechniony w Łodzi paratyfus. Polska szczepionka nie istnieje, zagraniczną można kupić jedynie za dolary. Bynajmniej nie na czarnym rynku. W legalnie i oficjalnie działającym sklepie w Warszawie. Niekiedy także od zaprzyjaźnionego lekarza weterynarii, nie taniej jednak, niż za około 3 tys. zł.

Trzeba także zaopatrzyć się w witaminy. Specjalnie produkowany dla psów i kotów „Polfamix M" jest obecnie nieosiągalny. Od czego jednak znajomy lekarz? Przepisze „Portagen" (witaminowa mieszanka, którą karmiono amerykańskich kosmonautów, niedostępna na recepty weterynaryjne), albo też uda się kupić „spod lady" w lecznicy, bądź od osoby mającej zagraniczne kontakty witaminy dla psów, produkcji znanych farmaceutycznych firm zachodnich. Cena od 10 do 20 zł za 1 tabletkę, mniej niż 100 sztuk kupić po prostu nie wypada.

W przypadku niektórych ras płacimy jeszcze za obcięcie uszu (tanio — nieco ponad 1000 zł w Łodzi, ponad 2 tysiące u „modnego" specjalisty w Warszawie), za strzyżenie (droższe, niż damska trwała ondulacja) i... czekamy aż pies dorośnie. Wtedy musimy jechać z nim na wystawę. Aby suka uzyskała papiery, uprawniające ją do zostania matką, musi na jednej wystawie uzyskać ocenę bardzo dobrą. Od ojca szczeniaków wymaga się więcej — oceny doskonałej z dwóch wystaw. Potem jeszcze tylko przegląd hodowlany. Przed komisją hodowlaną, złożoną z sędziów kynologicznych, asystentów, kierowników sekcji staje pies wraz z właścicielem. Jeśli i tu uzyska ocenę pozytywną — można pomyśleć o potomstwie, to znaczy pomyśleć musi właściciel, bowiem indywidualne upodobania suki czy psa nie są w tych przypadkach brane pod uwagę. O tym, kto będzie ojcem szczeniaków, decyduje hodowca do spółki z fachowcami — kynologami. Gdy decyzja już zapadnie, związek wydaje dokument, stanowiący swego rodzaju odpowiednik aktu ślubu, mianowicie kartę kopulacyjną. Podczas, gdy psy zajmują się sobą, zdenerwowani właściciele wypełniają odpowiednie rubryki.

Dlaczego właściciele są na ogół w takich przypadkach zdenerwowani? Bywa bowiem, iż rzecz cała przebiega z kłopotami. Tak np. pewna pani, właścicielka dość znanej w kręgach kynologicznych hodowli psów, sprowadziła z zagranicy psa-reproduktora, obwieszonego dużą ilością najcenniejszych medali, płacąc za niego trzema również dobrymi psami innej rasy z własnej hodowli. Pies jest wspaniały, ale ma jedną, dość zasadniczą wadę: złe maniery, nabyte na licznych wystawach, w czasie których uwierzył, że jest bardzo piękny. Otóż interesują go wyłącznie... fotoreporterzy, którym z wdziękiem pozuje do zdjęć. Na zajęcie się suczkami szkoda mu czasu i energii.

Na spore kłopoty napotykają też właściciele jamników. Jamniki-psy są w psim świecie odpowiednikiem Don Juana: uwodzić będą wszystkie suczki, od przedstawicielek własnej rasy aż po znacznie większe od siebie dogi, ale ich możliwości są do chęci niewspółmierne. Gdy więc przychodzi „co do czego" — jamnikom trzeba pomóc. Na ogół nie robi tego sam właściciel, który nieumiejętnym postępowaniem mógłby zrobić psu krzywdę, lecz specjalnie zaproszony na taką okazję do domu fachowiec, który z parą piesków zamyka się w oddzielnym pokoju. Jak on to robi — usiłuje dowiedzieć się jeden z moich znajomych, właściciel jamniczki. Rzecz okryta jest tajemnicą, ale jednak jamniki przychodzą na świat, i to w dużych ilościach.

Od spełnienia wyżej wymienionych wymogów, związanych z prokreacją, niektórzy się jednak uchylają. Takimi wyjątkami bywają przedstawiciele pięknej, polskiej rasy owczarków podhalańskich. W czasie wypasu owiec chętnie nawiązują kontakty z podobnymi do nich, czeskimi owczarkami. W efekcie — dzieci z takich związków nie otrzymują rodowodu, lecz wpisywane są do tzw. księgi wstępnej.

Kiedy jednak wszystkie sprawy formalne są już załatwione i przychodzą na świat szczenięta — niektórych hodowców czeka jeszcze dość przykry moment. Otóż, zgodnie z przepisami hodowlanymi, suka może wychowywać nie więcej niż 6 dzieci (w nielicznych, uzasadnionych przypadkach możliwe jest uzyskanie zgody na więcej), tymczasem psom dużych ras i psom myśliwskim zdarzają się i dziesięcioraczki. Nadliczbowe szczeniaki trzeba uśpić, w przeciwnym wypadku nie dostaną metryk uprawniających do otrzymania rodowodu.

Gdy i tę niemiłą sprawę załatwimy, gdy członkowie komisji hodowlanej co najmniej trzykrotnie sprawdzą, w jakich warunkach żyją i jak rozwijają się szczeniaki, gdy wreszcie po sześciu tygodniach otrzymamy ze Związku Kynologicznego metryki — pozostaje jeszcze wymyślić 6 imion, rozpoczynających się na tę samą literę, dać ogłoszenie i... inkasować pieniądze. Z roku na rok większe, ponieważ psy, tak jak wszystkie dobra, drożeją.

LUDZIE I PSY

Hodowcy rasowych psów, członkowie Związku Kynologicznego — których jest w Łódzkim Oddziale ponad 3 tysiące — rekrutują się z różnych środowisk. Są wśród nich zarówno ludzie z podstawowym, jak i z wyższym wykształceniem, właściciele willi i kawalerki w blokach, samotni i wielodzietni. Łączy ich sympatia dla zwierząt w ogóle, a psów w szczególności (choć zdarza się, że podobnie jak ich pupile, nie lubią kotów). Wielu z nich poświęca sporo czasu nie tylko własnym zwierzętom, ale i na działalność w związku, wykonywaną całkowicie społecznie.

Niekiedy budzi to wśród innych ludzi uśmiechy politowania, bądź wywołuje nieprzychylne stwierdzenia: „chce mieć psa, to niech ma, ale po co to całe wariactwo". Dlatego też chciałabym zakończyć kilkoma już zupełnie serio uwagami. Co prawda lubię wszystkie psy, nie mam nic przeciwko kundelkom, bez względu na ich urodę, jednak w tym przypadku zdecydowanie popieram rasizm. Jakże często zdarza się bowiem, że ktoś kupuje szczeniaka „żeby dzieci miały się czym bawić". Po kilku tygodniach śliczna, puchata kuleczka wyrasta na sporego kundysa, dzieci idą bawić się piłką, a kłopot w domu zostaje. Wypędza się więc psa, który wkrótce ginie śmiercią tragiczną pod samochodem lub też dziczeje, grasując po śmietnikach w poszukiwaniu jedzenia, rzuca się na ludzi, staje się roznosicielem chorób, zanieczyszcza otoczenie. Zjawisko to urasta do rozmiarów plagi. Postępowanie takie nie dotyczy jednak psów rasowych. Nie ma bowiem człowieka, który zdecyduje się „wypędzić" z domu swoje 10 lub więcej tysięcy złotych. Prezes Lewandowski uważa, że zachętą do hodowli psów rasowych byłyby pewne ulgi, przywileje dla członków związku, jak np. obniżenie podatku za psa, ułatwienia w nabyciu karmy, itp. W tym też kierunku podejmują działania zarządy oddziałów Związku Kynologicznego. Nie ograniczy to jednak liczby bezpańskich psów. Moim zdaniem potrzebne są działania bardziej radykalne — choćby konieczność uzyskania zezwolenia na posiadanie psa i surowe kary dla tych, którzy zezwolenia nie posiadają (wskazałby ich łatwo każdy dozorca). Za zezwolenie oczywiście płaciłoby się odpowiednio wysoką kwotę, na tyle wysoką, aby odstraszała chętnych do zapewnienia tym sposobem zabawki dzieciom, jeśli jest to jedyny motyw posiadania psa. Argument, że nie wszyscy prawdziwi miłośnicy zwierząt mogliby ponieść ten dodatkowy koszt, wydaje mi się nie na miejscu — pies bowiem nie jest przedmiotem pierwszej potrzeby i nie wszyscy muszą go mieć. Niech mają tylko ci, których na to stać — nie tylko w sensie materialnym, ale również moralnym i psychicznym. Oczywiście psa rasowego — bo tylko taki daje nam gwarancję kontaktu ze zwierzęciem, które nie tylko nam się podoba, ale również obdarzone jest cechami psychicznymi, które, w zależności od rasy, możemy dobrać odpowiednio do naszego własnego usposobienia, warunków i trybu życia.

TERESA JERZYKOWSKA

Teścia w rękę nie całuj

Przed nami karnawał — okres, gdy częściej niż zwykle spotykamy się z rodziną i przyjaciółmi, bywamy na prywatkach, a nawet balach, czy też sami zapraszamy gości. Aby pozostawił miłe wspomnienia do następnego roku — warto wiedzieć, jak się do takich spotkań przygotować, w co ubrać, jak zachowywać, aby nie tylko uniknąć nieporozumień, zakłócających życie towarzyskie, ale jeszcze zasłużyć na opinię człowieka sympatycznego, którego chętnie zaprasza się ponownie. Poradzi nam w tym Mieczysław Rościszewski, autor książeczki pt. „Dobry ton — szkoła pożycia z ludźmi wszelkich stanów w stosunkach poufnych i ceremonjalnych", która w 1920 r. doczekała się już czwartego wydania.

Najpierw słów parę o elegancji. Jej brak u kobiet *„uwydatnia się najjaskrawiej w nieumiejętnym noszeniu ozdób złotych i drogocennych. Jeżeli już ktoś chce koniecznie nosić te bagatelki, jak pierścionki i kolczyki, które stanowią zabytek czasów pierwotnych, niech nosi jeden, a najwyżej dwa, ale naprawdę drogie i ładne. Brylanty z rana oznaczają zupełny brak dobrego smaku, a już fałszywy brylant to zupełne horrendum! Bransolety i kolje są pożądane tylko przy sukni wyciętej, z krótkimi rękawami".*

O strój dbać powinny nie tylko damy, ale również mężczyźni. I tak:

„do rzędu przedmiotów, niewłaściwych w toalecie mężczyzny zaliczyć należy haftowane koszule, grube łańcuchy do zegarków, breloki. Złoty zegarek z cienkim łańcuszkiem, cenne, lecz nie duże spinki i jeden pierścień — z rana z kamieniem kolorowym, wieczorem z jednym brylantem to dość ozdób błyszczących dla przyzwoitego mężczyzny".

Udając się na wizytę mężczyzna musi mieć zawsze rękawiczki *„bezwzględnie czyste, skórkowe, lub jelonkowe. Rękawiczki sukienne, wełniane lub jedwabne są w bardzo, a bardzo złym tonie. Należy je zdjąć w przedpokoju i schować do kieszeni. Zdejmuje się również w przedpokoju kapelusz i wchodzi do pokoju, niosąc go w ręku. Usiadłszy stawia się kapelusz pod krzesłem, ażeby przy wychodzeniu można go było zabrać łatwo i nieznacznie".*

Wchodząc do pokoju, zważać trzeba na sposób poruszania się, bowiem na tej podstawie osoby już tam będące wyrabiają sobie o wchodzących opinię, co zwłaszcza ważne jest dla kobiet. *„Każdy ruch niedbały, chód z boku na bok oznacza złe wychowanie i brak wykształcenia oraz nieobycie. Kobiety, poruszające się ciężko i niezręcznie bywają przeważnie gnotliwe; te zaś, które skłonne są do błędu odznaczają się przesadną okrągłością ruchów. Dama w trakcie chodu nie powinna pod żadnym pozorem uginać sukni. Posiadając smak naprawdę wybredny nie wychodzi więc z domu w czasie deszczu i błota.*

Z laską i parasolką nigdy nie wchodzi się do salonu, chyba że rączka jest cenną i w przedpokoju mogłaby znaleźć nieproszonego amatora. Nigdy nie należy siadać na kanapie przy gospodyni, lecz na krześle, chyba że jest się osobą wyróżniającą się wiekiem czy stanowiskiem.

Jedząc, nie trzeba się opierać łokciami o stół, zupę jada się bokiem łyżki, a nie jej końcem, ażeby nikt nie pomyślał, że chcemy ją połknąć. Nieprzyzwoitością jest w domach prywatnych przecierać serwetą talerze, uchodzi to jedynie w restauracji. Wielce jest nieprzyzwoitym jeść owoce bez obrania. Kto nie ma zwyczaju picia wina przy stole, ten może zabarwiać nim tylko wodę. Panie i panny dobrze uczynią, pijąc wino jedynie w domu w celach leczniczych. Picie w towarzystwie obniża ich wartość i szpeci je niewymownie.

Po jedzeniu należy oczyścić zęby, usiłuteczniając to na stronie wykałaczką, nie końcem widelca".

W okresie karnawału wiele par *„wstępuje na nową drogę życia"* lub też podejmuje takie decyzje. Kandydat do małżeńskiego stanu zjawia się w domu panny w godzinach popołudniowych. *„Wizyta jest oczekiwana i mieszkanie przygotowanym być musi, zwłaszcza posadzka wyfroterowana dokładnie, aby klękając, nie zabrudził spodni".* Gdy zostanie przyjęty *„na dzień następny i aż do ślubu posyła pannie bukiety, początkowo jasne, stopniowo coraz ciemniejsze, aż do purpurowych w wigilię ślubu. Oprócz kwiatów posyła prezenty, a to klejnoty, drobiazgi toaletowe, nuty itp. unikając przedmiotów, wchodzących w skład wyprawy. Niektórzy praktyczniejsi panowie ofiarowują narzeczonym inkrustowane szafki lub stoliczki, w szufladzie których jest woreczek ze złotymi pieniędzmi. Aż do dnia ślubu młodzi mówią do siebie pan i pani, nie tak jak u Niemców, gdzie poufałość następuje zaraz po zaręczynach".*

Jeśli w okresie świątecznym wybieramy się na urlop — pamiętać należy o właściwym zachowaniu w podróży. *„Gdy w wagonie kolei żelaznej spotkamy osoby, pozwalające sobie na przekroczenie przepisów dobrego wychowania, nie należy certować się z nimi, lecz zażądać od konduktora wyznaczenia innego miejsca. Dobry ton surowo zabrania przewożenia wszelkiej kontrabandy przez granicę...".*

Pamiętając te wszystkie rady z pewnością będziemy cieszyć się opinią dobrze wychowanych ludzi (choć może w dzisiejszych czasach nieco dziwnych?) nie tylko w okresie karnawału.

AGATA

Rys. Zenona Płonk

Tokio przed trzęsieniem ziemi

Japonia zyskała miano „sejsmicznego archipelagu". Nazwa ta znajduje uzasadnienie w częstych ruchach skorupy ziemskiej, jakie są tu odczuwane, a przede wszystkim w wielkich trzęsieniach ziemi, które nawiedzają Japonię i wskutek których w latach 1498, 1605, 1707, 1854, 1923 i 1944 zostały zniszczone całe regiony kraju. Otóż, zdaniem specjalistów, zgromadziło się już ponad 80 proc. energii potrzebnej dla wywołania trzęsienia ziemi o sile 8 stopni w skali Richtera, a taki właśnie wstrząs w 1923 roku spowodował w Tokio 140 tys. śmiertelnych ofiar. Co robią Japończycy, aby zapobiec spustoszeniu? Pisze o tym na łamach paryskiego tygodnika LE POINT, Patrik Sabatier:

1 września 16 milionów Japończyków uczestniczyło w największym alarmie próbnym, jaki kiedykolwiek zorganizowano w związku z trzęsieniem ziemi. Opuszczające w porządku dworce i budynki użyteczności publicznej tłumy, wycie syren oraz akcje ratownicze strażaków i jednostek wojskowych... sparaliżowały w efekcie znaczną część kraju. Kilka dni wcześniej we wszystkich miejscach publicznych rozplakatowano afisz przedstawiający zapłakaną dziewczynkę na tle płonącego miasta: „Tak było przed 60 laty, tak może być jutro" — przypomniał plakat tym Japończykom, którzy mogą już nie pamiętać, że 1 września 1923 roku trzęsienie ziemi zniszczyło Tokio, a liczba jego ofiar wynosiła 140.000. Otóż wszyscy eksperci zgodni są co do jednego: wstrząs o sile równej tej, jaką miało trzęsienie w 1923 roku, wcześniej czy później uderzy w „serce" Japonii, obejmując swym zasięgiem rozległy region rozciągający się pomiędzy głównymi miastami kraju, Tokio i Osaką. 30 milionów mieszkańców tych miast, jak na rozkaz zaczęło przeżywać wielki strach w nowoczesnym wydaniu, przypominający fale strachu, które wstrząsały europejskim Średniowieczem: daijishin — Wielkie Trzęsienie Ziemi.

Przez ostatnie miesiące rytm życia stolicy Japonii odmierzają pogłoski: „Rząd wie, ale milczy" szepczą sobie na ucho w barach różni „dobrze poinformowani" ludzie. Gdyby tak nie było, to dlaczego w telewizji pokazano, jak sam premier kosztuje racje żywnościowe, które mają pozwolić przeżyć? Czym, jeśli nie tym właśnie, można sobie wytłumaczyć wyraźny wzrost cen materiałów budowlanych? Czyż nie mówi się, że zwierzęta opuściły zbocza góry Fudżi? Tak czy inaczej, jesteśmy w roku „mizutonoi", jednym z najbardziej — według japońskiego zodiaku — fatalnych, roku, w którym zawsze zdarzają się kataklizmy (ostatni był właśnie w 1923 r.) Lepiej więc zabezpieczyć się na wszelki wypadek: w domach towarowych zapanował bezprecedensowy run na torby z ekwipunkiem niezbędnym do przeżycia, do których posiadania w domu nawołuje się wszystkich Japończyków. *Eksperci finansowi* też idą za ciosami: wielkie towarzystwa ubezpieczeniowe, jak np. Tokio Life, przyznają otwarcie, że ze względu na „czynnik sejsmiczny" inwestują raczej za granicą.

Czy jest to irracjonalne? — zastanawia się autor. Otóż legenda mówi, że Japonia leży na grzbiecie olbrzymiego suma — numazu: kiedy sum się porusza, ziemia się trzęsie. Zdarza się to ponad *1000* razy w roku, dzięki czemu kraj zyskał miano „archipelagu sejsmicznego". Z przeprowadzonego w maju br. sondażu wynika, że 65 proc. Japończyków boi się, że zginie podczas trzęsienia ziemi; wkrótce po opublikowaniu tych danych wskutek trzęsienia ziemi, po którym przyszła wysoka fala tsunami, w północnej części kraju zginęły 104 osoby. W przybliżeniu co 100 lat wielkie trzęsienie ziemi nawiedza region położony między Osaką a Tokio. Na trzęsienie ziemi, które w 1944 roku poczyniło spustoszenie w regionie Osaki, zrzucono część odpowiedzialności za klęskę, jaką Japonia poniosła w 1945 roku.

Jeśli zaś chodzi o suma — wyjaśnia Masahiro Kishio ze służby przewidywania trzęsienia ziemi przy Agencji Meteorologicznej — to tworzące skorupę ziemską i znoszone ku magmie płyty tektoniczne są sprawcami wszystkich nieszczęść Japonii. Trzy spośród tych płyt spotykają się na dnie oceanu, na pełnym morzu na poziomie między Tokio a Osaką. Dwie z nich podchodzą pod trzecią, powodując przez to straszne napięcia, po których następują gwałtowne wstrząsy — właśnie ruchy sejsmiczne. Znajdujące się na pełnym morzu kilkadziesiąt kilometrów od wybrzeży japońskich dwie strefy, a mianowicie uskoki Suruga i Sagami — kontynuuje Masahiro — to prawdziwe „gniazda sejsmiczne". Tam właśnie znajdowały się epicentra wielkich kataklizmów, które spustoszyły regiony Tokai (między Tokio a Nagoya) i Kanto (Tokio) w latach 1498, 1605, 1707, 1854, 1923 i 1944. Dzisiaj, twierdzi jeden z głównych japońskich specjalistów, prof. Rikitaka, na morzu u wybrzeży regionu Tokai, sytuacja jest znów krytyczna. Zgromadziło się już bowiem ponad 80 proc. energii potrzebnej, aby wywołać wstrząs o sile 8 stopni w skali Richtera.

Przez 24 godziny na dobę Masahiro Kishio i jego koledzy ze służby zapobiegania trzęsieniom ziemi czuwają przy sejsmografach i komputerach Agencji Meteorologicznej mieszczącej się w samym centrum Tokio. Stale „nasłuchują" i interpretują najbardziej niedostrzegalne ruchy podłoża przekazywane przez 75 stacji kontrolnych rozrzuconych w całym regionie Tokai i rozmieszczonych nawet w głębi oceanu oraz na ponad 200-kilometrowym wybrzeżu, w zatoce Suruga — prawdopodobnym epicentrum najbliższego trzęsienia ziemi w Tokai. Stacje te są wyposażone w wieloraką aparaturę, dokonującą pomiaru poziomu wód, ciśnienia wywieranego na wnętrze Ziemi, rejestrują najsłabsze wstrząsy i milimetrowe nawet przemieszczanie się ziemi. „Suruga jest najbardziej nadzorowanym miejscem na świecie" — mówi z dumą Masahiro Kishio, który utrzymuje, że zbliżanie się jakiegoś rozległego ruchu skorupy ziemskiej zostanie wykryte zanim rozszaleje się trzęsienie ziemi — kilka godzin, a być może nawet trzy dni wcześniej. Gdy tylko zostanie stwierdzone, że pojawiły się zjawiska zwiastujące trzęsienie ziemi, Masahiro Kishio uruchomi procedurę alertu: do Agencji Meteorologicznej zostanie wezwanych 6 ekspertów, którzy są stale podłączeni do indywidualnego systemu wywoławczego, eksperci przeanalizują dostarczone dane, a następnie, po uzyskaniu pewności, że trzęsienie ziemi jest nieuchronne uprzedzą premiera, na którego spadnie obowiązek ogłoszenia alarmu w orędziu transmitowanym przez radio i telewizję na cały kraj.

Japonia, przyznają wszyscy eksperci, jest pierwszym w świecie krajem, jeśli chodzi o przewidywanie trzęsień ziemi i zapobieganie im i daleko pod tym względem wyprzedza pozostałe państwa. Japonia wydatkuje na te cele równowartość ponad 20 mld franków, czyli 5-krotnie więcej niż, np. Stany Zjednoczone. Mimo to eksperci z Agencji Meteorologicznej chętnie przyznają, że nauka przewidywania trzęsień ziemi bynajmniej nie jest nieomylna. Japończycy mają nadzieję, że pewnego dnia będą mogli korzystać nie tylko z pomocy komputerów, ale również z pomocy sumów; związek zachodzący między ich zachowaniem a trzęsieniem ziemi jest od wielu lat badany w laboratorium mieszczącym się na przedmieściu Tokio — Katsushika. Dotychczas jednak zaledwie w 30 proc. przypadków sumy reagowały na groźbę trzęsienia ziemi.

Główne przeszkody na drodze rozwoju badań są natury budżetowej. Prasa japońska regularnie pisze, że środki, jakie przyznaje się na prace związane z przewidywaniem trzęsienia ziemi są wystarczające. Podczas gdy zatoka Suruga jest dobrze zbadana, nic albo prawie nic nie zrobiono, aby spróbować przewidzieć trzęsienia ziemi nawiedzające Tokio. Przy obecnym stanie rzeczy — pisał w ubiegłym roku dziennik ASAHI SHIMBUN — będziemy mieli 20 sekund, aby ocalić Tokio: jest to czas, jakiego będzie potrzebowała fala uderzeniowa trzęsienia ziemi, którego epicentrum będzie się znajdowało gdzieś na pełnym morzu na poziomie Kanto, by dotrzeć do stolicy.

Niejeden zadrżał na myśl o takiej perspektywie: stolica Japonii — mrowisko ludzkie, liczące ponad 10 mln mieszkańców — aż się jeży od drapaczy chmur, takich, jak Sunshine w dzielnicy Ikabukuro, który ze swymi 60 piętrami i ponad 200 m wysokości jest najwyższym wieżowcem w Azji. Walenie się takich olbrzymów ze szkła i stali jest popisowym numerem filmów grozy opartych na motywie Wielkiego Trzęsienia Ziemi. A jednak takie sceny wywołują śmiech na twarzy dyrektora laboratorium badań sejsmicznych w Tekenaka, działającego przy jednym spośród 6 największych japońskich przedsiębiorstw. „Nie sądzimy, by zachodziło najmniejsze niebezpieczeństwo, że budynki te zawalą się — mówi z pewnością siebie dyrektor Tsushima. — Nasze normy antysejsmiczne są najsurowsze w świecie, a japońska technologia antysejsmiczna należy do najbardziej zaawansowanych — kontynuuje. Podczas ruchów skorupy ziemskiej w ostatnich latach bardzo niewiele zbudowanych niedawno domów zostało uszkodzonych, a żaden się nie zawalił". Japońskie wieżowce mają mocne stalowe konstrukcje, a ich fundamenty stanowią 20 proc. łącznej wysokości budynków — mogą one „wchłonąć" wstrząsy o sile 8 stopni. Podczas trzęsienia ziemi wieżowce tylko się chwieją, a odchylenie od pionu wynosi 2 cm na każde piętro, inaczej mówiąc — w wypadku wieżowca Sunshine w Ikebukuro odchylenie wynosi 1,20 m w jedną i tyle samo w drugą stronę... „Jedno, co może grozić, to morska choroba" — twierdzi dyr. Tsushima.

„Prawdziwym niebezpieczeństwem — kontynuuje — są małe drewniane domki, oraz zbudowane już dawno temu z betonu niewielkie budynki: szacuje się, że 10 proc. tych domów nie wytrzymałoby wstrząsu o sile 8 stopni". Aby temu zaradzić, zarząd miejski Tokio przyjął 16 sierpnia 5-letni plan, mający uczynić ze stolicy „miasto antysejsmiczne": na wzmocnienie budynków wątpliwych, uodpornienie na ogień pojedynczych domów i utworzenie barier przeciwogniowych, a przede wszystkim na psychologiczne przygotowanie ludności na wzór tego, co robi się w mieście Shizuoka, zamierza się przeznaczyć w Tokio równowartość prawie 5 mld franków.

Od 1977 roku, położone u podnóża Fudżi miasto Shizuoka, szczególnie narażone na trzęsienie ziemi, które nawiedzi Tokio, przygotowuje się do przeżycia tego wstrząsu. Burmistrz miasta, Kawai, osobiście nadzorował próbne alarmy oraz ćwiczenia, jakie zorganizowano tu 1 września. Jest ufny i sądzi, że w jego liczącym 470.000 mieszkańców mieście liczba ofiar nie przekroczy „kilku tysięcy". Shizuoka należy do liczby 170 miast objętych uchwaloną w 1978 roku ustawą o zapobieganiu wielkim wstrząsom sejsmicznym — wyjaśnia. Znaczy to, że wszystkie budowane tu domy muszą odpowiadać bardzo surowym normom sejsmicznym. Miasto jest otoczone siecią 250 głośników połączonych systemem tanzystorowym z 75 ośrodkami alarmowymi kierowanymi przez prefekturę: w ciągu 10 minut cała ludność będzie poinformowana i będzie wiedziała, co ma robić". Zdaniem burmistrza, mieszkańcy miasta, którzy od 5 lat są regularnie informowani i mobilizowani w 98 proc. współdziałają z władzami. Do rzadkości należą mieszkańcy Shizuoki, którzy nie mają w domu niezbędnego sprzętu i przydzielonych im żelaznych racji żywnościowych.

Stolicy daleko jeszcze do osiągnięcia tego stanu. Ustawa z 1978 roku nie obejmuje Tokio, najwyraźniej dlatego, że problemy, jakie trzeba w tym mieście uregulować, są tak ogromne, a ich rozwiązanie tak kosztowne, że władze jakoś nie mogą zdecydować się na ich podjęcie. Utworzono, oczywiście, zapasy żywności i wody, rząd urządził w nadtokijskiej miejscowości Tachikawa bazę, do której będzie ewakuowana ludność oraz zbudował wzdłuż rzeki Sumida „bazę przeciwpożarową", składającą się z ciągu budynków o wysokości 40 m, chronionych przez baterie prądownic mających wytworzyć kilometrowy „mur", za którym mieszkańcy Tokio będą mogli się schronić w razie pożaru (w 1923 roku aż 38 tys. osób spłonęło żywcem w parku otoczonym przez ogniska pożarów, jakie wybuchły wskutek trzęsienia ziemi). Trzęsienie ziemi o sile równej wstrząsom z 1923 roku — jak wynika z przeprowadzonych badań — spowodowałoby w Tokio 300.000 — 500.000 śmiertelnych ofiar. W większości tych badań — zwraca uwagę Patrick Sabatier — nie bierze się jednak pod uwagę skutków paniki, jaką wywołałaby katastrofa; a przecież to właśnie panika stała się przyczyną prawdziwej masakry, do jakiej doszło podczas trzęsienia ziemi w 1923 roku. Aż strach pomyśleć — pisze autor artykułu — co mogłoby się dziać w tych przeogromnych „podziemnych miastach", przez które codziennie przewijają się miliony Japończyków.

Ponieważ jednak jesteśmy w Japonii, zmysł handlowy potrafił zawładnąć także trzęsieniem ziemi. Przede wszystkim — czytamy w końcowej części artykułu — mamy tu do czynienia z zalewem katastroficznych książek i filmów o bardziej lub mniej naukowych ambicjach. W ciągu kilku miesięcy sprzedano ponad 300.000 egzemplarzy „Wybuchu Fudżi-jamy". Nakład „Zatopienia Japonii" osiągnął wiele milionów egzemplarzy. Co obrotniejszym właścicielom udało się nawet podnieść komorne w domach zbudowanych z uwzględnieniem norm antysejsmicznych. Całe firmy w dużym stopniu żyją ze sprzedaży toreb z ekwipunkiem na wypadek trzęsienia ziemi, które w wielkich domach towarowych ludzie wyrywają sobie z rąk. Przezorni konstruktorzy rozwinęli wszelkie rodzaje systemów alarmowych, które oferują rządowi w nadziei, że może je zastosuje. W Jokohamie znalazła się nawet firma, która opracowała „koagulator ekskrementów", który miałby rozwiązać problem, jaki powstanie po trzęsieniu ziemi wskutek przebicia rur odprowadzających ścieki. Pod koniec sierpnia dwa biura projektowe oficjalnie zaproponowały plan odbudowy Tokio po trzęsieniu ziemi: nowa stolica będzie miała ogromne obszary zielone — oczywiście w przewidywaniu kolejnych ruchów skorupy ziemskiej. Rząd ze swej strony od dwóch lat rozważa plany przeniesienia stolicy w jakieś pewniejsze miejsce.

„Przywykliśmy do wielkich katastrof — mówi z optymizmem autor „Wybuchu Fudżi-jamy", Sagara. Jest to bodziec dla japońskiej gospodarki. Być może trzęsienie ziemi stanie się sposobem na wyjście z obecnej stagnacji. Ci, którzy przeżyją, będą bogaci..."

Niemi szpiedzy

Załóżmy, że wysiadam na Dworcu Głównym w Hamburgu, opuszczam peron, idę przejściem podziemnym dla pieszych w kierunku Kurze Muehren, zaglądam do wielkich sklepów z artykułami wiókienniczymi czy elektronicznymi przy Moeckenbergstrasse albo Spitalerstrasse, że realizuję czek na 200 w filii Sechof Deutsche Bank, idę dalej w kierunku ratusza...

Chociaż nikt za mną nie szedł — byłam obserwowana. Gdybym obejrzała się i spojrzała na dach domu przy Moeckenbergstrasse nr 13, dostrzegłabym zapewne plastykowy korpus i obiektyw wideokamery. Szacując ostrożnie, była to szósta kamera towarzysząca mi krok w krok na 500-metrowym odcinku od Dworca Głównego.

Czy w foyer, czy w czasie demonstracji, czy przed bramą szpitala jest się widzianym. Kamery telewizyjne rejestrują, co i gdzie się dzieje. Widzą coś, czego człowiek sam nie widzi. I przenoszą to na monitory. Ten, kto siedzi przy monitorach jest anonimowy.

W ciągu minionych 15 lat rozsnuła się na ulicach, placach i wolnych przestrzeniach gęsta sieć ukrytych oczu, wideokamer. Ustawieniem peryskopu kieruje najczęściej centrala, kamery obejmują teren w promieniu 360 stopni. Najchętniej instaluje się je na wieżowcach, a widzą one dzień i noc (dzięki specjalnym urządzeniom); deszcz, mgła i śnieżyca wpływają jedynie ujemnie na jakość obrazu. Jeśli istnieje bezpośrednie połączenie z centralą monitorów, obrazy zostają przekazane liniami radiowymi; jeżeli połączenie jest kablowe, muszą być z reguły wzmacniane co każde tysiąc metrów.

Gdy zapytać „użytkowników" (tak zawsze są delikatnie określani przez producentów wideokamer), czy ta sieć jest konieczna, natychmiast powołują się na względy bezpieczeństwa, niezakłóconą komunikację i wyeliminowanie nieupoważnionych.

I faktycznie, kto zerknie do centrali kierowania ruchem, nie będzie mógł raczej zaprzeczyć temu, że wszystko byłoby o wiele bardziej skomplikowane, gdyby nie istniała możliwość centralnego obserwowania ruchu. Na parterze wieżowca policji w Hamburgu, czterej urzędnicy obserwują na zmianę przez całą dobę 42 migocące monitory ustawione w półkolu. Każdy z nich pokazuje newralgiczny węzeł komunikacyjny. Ruch toczy się bezszelestnie, jak po szynach. Samochody, autobusy, motocykle — skręcają, wyprzedzają, zatrzymują się, podjeżdżają. Od czasu do czasu obraz-widmo: przesuwająca się perspektywa trójpasmowej pustej jezdni.

Centralę kierowania ruchem w Hamburgu interesuje tylko komunikacja. Chce, żeby zmianę świateł sygnalizacyjnych dostosować do natężenia ruchu, chce poznać przyczynę powstawania korków i informować na bieżąco służbę ruchu. Na ogół nie jest w stanie zarejestrować numerów samochodów, nie potrafi ustalić wykroczeń przeciwko przepisom o ruchu drogowym. Zgodnie z zapewnieniami centrali, materiał filmowy nie jest przechowywany. Nie ma ona też nic wspólnego z „oddziałami poszukiwań i dokumentacji", które filmują demonstrantów.

KAMERA JAKO ALIBI

Koszt instalacji kamery z monitorem, kablem transmisyjnym i wzmacniaczem wynosi przeciętnie 45.000 marek. Centrala kierowania ruchem chciałaby zainstalować jeszcze trzy kamery. Zastrzega się, że te byłyby ostatnie. Chyba, że nowe pokolenie kamer mogłoby znacznie lepiej sprostać zadaniom.

Trudno w gruncie rzeczy zarzucać bankom, że posługują się nowoczesną techniką, po to, aby napady nie wydawały się ich sprawcom prowokacyjnie łatwe. Banki przyczyniły się do boomu u producentów „profesjonalnej telewizji", kiedy w połowie lat siedemdziesiątych postanowiły wyposażyć blisko 40.000 filii na obszarze federacji w niemych szpiegów.

Efekty tego przedsięwzięcia okazały się jednak krótkotrwałe. W dwa lata później liczba napadów na banki znowu wzrosła. Co prawda zdjęcia na listach gończych pozwoliły w większości wypadków ustalić sprawców, jednakże wielu zawodowców, grożąc pistoletem, zaczęło domagać się wydania taśmy filmowej, zanim zbiegło z łupem. Co więcej, kamery miały niekiedy zapewnić bankom jedynie alibi: kosztowały miliony, a niewiele dawały. Kamery robiły sprawcom zdjęcia w niewłaściwym miejscu, bo przy kasie, kiedy byli całkowicie zamaskowani, a nie tam, gdzie zdejmowali maski, a mianowicie przy wyjściu.

Często też pracownicy banku, po sekundach przerażenia, nie mieli tyle przytomności umysłu, żeby nacisnąć ukryty guzik uruchamiający kamerę. A przeciwko ciągłej obserwacji protestowały rady zakładowe. Jak powiedział jeden z dyrektorów banków, „chodziło też o to, żeby nie robić zdjęć każdemu klientowi, który — wypisując czek, akurat dłube w nosie".

ZATRZYMANIE PRZY WYJŚCIU

Mniej delikatne są wielkie domy handlowe, które, starając się złapać złodzieja, filmują gros przeciętnych klientów. Między detektywem a centralą odbywają się takie dialogi: „Dwadzieścia dwa proszę pilnie do działu szkło, porcelana, cyna. Osoba podejrzana, kręcone ciemne włosy, mniej więcej metr sześćdziesiąt wzrostu". — „Zrozumiałem". — „Chowa teraz kubek cynowy, przechodzi na prawo. Proszę zachować dystans, dobrze?" — „Ten chyba jeszcze nie skończył". — „Wtedy się przynajmniej opłaci". Tymczasem zatrzymanie przy zabawie w kotka i myszkę odbywa się na zewnątrz.

Jeżeli patrzeć na to z wyrozumiałością, można uznać, że w tym przypadku została jeszcze zachowana właściwa relacja między nakładami i celem, między (zrozumiałą) potrzebą zabezpieczenia się a (problematyczną) totalną obserwacją, ale w innych trudno by było uzasadnić. Niedawno policja hamburska z dzielnicy St. Georg zademonstrowała, jak duże są możliwości zastosowania tej techniki. Urzędnicy chcieli zapobiec naruszaniu rozporządzenia o obszarze zamkniętym, ukrytymi kamerami utrwalając damy przechadzające się po ulicy „w jednoznacznym zamiarze". Która czterokrotnie znalazła się w polu widzenia, była zgubiona.

— Ale — kamera utrwalała przy tym również klienta. On również — podobnie jak wielu innych pojawiających się w monitorach — pozbawiony jest „prawa do własnego zdjęcia", które zapewniała ustawa z 1907 r. o ochronie sztuki i o prawach autorskich. Nie można jednak wnosić oskarżenia o naruszenie sfery życia prywatnego, ponieważ — w razie wątpliwości — publiczni jak i prywatni użytkownicy kamer mogą zawsze argumentować, że działają w imię bezpieczeństwa i porządku. Czy kamery są więc dowodem, że chodzi tu o niebezpieczeństwo „faszyzmu technologicznego?".

Wszyscy zgadzają się z tym, że obserwacja za pomocą kamer jest sprawą drażliwą, zwłaszcza jeśli materiał filmowy — w przeciwieństwie do central kierowania ruchem — jest przechowywany.

W wielkich zakładach utarła się praktyka, że często po zmianie nocnej sprawdza się nagrane taśmy dla zorientowania się, czy własny personel kontroli nie uszczupla zapasów. W celu zebrania ewentualnych dowodów nagrywa się wszystko przez 24 godziny. Niekiedy pracownicy wyrażali na to zgodę w porozumieniu z kierownictwem zakładu, nie było tak jednak w przypadku Beiersdorf. Gazetka zakładowa informowała tam niedawno o ukrytych kamerach. W razie wątpliwości obowiązuje zasada, którą sformułował w jednym z wywiadów prasowych prokurator federalny Kurt Rebman: pierwszeństwo mają względy bezpieczeństwa przed innymi. Oczywiście poglądy na to, co wymaga ochrony ze względów bezpieczeństwa, znacznie się od siebie różnią.

„Sieć spojrzeń" jest tematem filmu dokumentalnego reżysera zachodnioberlińskiego Michaela Kliera. Film nosi tytuł „Olbrzym" i jest li tylko montażem nieskończenie szarej monotonii życia przekazywanej przez kamery monitorom. Sceny przypadkowe i zarazem upiorne, filmowane z góry, przy znacznej odległości ogniskowej i mechanicznie sterowanych gwałtownych zwrotach kamery. Czasopismo poświęcone filmowi „Medium" pyta z niepokojem: „Kto chciał na to patrzeć — i dlaczego?"

(„DIE ZEIT")

W kręgu fantastyki

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Dralnia 3

Gdy wyszedłem na zewnątrz, było już całkiem ciemno. Odruchowo spojrzałem na zegarek — wskazywał godzinę piątą, choć musiało być znacznie później. Rozejrzałem się. Kilkanaście metrów dalej, po przeciwnej stronie ulicy stała taksówka. Zupełnie, jakby na mnie czekała. Niewiele myśląc, wsiadłem do niej, podałem adres, kierowca uruchomił silnik... W drodze do domu starałem się zebrać myśli. Przychodziło mi to jednak z wielkim trudem, gdyż wszystko, co przeżyłem tego dnia, wydawało się tak nieprawdopodobne, że z minuty na minutę traciłem poczucie pewności, czy tak było naprawdę, czy też może... Postanowiłem, że póki nie sprawdzę, co się za tym kryje, nikomu nic nie powiem, nawet Annie.

Następnego dnia, zaraz po pracy, znów wybrałem się do willowej dzielnicy za parkiem. Niestety, nie udało mi się odnaleźć białego, parterowego domu z napisem „DRALNIA" przy wejściu, a nieliczni przechodnie, których o niego pytałem, twierdzili zgodnie, że niczego takiego tu nie ma. Nie dawało mi to spokoju. W parę dni później z planem miasta w ręku obszedłem wszystkie okoliczne uliczki — bez powodzenia.

No, stary, powiedziałem sobie wówczas, coś chyba z tobą niedobrze. Może jednak powinieneś wybrać się do jakiegoś lekarza? Ale nie poszedłem. Jak zwykle. Nie miałem odwagi. Było, minęło, próbowałem się uspokoić. Po prostu miałeś zły dzień, ten ból głowy... A może to jakiś eksperyment psychologiczny? Podobno czasami przeprowadza się takie testy — aranżuje się jakąś niecodzienną sytuację, albo też długo i usilnie przekonuje ludzi, że na przykład dwa razy dwa, to pięć, i obserwuje z ukrycia ich reakcje. Może ktoś zabawił się twoim kosztem? Nie warto zaprzątać sobie głowy głupstwami. Szkoda czasu.

A jeśli to początek jakiejś choroby umysłowej, myślałem po chwili. Jeśli takie wizje będą się powtarzać? Co wtedy? Dać się zamknąć? Na jak długo? Na rok, dwa? A może na całe życie?

Naprawdę, zacząłem się bać. Były takie chwile, że nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Nie potrafiłem znaleźć sobie miejsca, ani zająć czymś na dłużej. Wszystko mnie denerwowało, choć starałem się tego nie okazywać — zwłaszcza w domu. Dopóki Anna nic nie wie, powtarzałem sobie, wszystko będzie tak jak dawniej. Trudno, musisz, to wziąć wyłącznie na siebie Czas jest najlepszym lekarzem. — Jeszcze miesiąc, dwa... Zbliża się pora urlopów...

I rzeczywiście, dając się znowu wciągnąć w wir codziennych spraw, przestałem myśleć o dralni tyle, ile myślałem w pierwszych dniach po jej odwiedzeniu. Zaprzestałem poszukiwań. Powoli godziłem się z myślą, że nie należy do tego wracać, bez względu na to, co się za tym kryło. I tylko nieraz budziłem się w środku nocy zlany zimnym potem, mając jeszcze przed oczyma twarz tamtej dziewczyny. Uśmiechała się szyderczo, mówiąc tryumfalnym głosem: „A nie mówiłam, że się jeszcze spotkamy".

Innym razem śniło mi się, że mieszkam we wspaniałym domu, ale nie mogę z niego wyjść, bo po prostu nie ma w nim czegoś takiego, jak wyjście. Nawet oknem nie można wydostać się na zewnątrz, bo okna w ogóle nie otwierają się. Jak oszalały biegam po nie kończących się korytarzach, jeżdżę windami z góry na dół i z dołu do góry, walę pięściami w betonowe ściany i pancerne szyby i — nic.

To w nocy. A rano znów wszystko było jak zawsze: nasze mieszkanie, krzątająca się w kuchni Anna, otwarte drzwi na balkon i ludzie śpieszący jak co dnia do pracy.

Anna nie domyślała się chyba niczego. Owszem, zauważyła, że jestem może trochę inny niż dawniej (jakiś taki nieobecny, mówiła) ale kładła to na karb przemęczenia. Nie robiła mi żadnych wyrzutów, czułem jednak, że ma do mnie cichy żal o tę moją duchową nieobecność. Nie mówiłem więc nic, kiedy coraz częściej wychodziła po południu sama — a to do koleżanki, a to na jakieś zebranie, czy szkolenie... Wiedziałem, że w pewnych okresach, gdy ogarniała mnie apatia i przez cały wieczór zamienialiśmy ze sobą ledwo parę zdań, Anna po prostu się nudziła. Była przecież młoda, energiczna, chciała przed urodzeniem dziecka, jak sama mówiła, zakosztować jeszcze życia. Rozumiałem ją i dlatego patrzyłem przez palce na te jej samotne wypady, tak samo zresztą jak i ona patrzyła na moje, kiedy godzinami włóczyłem się po willowej dzielnicy za parkiem, utrzymując, że właśnie musiałem zostać dłużej w pracy. Krótko mówiąc, byliśmy dla siebie wyrozumiali. Nie zadawaliśmy zbędnych pytań. Przez pewien czas cieszyłem się nawet z tego powodu, gdyż zbytnia dociekliwość Anny zmusiłaby mnie do ciągłego okłamywania jej i na pewno popsułaby zupełnie atmosferę w domu. Stopniowo jednak nabierałem przekonania, że powinniśmy chyba szczerze porozmawiać, gdyż zachowanie Anny stawało się dla mnie coraz bardziej niepokojące i niezrozumiałe.

Któregoś dnia wróciła do domu bardzo późno, na rauszu i — co mnie szczególnie zastanowiło — z oderwanym guzikiem od bluzki. Kiedy zapytałem, gdzie była, odpowiedziała wymijająco, że w jakiejś kawiarni z koleżankami z pracy, choć nie potrafiła nawet podać nazwy lokalu. Ale nie to było najgorsze, bo gdy później rozbierała się... Leżałem już w łóżku, przeglądałem kolorowy magazyn i chociaż paliła się tylko nocna lampka, nie mogłem się mylić — miała rozdarte z boku..., no, wie pan, majteczki. Nigdy jej się to nie zdarzało, wprost przeciwnie — odkąd tylko pamiętam, była wprost pedantyczna, jeżeli chodzi o bieliznę, a zatem...

Przyznaję, dałem się ponieść nerwom. Zrobiłem Annie piekielną awanturę. Krzyczałem, groziłem, prosiłem, żeby mi tylko powiedziała, gdzie i z kim naprawdę była tego wieczoru...

— Nie musisz mnie okłamywać — ryczałem na całe gardło. — Jeżeli masz kochanka, to miej też odwagę poinformować mnie o tym! Źle ci ze mną?! To proszę, idź do niego i daj mi święty spokój, ale mnie nie okłamuj!

Anna płakała. Siedziała na podłodze obok łóżka, zasłoniła głowę rękami, jakby chciała obronić się w ten sposób przed moim krzykiem i co chwila powtarzała cichutko:

— Nie zdradziłam cię. Naprawdę cię nie zdradziłam, przysięgam.

— Gdzie więc byłaś?

— W kawiarni.

— Kłamiesz! Bezczelnie kłamiesz!

— Błagam cię, uwierz mi.

— To powiedz wreszcie prawdę!

— Byłam w kawiarni z koleżankami.

— Dobrze — uspokoiłem się nieco — jak sobie chcesz, ale ja wnoszę jutro sprawę o rozwód.

Oczywiście przesadziłem z tym rozwodem. Byłem bardzo zdenerwowany i — słowo honoru — wcale nie miałem zamiaru rozwodzić się, ale moja groźba musiała chyba zrobić na Annie duże wrażenie, gdyż niespodziewanie zmieniła taktykę i obiecała, iż powie prawdę, jeżeli obiecam jej, że przestanę krzyczeć i wymachiwać rękami.

— Proszę cię, nie gniewaj się już — zaczęła, ciągle łkając. — To wszystko moja wina. Chciałam dobrze. Przecież wiesz, że tylko ciebie kocham i nie ma innego mężczyzny w moim życiu. Przysięgam. Widzisz, ja myślałam, że..., że będzie lepiej, jeśli staniesz się trochę bardziej zazdrosny. Ostatnio atmosfera w domu zrobiła się, nie powiem, że nieprzyjemna, ale taka jakaś nijaka, bezpłciowa. Byliśmy blisko siebie, a jednak daleko. Czułam, że dzieje się z nami coś niedobrego. Bałam się. O ciebie się bałam. Zmieniłeś się ostatnio. Dawniej byłeś inny. Nie twierdzę, że kochałeś mnie bardziej niż teraz, ale... no wiesz, po prostu dużo częściej dawałeś dowody tej miłości. Byłeś czulszy. Nie chciałam ci o tym mówić, chciałam załatwić to inaczej. Gdybym ci powiedziała, mógłbyś mnie źle zrozumieć. Bałam się tego. Zdaje się, wybrałam jednak nie najlepszą drogę... Zresztą to nie był mój pomysł, to oni mi tak poradzili...

— Jacy oni?!

— No ci, w dralni...

Co było później? Niech pan nie wymaga ode mnie za wiele. Nie wszystko pamiętam. Zresztą i tak nie potrafiłbym przekazać panu, co wówczas czułem. W każdym razie było to straszne. Pewno pan myśli, że dramatyzuję, przesadzam, że inny na moim miejscu... Możliwe. Różne ludzie mają charaktery. Dla mnie był to jakby koniec świata.

Na dźwięk słowa „dralnia" wybiegłem z mieszkania. Nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, co robię. Moje ciało wyrwało się spod kontroli mózgu, w którym wszystko aż się gotowało. Musiałem pędzić półprzytomny pustymi ulicami, na oślep, gdzie popadło, byle dalej, dalej... Zatrzymałem się dopiero na moście — zdyszany, u kresu wytrzymałości. Pamiętam, że łapczywie wdychałem chłodne, wilgotne powietrze jakie unosiło się nad wodą. Było mi obojętne, co się dalej stanie. Oparłem się o balustradę i spojrzałem w dół. Między przęsłami leniwie płynęła rzeka. Pomyślałem, że to już chyba koniec. Wychyliłem głowę najdalej, jak tylko mogłem, podkurczyłem nogi — ciężkie i obolałe. Nie miałem siły odepchnąć się od podłoża i...

... i nagle wydało mi się, że słyszę czyjś głos:

— Ale szanowny pan nieobyty. Przecież i tak odratują, a trzeba by pogotowie i policję wzywać, protokół pisać... Po co to robić tyle kłopotu. Czy nie lepiej do dralni?

KONIEC

ANDRZEJ DONIMIRSKI

Nadistoty Wiśniewskiego-Snerga

Ukazało się już trzecie wydanie znanej książki *Adama Wiśniewskiego-Snerga* pt. *„Robot"*. Na obwolucie czytamy:

„...Mimo pozornej przynależności do gatunku science-fiction (...) w istocie jest to esej filozoficzny, zawierający rozważania z dziedziny humanistyki, współczesnej kosmologii, fizyki teoretycznej, antropologii i biologii"...

I — można dodać — utwór wręcz pasjonujący! Wiśniewski bowiem, wykorzystując fabułę powieści fantastyczno-naukowej, opublikował zupełnie nową hipotezę o ewolucji życia, którą nazwał Teorią Względności Życia. Hipoteza ta sugeruje, że kolejne stopnie ewolucyjnego rozwoju nie kończą się na człowieku, lecz istnieje szczebel wyższy: Nadistoty...

Trzeba, choć w paru zdaniach, podać zasadnicze cechy tej, naprawdę interesującej, hipotezy:

W pozornym chaosie licznych form życia, jakie występują na Ziemi, wyodrębnić możemy kolejne jego generacje i nadać im odpowiednie nazwy. Generacja tzw. zerowa — czyli chemiczna, obejmuje świat minerałów, generacja pierwsza — czyli botaniczna, świat roślin, generacja druga — czyli zoologiczna, zwierzęta, generacja trzecia, czyli psychologiczna — obejmuje umysły ludzkie. Przy drugim oraz trzecim szczeblu życia stwierdzić należy — pisze Wiśniewski — że pod łącznym określeniem „człowiek" rozpoznać można dwa zasadnicze odrębne indywidua: istotę niższą tj., organizm zwierzęcy (ludzkie ciało z jego mózgiem) oraz istotę wyższą — umysł człowieka (jego jaźń). Za możliwością dokonania takiego podziału przemawia fakt, iż życie psychiczne da się odróżnić od życia fizjologicznego, przy czym świadomość człowieka jest niepodzielna, w takim samym znaczeniu jak niepodzielne jest jego ciało.

Stanowi to swego rodzaju rewelację: Wiśniewski wyodrębnia umysł człowieka jako osobną istotę i zalicza ją do wyższej (nieznanej na razie) generacji. Ale idzie jeszcze dalej twierdząc, że na tym (to jest na generacji trzeciej) nie kończy się łańcuch ewolucji. Istnieje szczebel wyższy: generacja czwarta, którą, z braku innego określenia, nazywa Nadistotami. Być może, istnieje jeszcze generacja piąta i tak dalej... A oto fragmenty jego wywodów:

„...Wiemy (...), że najbardziej w przestrzeni pospolita jest próżnia, która tworzy prawie cały Wszechświat, w niej zaś z kolei materia skupiona w postaci związków nieorganicznych — już rzadkość w powszechnej pustce. Ta ostatnia byłaby więc zerową generacją bytów, gdyż wiadomo skądinąd, że materia bez przestrzeni nie może w ogóle istnieć. Dalej mamy pierwszą generację (...) osobliwość materii zorganizowaną w roślinach, których masa (w stosunku do masy ciał nieorganicznych całego Wszechświata) jest znikoma. (...) Kolejnym odstępstwem od poprzedniej normy (...) są we Wszechświecie żywe ciała zwierząt — druga generacja według naszego podziału. Lecz jeszcze w tej postaci materii natura nie znalazła swego absolutnego rekordu, gdyż mamy znacznie wyższy stopień zorganizowania (...) najbardziej nieprawdopodobny ze znanych nam dotąd stanów materii: ludzkie umysły. (...) To jest właśnie ów potęgowy ciąg, w którym ilość przechodzi w jakość. Dostrzegamy na każdym szczeblu nieunikniony fakt, że dana generacja bytu (faza materii) może utrzymać się (istnieć) wyłącznie na materiale energetycznym generacji poprzedniej w szeregu. Łatwo teraz zauważyć, jak potęgują się trudności „pokarmowe" wraz ze wzrostem stopni konsumpcyjnych według krzywej wykładniczej"...

Wiśniewski podbudowuje swoją hipotezę zasadniczym stwierdzeniem, iż żadna generacja nie postrzega bezpośrednio organizmów generacji nadrzędnej. Tak więc minerały nie postrzegają roślin, te nie postrzegają zwierząt, które z kolei nie postrzegają umysłów ludzkich. Zwierzęta na przykład widzą nasze ciała właśnie dlatego, że ciało człowieka należy do generacji zoologicznej. Żadne zwierzę nie postrzega jednak istoty generacji psychologicznej, czyli umysłów ludzkich, bowiem postrzegać umysł, to wejść do obcej świadomości i śledzić w niej przebieg wszystkich myśli.

Bardzo ważne jest także, iż brak odpowiednich zmysłów pozwala każdej istocie sądzić, że jej generacja zajmuje najwyższe piętro w gmachu ewolucji. Co prawda istota hodowana (lub uprawiana) może dostrzegać efekty działalności generacji wyższej (dla niej właśnie stanowiącej Nadistoty!) lecz nie odróżnia tych efektów od zjawisk, które zalicza do naturalnych.

Ponad człowiekiem, to jest ponad umysłami ludzkimi znajduje się wyższy szczebel rozwoju — to właśnie owe Nadistoty!

Czym, a raczej kim, są te Nadistoty? Na pytanie to nie będzie odpowiedzi. Zgodnie bowiem z podanymi powyżej regułami, nie możemy postrzegać owych Nadistot, czwartej generacji ewolucji. Nigdy Ich nie zobaczymy.

Oznacza to, że nigdy Ich nie określimy, nie poznamy, nie zdefiniujemy. Oznacza to również — pisze Wiśniewski — że:

„...Żaden człowiek (...) nikt dosłownie z naszej (trzeciej) generacji, nie uwierzy w Nadistoty (...) Szokuje nas myśl, że nie jesteśmy we Wszechświecie najważniejsi. Jest to problem nie fizyki, ale ambicji, do którego żadna nauka ani jej argumenty nie mają dostępu. Detronizując siebie samych w hierarchii bytów, wywołujemy we własnych umysłach taki sam szok, jak ongiś wywołał Kopernik swoją krytyką systemu geocentrycznego"...

Długo jeszcze można by tu cytować i analizować poszczególne elementy teorii Wiśniewskiego. Ale brak na to miejsca. Spróbujmy więc podsumować. Ujmując rzecz w kolejnych punktach, Teoria Względności Życia obejmuje następujące stwierdzenia:

— Szereg generacji życia jest ciągły.

— Każda istota opiera swój byt na przemianie materii zorganizowanej w generacji własnej lub o jeden stopień niższej w szeregu.

— Żadna istota nie postrzega swej nadistoty.

— Brak odpowiednich zmysłów pozwala istocie sądzić, że jej generacja zajmuje najwyższe piętro w gmachu ewolucji.

— Istota hodowana lub uprawiana może postrzegać efekty działalności swej nadistoty lub ponadistoty, lecz nie odróżnia tych efektów od zjawisk, które zalicza do naturalnych.

— Ewolucja świata organicznego doprowadzi w przyszłości do powstania na Ziemi kolejnych generacji życia, przy czym istoty, które wyłonią się z generacji psychologicznej i zajmą kiedyś czwarty szczebel na drabinie życia, będą nadistotami w stosunku do umysłów ludzi naszej epoki.

— Nie możemy wykluczyć przypadku, że kiedyś — w dalekiej przeszłości powstała już raz na Ziemi czwarta generacja życia. Gdyby jej przedstawiciele egzystowali teraz obok nas (równolegle z roślinami i zwierzętami), nie moglibyśmy ich zobaczyć ani odróżnić efektów ich działalności od zjawisk naturalnych.

— Nie ma podstaw do twierdzenia, że życie rozwija się tylko na naszym globie; gdzie indziej ewolucja mogła wcześniej doprowadzić do powstania wyższych organizmów. Istoty z czwartej lub piątej generacji mogły już dawno przybyć na Ziemię, lecz nie podejmują one żadnej próby kontaktu z nami, gdyż porozumienie między istotami, które należą do dwu różnych generacji, jest — co widzimy na niższych szczeblach — całkowicie niemożliwe.

* * *

Należy sądzić, że Czytelnicy podzielą się na dwa „wrogie" obozy: zwolenników i przeciwników istnienia Nadistot. Ci ostatni szermować będą przede wszystkim argumentem antropocentrycznym. Zawsze nam przecież tłumaczono, iż jesteśmy „koroną stworzenia", jak więc mamy teraz zejść z tego „piedestału"? I to przyjmując istnienie jakichś mitycznych Nadistot, których nikt nigdy nie widział... Eksperymentalnie niesprawdzalne? Więc nie istnieje!

Natomiast dla zwolenników teorii Wiśniewskiego będzie chyba pasjonujące, że — w najgłębszej rzeczywistości — jesteśmy tylko jednym z ogniw łańcucha ewolucji, który rozciąga się w nieskończoności zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Może tak właśnie brzmi pewien fragment prawdy o Wszechświecie, prawdy, której ciągle szukamy?...

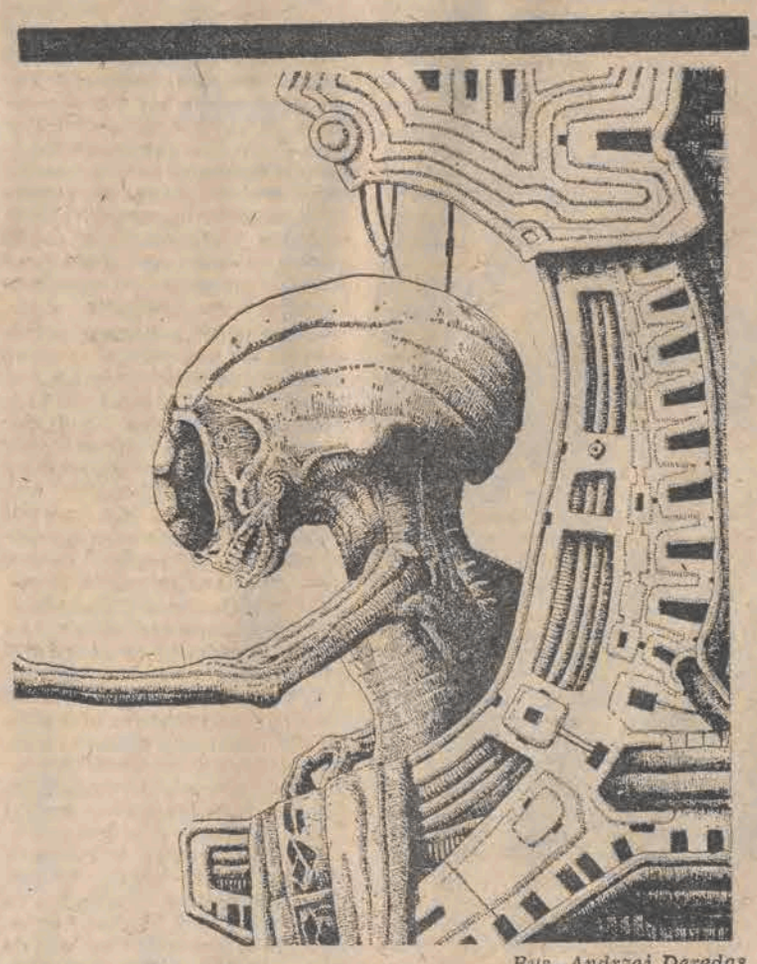

Rys. Andrzej Deredas

Kronika

W dzisiejszym wydaniu Kroniki prezentujemy działalność zaprzyjaźnionych z Łódzkim Klubem Fantastyki podobnych klubów w Pradze i Wołgogradzie.

* Klub SF przy Związku Studentów Uniwersytetu w Pradze jest najstarszym klubem w Czechosłowacji, ale liczy sobie dopiero 4 lata. Grupuje głównie studentów i asystentów Wydziału Matematyczno-Fizycznego, co w dużym stopniu wpływa na zakres zainteresowań i przedsięwzięć jego członków. Spotkania klubowe odbywają się co dwa tygodnie i wypełniają je dyskusje na tematy związane z literaturą SF oraz takimi zagadnieniami, jak paleoastronautyka, psychotronika, i in. Klub szczyci się zorganizowaniem biblioteczki literatury fantastyczno-naukowej oraz organizowaniem cyklicznych, dorocznych, ogólnokrajowych konkursów literackich.

Ponieważ Klub nie posiada stałego adresu korespondencję z ewentualnymi pytaniami dotyczącymi działalności praskich fanów kierować można pod adresem:

Jaroslav Olša
Bolivarowa 18/2076
169 00 Praha 6, Czechosłowacja.

* Wołgogradzki Klub Miłośników Fantastyki „Powiew czasu" powstał 19 listopada 1981 roku. Działa przy współpracy z tamtejszym oddziałem Towarzystwa Miłośników Książki oraz Centrum Młodzieżowym. Na cotygodniowych spotkaniach członkowie Klubu zajmują się pracą w sekcjach: literatury, bibliograficznej, kontaktów, młodzieżowej i innych. W miejscowej gazecie Klub redaguje stronę poświęconą literaturze SF i informacjom o działalności miłośników fantastyki.

W początkach listopada, ubiegłego roku odbyło się w wołgogradzkim klubie uroczyste, setne spotkanie. Wypełniły je okolicznościowe gry i quizy science-fiction, loteria fantowa oraz fantastyczna... dyskoteka.

Osoby pragnące dowiedzieć się trochę więcej mogą pisać pod adresem:

400066, Wołgograd-66, Gławpocztamt, ZSRR,
WKLF „Wietier wriemieni",
Boris Aleksandrowicz.

Opracował:
M. M. MUROWANIEC

1 Spojrzenie znad szachownicy

Wariant wyrównawczy

Niniejszy tekst jedynie w stopniu umiarkowanym będzie dotyczył szachów, w których — jak przyobiecałem — zamierzam czytelników wyszkolić. Wstęp poczynimy wszakże profesjonalny, w szachach bowiem niezbędne jest wprawdzie liczenie (raczej wariantów niż pieniędzy, choć wielcy mistrzowie — jak Fischer chociażby — opanowali świetnie jedno jak i drugie), ale w wyższym jeszcze stopniu potrzebna jest wyobraźnia.

Wszystkiego przeliczyć się nie da, ilość pozycji możliwych do wytworzenia na szachownicy jest tak astronomicznie wielka, że najnowocześniejsze komputery gotowe się nią zadławić i dlatego wciąż jeszcze bezradnie przegrywają z człowiekiem. Człowiek przewyższa je wyobraźnią, widzi wprawdzie, że może zabrać partnerowi jednego czy nawet dwa pionki, po czym tak zaraz, natychmiast, nic mu niby nie grozi. Zarazem figury przeciwnika zyskują swobodę ruchów, wieże wchodzą na otwarte linie, gońce na wolne diagonale, no i rozsądny szachista macha ręką na te zakichane pionki, bo w dalekiej perspektywie łapczywość doprowadziłaby go do porażki.

2.

Ministerstwo Finansów pokusiło się jednak na te parę *marnych pionów*, czy parę *milionów równie marnych złotówek*, wprowadzając tak zwany podatek wyrównawczy, który — *dla zachowania jednolitości terminologicznej* — nazwiemy *wariantem wyrównawczym*.

Wariant wyrównawczy w bliskiej perspektywie przynosi parę wymiernych korzyści: przykręca nieco kurek z pieniędzmi wypływającymi na rynek, daje pewne — bardzo zresztą nikłe — dochody Skarbowi Państwa, czyni też zadość poczuciu sprawiedliwości społecznej, w myśl którego najlepiej sytuowani w większym niż inni *stopniu powinni* dźwigać ciężar kryzysu.

W dalekiej perspektywie jest to jednak wariant przegrany, oddala bowiem wyjście z kryzysu, miast je przybliżać. Kryzys opanujemy bowiem nie wtedy — co zgodnie poświadczają wybitni ekonomiści — gdy wszyscy będziemy mieli równie mało pieniędzy o znikomej sile nabywczej, lecz wtedy, gdy na rynku będzie wystarczająca ilość towarów.

A któż te towary ma produkować, kto wdrażać ma nowe rozwiązania techniczne, jeżeli jednostki najbardziej dynamiczne i uzdolnione zniechęca się do pomnażania swoich dochodów — a więc zwiększania wydajności i wykonywania mało popularnej pracy myślowej — natomiast zachęca (acz, przyznaję, nigdy głośno nie było to powiedziane) do realizowania się na innej niźli państwowa niwie, gdzie wspomniane dochody równie łatwo można uzyskać, co ukryć?

3.

Tu pozwolimy sobie na małą dygresję oraz powtórkę z rachunków. Prasa doniosła — a wiadomość ta była gęsto przedrukowywana — że w krakowskim bodaj sklepie kuśnierskim pojawiły się futra z norek po 1 milion 300 tysięcy i 1 milion 100 tysięcy sztuka. Poszły jak woda w trzy godziny, pod sklepem zaś — jak przypuszczam — czekał prokurator w towarzystwie milicjanta, pracownik Urzędu Skarbowego i wysoki urzędnik miejski.

Taką sumę można bowiem ukraść bądź zdobyć na podejrzanych spekulacjach (wówczas potrzebni są prokurator i milicjant), wykołować w intratnych gałęziach rzemiosła, czy w badylarstwie (kłania się Urząd Skarbowy), ewentualnie ugrać w piłkę nożną (wówczas wysoki urzędnik powie „przepraszam" i odwiezie mistrza do domu), lecz zarobić jej nie sposób.

Nawet najwyżej kwalifikowany fachowiec — powiedzmy wybitny chirurg z tytułem profesorskim — jeżeli nie przyjmuje „kopertówek", ani też nie przywozi dolarów z zagranicy, podobnych pieniędzy nie uzyska nigdy, tu bowiem sięgamy po stosowną tabelę i znajdujemy w niej taką informację.

Pamiętając, iż 300 tysięcy w skali rocznej wolne jest od podatku wyrównaczego, od zarobionej sumy 840 tysięcy złotych zapłacimy 282 600 złotych podatku oraz 75 procent od kwoty ponad 840 tysięcy.

Teraz proszę policzyć, ile lat musi pracować nasz wybitny chirurg, aby — nie jedząc nie paląc, a także nie płacąc czynszu — zarobił na czysto milion trzysta tysięcy i jeszcze parę złotych na tramwaj, którym futro do domu dowiezie.

4.

Nie jestem aż tak wybitny, dlatego w futrze z norek nie chodzę i chodzić nie będę (zresztą — jak sądzę — w norkach nie byłoby mi do twarzy, nadto strach, że mordę obiją i ten milion z karku zedrą), przepowiadam jednak z ręką na sercu, że każdy kto ma jakąkolwiek smykałkę do czegokolwiek, będzie z tak pomyślanego podatku wyrównawczego uciekał.

Ministerstwo powiada wprawdzie, że w kapitalizmie też płaca podatki i choć społeczeństwo narzeka, to jakoś z tym przecież żyje. Prawda to, ale tam mamy nadprodukcję i nadmiar rąk do pracy, u nas zaś — jeśli się tylko nie mylę — mamy za małą produkcję i dotkliwy brak siły roboczej.

Koledzy z „Odgłosów" też marudzili, że materiałów im *brakuje i czemu niby felietonów nie pisze. Właśnie dlatego* — w 1983 roku dosyć już różności napisałem (za co mi zapłacono, a potem zabrano w części), że całą grudniową produkcję postanowiłem odłożyć sobie na rok 1984. Zaczynam też pisać powieść — w śmiałym zamierzeniu: genialną — ale jako człowiek roztropny schowam ją głęboko do szuflady...

JERZY P.

2 Lewym okiem

Zamiast horoskopu na rok 1984

Tradycją prasy było od wielu dziesiątków lat snucie około Nowego Roku przewidywań na zbliżający się rok. Moment zmiany kalendarzowej wydawał się najodpowiedniejszym do tego, aby podsumować zaszłości kończącego się okresu i wyciągnąć z nich wnioski na następny cykl słoneczny, następne dwanaście miesięcy.

Bieżąca prasa tegoroczna również pełna jest prognoz i przypuszczeń, komentowania planów co do ich realności, oceniania perspektyw, szans i niebezpieczeństw, z jakimi przyjdzie nam się borykać.

Spośród rozlicznych, nader rozmaitych, a często wręcz ze sobą sprzecznych horoskopów nie znajdzie się na pewno ani jeden, który by się zrealizował nieomylnie, w stu procentach. Czytelnicy starsi wiekiem pamiętają zapewne inżyniera Stefana Ossowieckiego, który przed wojną przeprowadzał liczne zdumiewające seanse z odgadywaniem treści zapieczętowanych listów, losów osób wcale mu nie znanych i tak dalej. Był zapraszany na dwory panujących i do gabinetów najwybitniejszych mężów stanu. Mussoliniemu przepowiedział zajęcie w 1938 roku Abisynii, odnajdował zagubione cenne rzeczy, a „Przekrój" w pierwszych latach pięćdziesiątych przypomniał zjawienie się jasnowidza w dwóch odległych od siebie miejscach jednocześnie. Otóż w grudniu 1938 roku Ossowiecki zorganizował coś w rodzaju konferencji prasowej, podczas której przedstawił swoją wizję świata na rok 1939. Oddajmy głos wieszczowi, cytując za tygodnikiem „Kronika Polski i Świata" z 25 grudnia 1938 r:

„Rok 1939 będzie rokiem niespodzianek i zmagań, ale w Polsce będzie najspokojniej. W Niemczech ferment na tle ekonomicznym, stąd pozorne uspokojenie, jeśli chodzi o politykę zagraniczną. Lecz już za 6 miesięcy wypłynie sprawa kolonii, budząc gwałtowne echa. Polsko-węgierska granica przybliży się. Polska podtrzyma Węgry. Będzie to jedno z donioślejszych posunięć w polityce światowej. Włosi w ciągłym ruchu. Napięte stosunki z Francją. Możliwość zbrojnych starć. Mimo to do wojny nie dojdzie. Anglia nie dopuści i pogodzi ich. Nadal będzie strażnikiem pokoju w 1939 r. O Czechosłowacji zapomni się, bo inne sprawy zaprzątną umysły. W Rumunii źle. Coś w rodzaju rewolucji. Śmierć nieubłagana krąży. Na Litwie cisza. W Austrii niepokój wewnętrzny. Cały świat będzie się zbroić intensywnie, z niebywałą energią, w przeczuciu zbliżających się groźnych chwil. Będzie to kulminacyjny punkt przysposobienia wojennego. W Ameryce sytuacja niepewna. Zachwianie się stanowiska Roosevelta. St. Zjednoczone nie będą mogły zajmować się sprawami Europy, bo je zaabsorbują wewnętrzne konflikty. Najtrudniejsze chwile przeżyje Rosja. Bunty włościańskie, dyktatura wojskowa. Hitler pragnie za wszelką cenę dostać się do Rosji, do Ukrainy, przez Rumunię. Rumunii grożą gwałtowne wstrząsy i zamachy. Dalszy zwycięski pochód Japończyków, Władywostok zagrożony. Z powodu Ukrainy ruch militarny w Niemczech. Wojna na włosku. Ale Polska ujdzie szczęśliwie z opresji. Nie dojdzie do utworzenia samodzielnej Ukrainy.

Konsolidacja prześladowanych Żydów doprowadzi do powstania państwa żydowskiego w Rosji, w okolicach Donu, z prezydentem na czele. Polska zajmie jedno z przodujących miejsc w Europie."

No cóż — nie sprawdziło się z tego nic. Ossowiecki podtrzymał jednak legendę swego jasnowidztwa: na tym samym spotkaniu redaktor Ciechanowiecka wręczyła mu zapieczętowaną kopertę ze zdjęciem i listem w środku. Ossowiecki oświadczył bez namysłu: „Ten człowiek nie żyje. Zabili go. Widzę go jak umierał..." Był to list Zelea Codreanu, zamordowanego właśnie w Rumunii przywódcy faszystowskiej Żelaznej Gwardii. Ossowiecki opisał szczegóły, które potwierdzili potem świadkowie rumuńskich wydarzeń.

„Kurier Warszawski" w tym samym czasie zapytał kilku pisarzy, co sądzą o tym, „jak to będzie za dwadzieścia lat?" — czyli w roku 1958. Wacław Grubiński odpowiedział: *„Na obszarze politycznym nic się nie zmieni. Będziemy wciąż w przededniu wojny. Poznamy nareszcie drugą półkulę księżyca, po czym będziemy się bardzo dziwić, że nam tak na tym zależało..."*

A Kornel Makuszyński stwierdził, że za dwadzieścia lat *„wino nadal wyrabiane będzie z buraków i siarki, chleb z zakalca, kawa z żyta, śmietana z mąki, a serdelki z wyścigowych koni..."*

Okazuje się więc, że pisarze bliżsi byli prawdy niż sławny w całej Europie jasnowidz.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Zdarzenia i zwierzenia

Alina

Od jakiegoś czasu nazywają Alinę „pierwszą damą monachijskiej rozgłośni". Rzeczywiście — przejęła pałeczkę po Trościance i Perzanowskim — jest inteligentna i błyskotliwa, obdarzona niewątpliwym talentem dziennikarskim.

Nie mogę o niej pisać „niejaka Alina Grabowska", bo znam ją od dawna, znałem ją zanim jeszcze osobiście poznałem. Studiowała polonistykę razem z moją — nieżyjącą już kuzynką — w latach pięćdziesiątych. Wtedy to po raz pierwszy usłyszałem o Alinie w związku z tajemniczą śmiercią koleżanki z roku, która utonęła w wannie w mieszkaniu Aliny Grabowskiej. Nie znam szczegółów, ale mówiło się wówczas o tym u nas w domu.

Potem poznaliśmy się na polonistyce w Łodzi. Studiowała wyżej — bodaj z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem czy Bohdanem Drozdowskim — w każdym razie kończyła już studia, gdy ja zaczynałem. Ale obracała się w kręgu STS „Pstrąg", stąd bliższa znajomość. Nigdy jednak nie zażyłość — wątpię zresztą, czy miała prawdziwych przyjaciół. Doceniam jej inteligencję, jej praca magisterska o Witkacym, drukowana później w „Dialogu" była na pewno powyżej przeciętnej zwykłych, tuzinkowych prac magisterskich. Ale trudno ją było lubić.

Cechował ją tupet, arogancja, skłonność do intryg. Przez parę lat pracowaliśmy — drzwi w drzwi — w redakcji „Głosu Robotniczego". Pisała o filmie i telewizji — miała silnie rozwinięte poczucie własności swojej dziennikarskiej „działki". Nawet jeśli sama nie podejmowała wielu interesujących tematów z tego zakresu, urządzała dzikie awantury, jeśli ktoś wkroczył na jej teren choćby maleńką notatką.

Nie wiem, jak wygląda dziś naprawdę. Prezentowane w telewizji zdjęcia przedstawiają rzeczywiście damę. Być może tak wygląda — ja pamiętam ją w wyszmelcowanej, zamszowej kurtce, otyłą, krzykliwą kobietę.

Nie pamiętam, żeby w ogóle interesowała ją polityka czy jakakolwiek ideologia. Owszem, interesowali ją bardzo zagraniczni studenci, którzy w tamtych latach zaczynali coraz liczniej pojawiać się w łódzkim pejzażu. To szczególne zainteresowanie było zresztą przedmiotem dowcipów i plotek w środowisku, ale przypisywano je niewątpliwemu temperamentowi Aliny. Ale może było w tym i coś innego?

O dyrektorze „Wolnej Europy", Zdzisławie Najderze, opowiadają, że tu w Polsce sprawiał wrażenie roztargnionego naukowca, który sam sobie nie potrafi zawiązać sznurowadeł. Nie należał do żadnych opozycyjnych grupek, nie podpisał nigdy żadnego listu protestacyjnego... Był jednak kadrowym pracownikiem amerykańskiego wywiadu.

Czy całkowicie apolityczna Alina też uprawiała swoistą mimikrę, kiedy w lekko skandalizującej aurze penetrowała środowisko zagranicznych studentów? O tym wie tylko ona sama.

Nie cieszyła się sympatią otoczenia. Wiem, że łatwo to dziś napisać, kiedy z każdego jej zdania zieje nienawiść, kiedy z całym cynizmem i całą inteligencją przekręca fakty, wymyśla zjadliwe dowcipy... To prawda, że zadziwiająco szybko otrzymała obywatelstwo amerykańskie i status pracownika CIA. Ale może jej losy wyglądałyby inaczej?

Nie wiem. Może dopiero stając przed koniecznością wyboru jakiejś egzystencji w izraelskim kibucu, albo sprzedania swojej inteligencji i talentu za cenę sławy, pieniędzy i paszportu USA — wybrała to drugie? Jeśli tak — to jej wybór jest subiektywnie ludzkim wyborem, choć obiektywnie jej działalność, ożywiana nienawiścią do Polski, jest robotą szczura. Przecież nie wszyscy uciekli z okrętu, który zdawał się tonąć — i nie wszyscy, którzy uciekli, zbudowali sobie kapliczki z nienawiści.

Alina dokonała wyboru, który był dla niej najwygodniejszy.

Wszystko, co nastąpiło potem, było już tylko konsekwencją owego wyboru. Tak to mogło wyglądać, choć oczywiście mogło być także inaczej. Może do swojej dzisiejszej pracy Alina przygotowała się już wcześniej, jeszcze w Polsce?

W gruncie rzeczy nie jest to istotne. Za parę lat nazwisko Aliny zniknie z eteru, najwierniejsi słuchacze „Wolnej Europy" zapomną o niej, jak zapomnieli o Mieczkowskiej, Perzanowskim, Trościance...

To dziwne — nigdy jej nie lubiłem, a jest mi jej żal. Decyzja emigracji Aliny — chociaż jej własna — obciąża także konto meandrów naszej polityki. Ale decyzja co do sposobu życia na emigracji — godnie czy wygodnie — obciąża już tylko jej własne konto. A jest to konto ani polskie, ani amerykańskie — tylko zwyczajnie — bankowe.

JERZY WILMAŃSKI

4 Sport

Gdzie te kobiety?

Piszę felieton, którego nie powinnam napisać. Taki felieton powinnam napisać tylko wówczas, gdybym była mężczyzną. Ale jestem kobietą, a mężczyźni milczą. Muszę więc ich zastąpić. Niestety, panowie, taka jest gola prawda.

Oto bowiem nadeszła wiadomość, że Małgorzata Gospodarczuk z Mierzyna została sprzedana do Dąbrowy Górniczej. Nie, proszę się nie niepokoić, to nie jest handel żywym towarem. To się dziś nazywa transfer. Można było sprzedać Dariusza Dziekanowskiego z Warszawy do Łodzi, można i Małgorzatę Gospodarczuk sprzedać z Mierzyna do Dąbrowy Górniczej. On i ona mają bowiem coś wspólnego: kopią piłkę. Dzieli ich natomiast płeć i... wysokość transferu. Za Dariusza Dziekanowskiego RTS Widzew zapłacił 21 milionów zł, za Małgorzatę Gospodarczuk Zagłębianka zapłaciła tylko ćwierć miliona złotych. Ale transfery w piłce nożnej kobiet dopiero się zaczynają. Również zagraniczne. Polki grają już w zagranicznych klubach, między innymi we Francji i RFN.

Gdzie te kobiety? Te, które omdlewały z lada powodu, a często i bez powodu. Zwiewne, poetyczne, eteryczne. Dziś na ulicy trudno czasem chłopca odróżnić od dziewczyny. Okazuje się, że nie tylko na ulicy. Na boisku piłki nożnej również. Oto Michał Strzelecki — mężczyzna przecież — pisze w „Expressie Ilustrowanym", że są wprawdzie ludzie, którzy uważają, że piłka nożna nie jest dla „płci pięknej" — nie wiem, dlaczego oba te wyrazy wziął w cudzysłów, czyżby kobiety mu się nie podobały? — „ale życie płynie naprzód, ich głosy się nie liczą". Proszę bardzo!

Okazuje się — o czym uświadomił mnie Michał Strzelecki — że jest I liga kobiecej piłki nożnej, a występuje w niej 7 zespołów. Mistrzem Polski jest drużyna z Pafawagu we Wrocławiu. Dziewczęta z Pafawagu grające w piłkę nożną mają zapalonych kibiców i na ich meczach jest więcej ludzi niż na meczach trzecioligowych drużyn. Sympatyk piłki nożnej kobiet — Stanisław Pomykała twierdzi, że na tych meczach emocji nie brakuje, dziewczęta „grają ambitnie, ostro, twardo, czasem nawet brutalnie". Gole padają często, dziewczęta również, a sędzia często sięga do kieszeni po żółte i czerwone kartki. Najwięcej goli strzeliła Iwona Zienkiewicz, bo 31. U chłopaków nazywa się takiego królem strzelców. A u dziewcząt? Królową strzelczyń? Ach, gdzie te kobiety, co były dawniej?

Jak wiadomo polskie siatkarki słabo wypadły na mistrzostwach Europy. Dobrze, że się w ogóle tam zakwalifikowały, bo znam pewnych chłopców, którym się to nie udało. A chodziło też o mistrzostwa Europy. Ponarzekano sobie trochę i teraz wszyscy mają nadzieję, że uda się im dostać na mistrzostwa świata. Ba, w tym celu zafundowano im nawet wycieczkę do Indii. Natomiast nad dziewczętami, w Polskim Związku Piłki Siatkowej odbyto coś w rodzaju sądu i postanowiono: 1. nie płacić pieniędzy związkowych od kwietnia 1984 roku, 2. nie wyrażać zgody przez dwa lata na wyjazdy zagraniczne do tamtejszych klubów, 3. odwołać kontakty zagraniczne reprezentacji, 4. nie wyrażać zgody na zmianę barw klubowych przez dwa lata. W rezultacie zlikwidować wszelkie kontakty zagraniczne polskich siatkarek. Zdzisław Ambroziak skomentował taką decyzję w „Sportowcu" w następujący sposób: „Jedyne, co potrafię powiedzieć o tych decyzjach, to że będą niewątpliwie przykre dla siatkarek, natomiast nie będą miały żadnego wpływu na podniesienie poziomu gry". Gdzież ci mężczyźni, którzy w obronie kobiet gotowi byli skakać w ogień?

Sądzę, że metoda zastosowana przez działaczy PZPS może mieć szersze zastosowanie. Na przykład centrali handlu zagranicznego nie udaje się transakcja. Co robi. Obraża się i zaprzestaje wszelkich kantaktów z zagranicznymi kupcami. PZPN po nieudanym starcie piłkarzy w eliminacjach do mistrzostw Europy też powinien zakazać wyjazdów zagranicznych i startu w mistrzostwach świata. Fabryka, której produkcji nikt nie chce kupować rażno powinna zamurować bramy wszelkie i odgrodzić się od świata. W każdej dziedzinie można zastosować taką wspaniałą metodę. Wkrótce wrócimy galopem gdzieś do początków XIX wieku, a może uda się jeszcze dalej.

Dlaczego więc inni nie naśladują działaczy z PZPS? Ano, bo oni byli tacy odważni tylko w stosunku do dziewcząt. Gdyby tak PZPN, albo PZB zastosowali tę metodę wobec chłopaków, to mieliby się z pyszna. Chłopaki nie pozwalają sobie dmuchać w kaszę. A my, kobiety?

Ech, czy nie lepiej było mdleć z byle powodu, a i bez powodu również?

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego), Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański (grafik), Paweł Tomaszewski, Łucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zaidler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. A. Mickiewicza 11, kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji 36-80-99 Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. WARUNKI PRENUMERATY: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa—Książka—Ruch"; 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Wydawca: [illegible] RSW „Prasa—Książka—Ruch" [illegible] ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: [illegible] Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Sam. 11. E-4.

JACEK SAWASZKIEWICZ

3

Kronika Akaszy. Tom IV Powtórka z Apokalipsy

(fragment powieści)

16.

Tak więc plan kandydata prezydenckiego Harolda Ballena został przeprowadzony i powiódł się znakomicie. Jeden z trzech stojących na lotnisku pod Chicago śmigłowców, w którym znajdowała się Rosalynn, opiekuńcza mamcia oraz dwaj gorvle: Lee Donker alias Kruszynka i Mathews White alias Byk, jakiś ekspert od reklamy, jakiś menażer steward i pilot, wzbił się w powietrze uniesiony podmuchem wytworzonym przez dwanaście funtów eksplodującego plastyku. Kiedy śmigłowiec ten opadł z powrotem na pas startowy, przy czym niektóre jego części opadły także na przyległe do lotniska łąki, Harold Ballen tkwił na La Salle Street, w korku ulicznym, spowodowanym przez demonstrujących zwolenników Wallace'a T. Staffórda.

Kandydat prezydencki Harold Ballen, mówiąc językiem torów wyścigowych, pokonał ostatnią przeszkodę i wyszedł na ostatnią prostą. Prowadził o pół długości przed Staffordem.

Wynik wyborów był przesądzony.

17.

I z tą wiadomością pojechałam z Markiem na proszoną kolację do państwa Martinów. Dana jednak nie interesował wynik wyborów. Oboje wiedzieliśmy, że Harold Ballen w moim hipnotycznym świecie zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych. Dana interesowały głównie implikacje tego faktu.

Jego żona, Mari, podała nam chinowy aperitif i stanęła obok ze swoją szklaneczką. Byliśmy w podziemiach domu, nowego nabytku państwa Martinów. Dan wmówił sobie i nam, że absolutnie koniecznie chcemy go zwiedzić od strychu po fundamenty i oprowadzał nas po nim przez godzinę jak pełen inwencji kustosz, który objaśnia, gdzie rozmieścić zamówione eksponaty będące już w drodze. Wreszcie dotarliśmy do tej części piwnicy. Tutaj zabrakło Danowi dobrych pomysłów, więc po rozwlekłym podsumowaniu swoich projektów skierował uwagę na gości. Na początek wziął się za mnie. Wciąż miał mi za złe, że nie pracuję jak maszyna rotacyjna i rozwodzę się Bóg wie nad czym.

— Dan — powiedziałam — przysięgam uroczyście, że się poprawię. Jestem dopiero we wrześniu, ale teraz ruszę na skróty. Zrobię tygrysi skok aż do czerwca przyszłego roku, w sam wir zdarzeń.

— Świetnie. Wielki tygrysi skok.

— Dziewięciomiesięczny — powtórzył Dan z zadowoleniem. — Daruj sobie epicki obiektywizm. Dbałość o sprawiedliwe ukazanie wszystkich obliczy świata to obowiązek historyków. Tylko, Anetto, zachowaj czujność. To jednak dziewięć miesięcy.

20.

Na górze rozdzieliliśmy się. Panowie bez zwlekania obsiedli barek, za który Dan Martin wkroczył podwijając rękawy. Panie skupiły się w salonie, by opowiedzieć sobie kto z kim, gdzie i kiedy oraz kto, ile, skąd i jak. Mari i ja poszłyśmy do kuchni.

Naczynia były przygotowane, sztućce także. Na podłużnym stole do przyrządzania posiłków leżały paczki, paczuszki, kartony i torby papierowe. Należało te garmażerkę tylko rozpakować, wyłożyć na półmiski i zawieźć do salonu.

— Nie przejmuj się tymi radami Dana — powiedziała Mari i szerokim kuchennym nożem przecięła kolorowy sznurek na paczce owiniętej firmową bibułką. — Kiedy zaczyna mówić o sprawach zawodowych, staje się po prostu nie do zniesienia.

— Nie, nie przejmuję się. To mnie dopinguje. I cenię sobie jego wskazówki. Ale on wymaga ode mnie rzeczy niemożliwych.

Zrywając przezroczystą folię zakrywającą pojemnik z wędliną pokrojoną w równe plasterki Mari potrząsnęła głową, jakby chciała powiedzieć: „Wiem, wiem".

21.

— Nie mogę naświetlić wszechstronnie tła społecznego — tłumaczyłam. — To przerasta moje możliwości. Moi opiekunowie pozwalają mi obserwować tamtą rzeczywistość tylko w wąskim zakresie.

— Nie przejmuj się. — Mari zdjęła opakowanie z celuloidowej paczki. — Jemu nie chodzi o tło społeczne. Całe tło społeczne to dla niego wątek Jane. Gwiżdże na to, co Ballen nawyprawiał w twoim hipnotycznym świecie. Zależy mu jedynie na tym, żebyś nie spuszczała celownika z tej dziewczyny. Ma z jej powodu kłopoty.

— Z powodu Jane Biorne?

— Wybuchł skandal wokół tej „Inicjacji". Jacyś krewni sierżanta Corna uznali ten tekst za haniebną potwarz i wnieśli oskarżenie. Przyłączył się do nich adwokat Sorettów. To dobrane towarzystwo zażądało trzech milionów dolarów odszkodowania.

Omal nie upuściłam półmiska.

— Co?

Mari zachichotała i odgarnęła włosy z czoła.

— Kiedyś próbowałam policzyć, ile to zer.

— Trzy miliony!

— Żyjemy w zabawnych czasach — powiedziała Mari z pogodą ducha. — Uganiamy się po wyprzedażach, bo każdy nasz dolar to kupa pieniędzy, cudze miliony mają mniejszą wartość.

22.

Mari wzięła na widelec odrobinę sałatki z homarów, powąchała ją nieufnie, włożyła do ust, po czym połknęła w skupieniu.

— Te frutti di mare z puszki — powiedziała krytycznie. — Jak nisko upadła Ameryka! Tylko Francuzi i może jeszcze Hiszpanie znają się na kuchni.

Nie wytrzymałam.

— Ale co wątek Jane w moich „Implikacjach" ma wspólnego z trzema milionami dolarów?

— Biedna dziewczyna. Komisja do spraw Quharfa nie znalazła jej ciała. Wysłali tam jakiegoś radiestetę. Był bezradny. Nie ma dowodów na to, że Jane została zamordowana przez Soretta i Corna na tej wyspie.

— I ja mam to udowodnić?

— Nie wiem, czy to w ogóle jest do udowodnienia. Dan chce chyba, żebyś przybliżyła czytelnikom tę dziewczynę. Żeby czytelnicy ją polubili. Mam nadzieję, że ludzie zainteresują się jej losem, że użalą się nad jej krzywdą. To by mogło mieć znaczenie, w razie gdyby doszło do procesu.

— Wcale nie jestem taka pewna, czy Jane z mojego świata zyska u czytelników współczucie. Zasady jej postępowania mogą budzić kontrowersje.

— Nie przejmuj się. — Mari wyjęła z kartonu płaski słoik, przyjrzała mu się i odstawiła go na stół kuchenny z hałasem.

— No i popatrz, psiakrew. Przysłali czerwony kawior. Mówiłam im dwa razy, że ma być czarny, niech się tak zwanym przypadkiem nie pomylą i nie przyślą czerwonego. No i popatrz.

Wspaniała Mari! Miałam ochotę ją ucałować. Wspaniała i niewzruszona. Ona teraz rzeczywiście nie była zdolna przejmować się sprawami zawodowymi swojego męża. Nic ją teraz nie obchodzili ani krewni Soretta czy Corna, ani ich abstrakcyjne żądania, ani też to, co się dzieje w moim hipnotycznym świecie. Teraz była gospodynią domową, urządziła przyjęcie i starała się, żeby wypadło ono pod każdym względem najlepiej. Jeżeli pracując w „Dutson Telegraph" z równym zaangażowaniem traktowała swoje obowiązki służbowe, to redakcja nie płaciła jej pensji za darmo.

33.

Ostatnie dwa miesiące roku wyborczego nie przyniosły niespodzianek. W pierwszy wtorek listopada odbyły się wybory, a w drugą środę grudnia desygnowani elektorzy przesłali wyniki głosowania do przewodniczącego Senatu. Także w grudniu prezydent-elekt Harold Ballen ogłosił listę nominacji ministerialnych i na konferencji prasowej wyjawił kierunki swojej działalności na najbliższe cztery lata.

ROZDZIAŁ IV
STYCZEŃ — MARZEC ROKU POWYBORCZEGO

1.

Zwiedzałam dom. Dom Jane Biorne.

Chodziłam po domu, który należał do Jane Biorne i poznawałam go zmysłami, które należały do Jane Biorne.

Ocknęłam się w moim hipnotycznym świecie tak jak poprzednio: na mosiężnym łóżku, w tej samej sypialni, przy dźwiękach tej samej atharvavedy. Tym razem byłam w lepszej formie. Odważyłam się wstać i nawet zwiedzić ten dom tchnący jeszcze zapachem pokostu, farby, kleju i świeżego drewna po niedawnym remoncie.

Oprowadzała mnie Laura Thomas. Robiła to zupełnie inaczej niż Dan Martin, kiedy chwalił się swoim nowo kupionym domem. Powoli, klarując mi cierpliwie, zapoznawała mnie z rozkładem pomieszczeń. Przemawiała do mnie przejęta i poważna, co nadawało jej słowom głębszej treści i przykuwało uwagę. Raz po raz odwracała się, by sprawdzić, czy słucham jej w skupieniu.

Pokazała mi swoją łazienkę i pokój wypoczynkowy i powiedziała, że jest to jej łazienka i jej pokój wypoczynkowy.

Pokazała mi obie łazienki dla gości i pokoje gościnne.

Pokazała mi salon, jadalnię, kuchnię i gdzie trzymają sztućce, zastawy, obrusy, ściereczki. Pokazała mi, gdzie stoi robot kuchenny, gdzie stoi mikser i gdzie stoi ekspres do kawy. Pokazała mi zawartość lodówek i pawlaczy.

Pokazała mi schowki na sprzęt domowy, bieliźniarki i szafy garderobiane.

Wręczyła mi książkę kucharską i powiedziała, że ulubione potrawy Jane są w niej podkreślone.

Powiedziała mi także o różnych innych upodobaniach Jane.

Pokazała mi wszystko — z pedanterią, w której było coś niesamowitego.

Potem wróciłyśmy do sypialni.

2.

— Zamyślałam wtajemniczać cię w to stopniowo — powiedziała Laura. — Ale czas nagli.

Byłam pod wrażeniem atmosfery, którą ona wytworzyła oprowadzając mnie po tym domu, i niczego nie rozumiałam.

Usiadłam na łóżku, Laura włożyła mi w dłonie filiżankę z napojem ziołowym i także usiadła na łóżku, po przeciwnej stronie.

— To ma jakieś znaczenie, prawda? — zapytałam. — Oprowadzałaś mnie po tym domu, jak nowo przyjęta gosposię.

— Och, przepraszam, kochanie. — Laura wyciągnęła rękę, siedziała jednak za daleko, żeby mnie dotknąć. — Przepraszam, że to tak wyglądało. To moja wina. Zrobiłam to niezręcznie.

— Macie miły, przytulny dom — powiedziałam.

I wtedy rozległ się męski głos:

— Ależ, Laureen, zrobiłaś to najzręczniej jak tylko można było to zrobić w tej sytuacji.

3.

Ten mężczyzna siedział w głębi sypialni, w fotelu na wprost łóżka. Zobaczyłam mglisty zarys jego sylwetki opromienionej szkarłatnym, złotawym i błękitnym światłem odbitym od ścian i wydało mi się, że uległam halucynacji. Mogłabym przysiąc, że wcześniej nikogo tam nie było, w tym fotelu.

— Druga niezręczność — powiedziała Laura. — Zapomniałam ci przedstawić, Anetto. To jest Gabe.

4.

W ciągu pięciu minut Gabe i ja zostaliśmy oddanymi przyjaciółmi.

Do końca tej rozmowy Gabe siedział pogrążony w trójkolorowym półmroku i nie widziałam jego twarzy. Jestem pewna, że nie widziałam go nigdy przedtem. Ale minuta, po minucie, w sposób dla mnie niepojęty, zdobywał moją sympatię. W rezultacie byłam nim oczarowana.

Może zadziałało tu znane w psychologii sprzężenie zwrotne: miłość okazywana nam przez drugą osobę mimo woli odwzajemniamy sentymentem, uwielbienie odwzajemniamy miłością.

Gabe mnie uwielbiał. Nigdy nie dał mi na to żadnych dowodów, niemniej ja to czułam.

Nawet teraz, przebywając tu, w tym rzeczywistym świecie, czuję jego nieprzejawioną adorację.

5.

— Rada jestem, że podoba ci się ten dom — powiedziała Laura między dwoma łykami napoju ziołowego.

— Tak — powiedziałam. — Jest urządzony funkcjonalnie i ze smakiem.

Laura uśmiechnęła się.

— Więc zdałam egzamin ze znajomości twojego gustu?

— Proszę?

— Chyba będzie ci wygodnie w nim zamieszkać?

— Mieszkać? Tutaj?

— Zamiast mnie.

— Nie rozumiem.

— To moja przeogromna prośba do ciebie, Anetto — powiedziała Laura. — Bo ja wkrótce będę musiała opuścić swoje ciało. Będę musiała umrzeć.

8.

Laura zapaliła laseczkę kadzidła na toaletce i dodała z uśmiechem:

— Moja śmierć będzie przedwczesna. Dwadzieścia lat przed terminem. — Spod jedwabistych rzęs patrzyła na mnie brązowymi skośnymi oczyma. — Jestem wewnętrznie rozdarta, Anetto. Zostało mi tak niewiele czasu. Nie mogę zwlekać, ale żal mi Jane.

— Zrobię, co zechcesz — powiedziałam.

— Wiem i jestem ci za to wdzięczna, kochanie — odpowiedziała Laura. — To zaledwie kilka godzin w ciągu doby. Kilka twoich nocnych godzin.

9.

Potem przemówił Gabe. Przemówił ze słodyczą, takim tonem, że każde jego słowo zdawało się być kwiatem dodanym do wieńca uwielbienia, który on dla mnie wyplatał.

Dziwa Laury, tłumaczył Gabe, przez pierwsze miesiące będzie się uczyć. Na ten okres może zachować ona ciało, z tym, że podczas nauki musi je opuszczać — jak to się dzieje we śnie lub w transie.

Oba strumienie czasu Gabe obiecał zsynchronizować tak, żeby moje noce pokrywały się z dniami w moim hipnotycznym świecie.

— Potrzebuję niańki do swojego ciała — rzekła Laura z chlebną miną. — Na cztery do pięciu godzin dziennie. Między lunchem a obiadem. W nocy będzie ono spać, rano i wieczorem sama się nim zajmę. Postaram się, żeby ci sprawiało jak najmniej kłopotu. Zaopiekujesz się moim ciałem, dobrze?

Przytaknęłam.

— Oczywiście — powiedziałam. — Ale czy ja temu podołam?

— Bezsprzecznie — odpowiedziała Laura. — Spójrz tylko na siebie.

13.

Spiker przeszedł do omawiania skutków trzęsienia ziemi w Oregonie i Jane ściszyła telewizor. Położyła się obok na łóżku, objęła mnie i pocałowała w usta.

— Ślicznie wyglądasz — powiedziała. Jej oddech pachniał kremem waniliowym. — Tak młodzieńczo. — Koniuszkiem języka przesunęła po moich wargach. — Och, Laureen, zamęczę cię dzisiaj na śmierć.

Ścierpłam.

— Co mówisz? — spytałam.

Jane ulokowała głowę na moim obojczyku. Wolną rękę (w drugiej wciąż ściskała tę lepką od waniliowego kremu łyżkę) włożyła mi pod bluzkę.

— Nie wyobrażam sobie, co bym zrobiła bez ciebie — powiedziała.

Leżałam w jej objęciach niczym kłoda, bojąc się, by nieopatrznym ruchem nie zachęcić jej do operatywniejszych zabiegów. Z przerażeniem skonstatowałam, że nie mam na sobie stanika. Jane zanurzyła rękę głębiej i zamknęła dłoń na mojej piersi.

— A ty? — spytała przymilnie.

Czułam, że brakuje mi tchu.

— Co?

— Co byś zrobiła beze mnie?

— Nie wiem.

Och, przeciwnie. Doskonale wiedziałam, co bym zrobiła bez niej. Nie wiedziałam za to tego, co mogłabym zrobić z nią. Nie chciałam tego wiedzieć. Tego nie było w umowie.

Jane zaczęła rozpinać moją bluzkę.

— Gabe — powiedziałam łamiącym się głosem.

Parę sekund później byłam już obnażona do pasa. Giętki język błądził w okolicach mojego pępka, pod spódnicą czułam rękę Jane.

Nigdy nie podglądałam wspólnych zabaw Laury Thomas i Jane Biorne, więc nie miałam pojęcia, do jakich granic sięga swoboda obu pań i jakie są ich możliwości, ale dobrze zanotowałam w pamięci drogę krzyżową Douglasa Johnstona, który w swoim gabinecie brał seksualne ciegi od Jane. Wspomnienie to sprawiło, że zmobilizowałam siły.

— Gabe! — wrzasnęłam. — Tego nie było w umowie!

cdn.

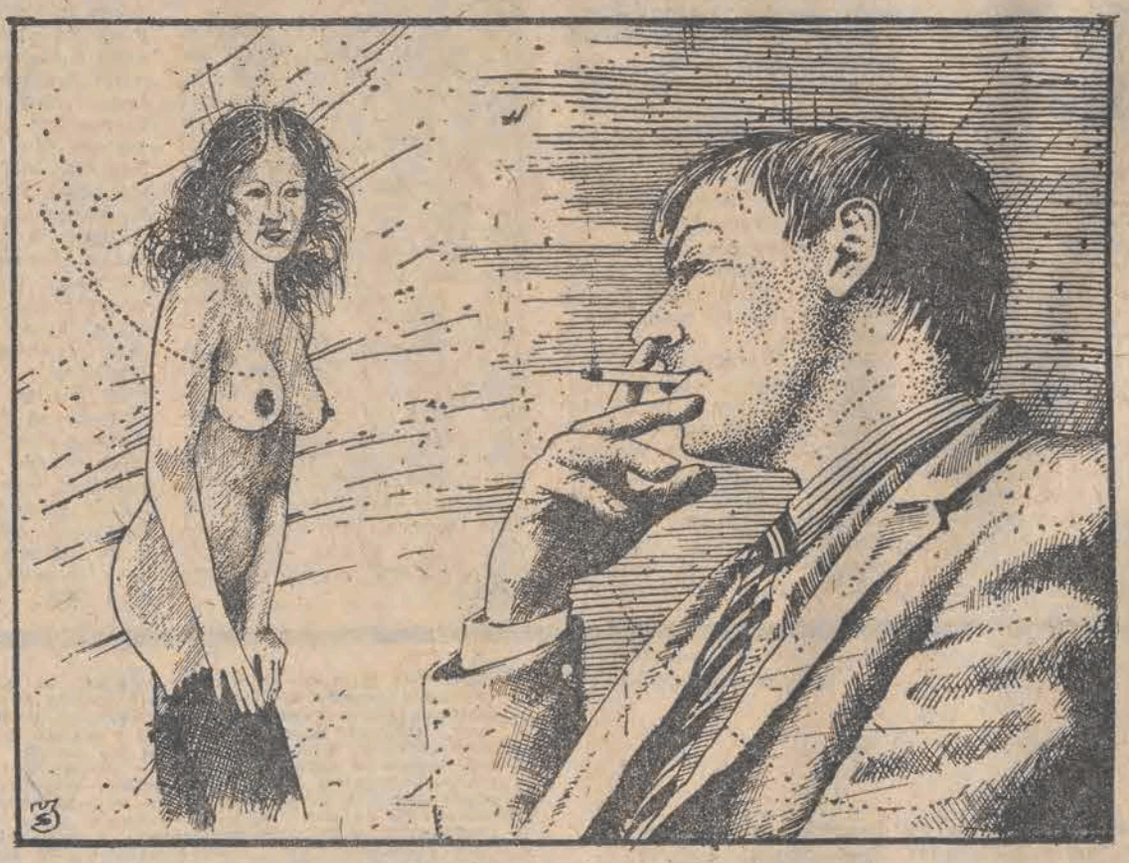

Rys. Janusz Szymański-Glanc